

M.E.  
L. W.  
w kielku



**Józef Robakowski laureatem nagrody „Odgłosów” str. 12**  
**Prawica polska atakuje str. 5**  
**Nie wszyscy wiedzą za co siedzą str. 7**  
**Kleopatra to jest to - dla mężczyzn str. 11**



Foto: Konrad Turkowski

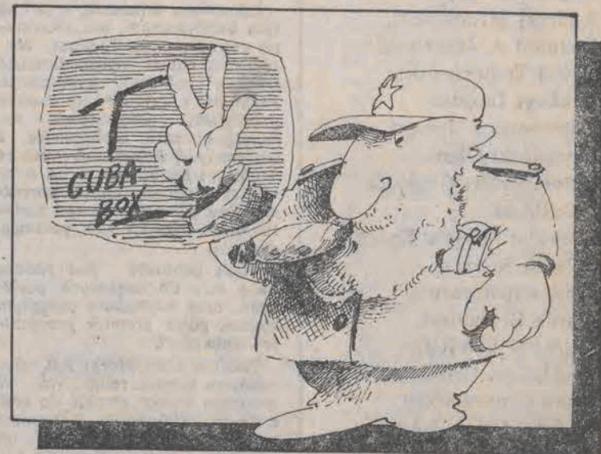
**Kaszipiowski story (1)**  
**czytaj str. 6**

Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Lódź tygodnik społeczno-kulturalny

# Odgłosy

NR 20 (1677) ROK XXXIII 20 MAJA 1990 ROKU CENA 1000 ZŁ



Rys. Dariusz Romanowicz

**ANDRZEJ OSTOJA-OWSIANY:** — Staralibyśmy się, aby Polska szybko, możliwie szybko stanęła na nogi!

## Nie odczuwam potrzeby posiadania wroga

Rozmowa z **ANDRZEJEM OSTOJA-OWSIANYM** — członkiem Rady Politycznej i przewodniczącym Sądu Konfederacji Polski Niepodległej, kandydatem na radnego z listy Łódzkiego Porozumienia Obywatelskiego.

— W Łodzi w wyborach do Parlamentu w czerwcu 1989 roku uczestniczyło 3 członków KPN. Nikt nie został wybrany. A ilu członków KPN. kandydowało w Polsce?

— Jeśli dobrze pamiętam — 47 osób. I nikt z naszej listy nie przeszedł.

— Czy potraktowaliście to jako porażkę?

— Nie. Założyliśmy świadomie, że choć nie mamy szans, to możemy sprawdzić wielkość społecznego poparcia. Wiedzieliśmy wówczas, jaka była nasza sytuacja. Informacje o KPN pochodziły albo od rzecznika rządu Jerzego Urbana, albo z wrogo do nas nastawionych środków masowego przekazu. KPN przedstawiano wówczas jako faszystów, bojówkarzy, ludzi groźnych dla panującego porządku społecznego. Myśmy nie mieli szans, aby na te zarzuty odpowiadać. Również w „Odgłosach” redaktor naczelny odmówił nam prawa działania, twierdząc, że jeste-

my partią nielegalną, a że to nieprawda, nie musimy dziś wyjaśniać.

— I Jak wypadł ten sprawdzian?

— Przeciwnie w kraju zyskałiśmy 5,8 procent głosów. To było bardzo dużo.

— W wyborach do samorządu terytorialnego na liście Łódzkiego Porozumienia Obywatelskiego jest 15 kandydatów z KPN. Jest to przejaw większej siły KPN, czy układów panujących w LPO?

— Jest to wynik jednego i drugiego. Trudno bowiem powiedzieć, że społeczeństwo ma już wpływ na proces wysuwania kandydatów z poszczególnych partii politycznych.

— Czy to znaczy, że jesteście najsilniejszą partią w LPO?

— Nie. W mieście są dwie najsilniejsze partie: KPN i Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe. I to znalazło odbicie wśród kandydatów. Po 15 z KPN i ZChN.

AM 2929: — Wartość życia pojmie, kto oceni różnicę — co dać może życie, a co można stracić w nim bezpowrotnie.

## Mój Katyń, czyli ostatnia dedykacja

EWA OSTROWSKA



Rys. Janusz Szymański-Głanc

1. Jest Wielki Piątek, trzynastego kwietnia, dzień bolejącej Madry Dolorosa. Jeszcze sporo słońca, lecz krzyże rzucają już coraz dłuższe cienie. Cisza, ta szczególna, jaka towarzyszy tylko cmentarzom, nie zakłóca jej nawet zwirowany świergot ptaków. Wracam od matki. Za plecami kroki rozmowa, początkowo strzępkami słów, aż zamienia się w same zdania wykrzyknikowe:

— Ja za Katyń piętnaście tysięcy rusków pod ścianę i bach, bach! — głos mężczyzny.

— A ja ich wszystkich, jak pluskwy! — głos kobiety.

Słońce na krzyżach, smużące się cienie, wiosenne kwiaty na mogiłach świeżo uprzątniętych przed świętem Zmartwychwstania Tego, co na krzyżu dla nas i za nas. I ten malowany ptak nienawiści nad tymi, którzy już proszą tylko o spoczynek wieczny. Odwracam się: młoda kobieta i młody mężczy-

zna prowadzą za rączkę między sobą siedmio-, ośmioletniego chłopczyka.

„Tragedia zbrodni zawsze pozostaje z żywymi. Tego dramatu nie można rozbić w pył na żadnym polu bitewnym, zombardować w miastach, zamknąć w obozach koncentracyjnych. Ten dramat noszą w sobie wszyscy, którzy przetrwali zbrodnię, zarówno zwycięzcy, jak i zwyciężeni. Jest esencją nienawiści”. Jerzy Kosiniński, „Malowany ptak”.

Dla tych dwojga — czy już aż trojga? — esencją ich nienawiści jest słowo: Katyń. Nie wiem, co mają z tym słowem — poza nienawiścią — wspólnego. Może nic. Pewno nie. Bo nawet: jeśli mają — to nie jest ich własne słowo, są na nie za młodzi. Mogło ono im być przekazane dziedzictwem, mogło być im narzucone.

2. O Katyń pisze się ostatnio na łamach gazet, mówi w ra-

diu, w telewizji, wprost od ołtarzy na kazaniach. Dużo i często. Katyń wyłonił się z przeszłości, wkroczył w teraźniejszość, stał się obecnym na co dzień. Pojawił się w prywatnych mieszkaniach i w maglach. I na murach: „Za Katyń do gazu!”. Reportaże z pielgrzymek, wywiady z członkami Rodziny Katyńskiej, filmy, dokumenty, przedruki wspomnień. I zapowiadana przez Marię Nurowską w wywiadzie radiowym powieść o Katyń: zakochana kobieta podąża w ślad za swoim ukochanym aż do Kozielecka. Bernard Ładysz śpiewający piosenkę o Lesie Katyńskim. Katyń za honoraria i tantiemy. I wyrzucony na stragan, w zalew broszur o „Szponach NKWD”, beletrystyki o martyrologii, tej prawdziwej, i tej obliczonej cynicznie na popyt. Między szpały wywiadów z tymi, co to nigdy pod żadnym pozorem nie byli za, zawsze przeciw, a jeśli brawa, to tylko bezdźwięcznie, a jeżeli

należeli, to pod przymusem karabinów.

— Zapisalaś się, oczywiście, do Rodziny Katyńskiej? — zapytała mnie bardzo głośno znajoma w trakcie towarzyskiego przyjęcia, starając się w ten sposób nadać poziom rozmowie. Towarzystwo przychyliło taktywnie, po czym jeden z panów zauważył.

— Teraz, gdy Sowiety uznają Katyń oficjalnie, muszą bullić.

Znajoma spojrzała na mnie znacząco:

— Ciekawe, ile dostaniesz? — zapytała. Na co kolejny z panów zadowolony:

— Przy naszej inflacji i na malucha nie starczy, cha, cha!

Więc Katyń: szlagier towarzyski, Katyń: nobilitacja — mieć kogoś w Katyń bliskiego, znaczy rodowodem się-

4

3

## Adres redakcji

90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.  
Telefony: redaktor naczelny 36 52 44,

sekretarz redakcji, fotoreporter: 36 80 99, publicyści: 36 77 70, 32 89 70  
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Problematyka kulturalna: Marian Zdrojewski.

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Doroczyński, Andrzej Gębarowski, Konrad Frejdlach, Jacek Indelak, Eugeniusz Iwanicki, Marek Koprowski, Bogda Madaj, Andrzej Makowiecki, Bogumił A. Makowski, Paweł Tomaszewski.

Graficy: Dariusz Romanowicz, Janusz Szymanowski-Glanc, Fotoreporter: Grzegorz Galasiński.

Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują: Marek Brzeziński, (Parvz — Londyn), Magdalena Grochowalska, Anna Gronczewska, Andrzej Grun Janusz, Janyst Marek Juszkiewicz, Andrzej Karolczak, Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Włodzimierz Krzemiński, Mirosław Kuliś, Jerzy Kwieciński, Monika Matuszak, Zenon J. Michalski, Marzena Mróz, Adam Orhocki, Henryk Pustkowski, Maciej Świerkocki.

Ogłoszenia: Biuro Reklam i Ogłoszeń Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5, tel. 32 59 11.

Organizacja reklamy: tel. 36-80-99.

Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe, RSW „Prasa-Książka-Ruch” 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne, Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty w 1990 roku: 1) Z możliwości prenumerowania mogą korzystać mieszkańcy wsi osiedli i miasteczek w których nie ma Oddziałów RSW a także osoby niepełnosprawne bez względu na miejsce zamieszkania 2) Natomiast nie mają możliwości prenumerowania mieszkańcy miast

Wpłaty na prenumeratę przyjmowane są tylko na okresy kwartalne. Należność za przyległą prenumeratę pocztową obejmuje cenę tygodnika oraz opłatę za doręczenie prenumerata za zleceniem dostawy za granicę jest o 100 proc. wyższa w przypadku zlecenia dostawy drogą lotniczą — koszt dostawy lotniczej nie pokrywa prenumeratę.

# Przegląd prasy

Osiem godzin siedział przed gabinetem premiera Tadeusza Mazowieckiego artysta fotograf z Krakowa, Stanisław Markowski. Potem został przyjęty i przez dwa dni obserwował pracę oraz życie prywatne szefa naszego rządu. Relacje artysty spisał na łamach „CZASU KRAKOWSKIEGO” (nr 13) Jerzy Sadecki. Cytuję fragmenty tekstu ilustrowanego ciekawymi zdjęciami prywatnymi:

„Do Urzędu Rady Ministrów premier przychodzi zwykle około 9 rano. Pracują u niego te same sekretarki, co u poprzednika. Nie zmienił personelu, odniosłem wrażenie, że ludzie ci potrafią to docenić... Premier nie zmienił też wystroju gabinetu. Jest to wielki pokój, mało przytulny, wybitny drewniany boazeria. Za oknem dochodzi ciągły hałas z ulicy. Jest to chłodne pomieszczenie — w mrozy premier musi dogrzewać sobie piecykiem olejowym.

Odniosłem wrażenie, że w tym bezimiennym, bez osobistej piętna pokoju Tadeusza Mazowieckiego chciał zagospodarować trochę własnej przestrzeni. Przyniósł z domu różne drobne przedmioty. Zobaczyłem np. święty obrazek, biblioteczkę z prywatnymi książkami, jakieś drobniaki na biurku, a na ścianie symboliczny chyba portret Don Kichota. Są też kwiaty, które premier sam podlewa, dogląda.

Obok gabinetu jest jeszcze duża sala do większych posiedzeń oraz mniejsza z okrągłym stołem, gdzie premier przyjmuje ministrów.

Tadeusz Mazowiecki jest człowiekiem bardzo religijnym. W niedzielę chodzi zwykle do kościoła św. Aleksandra. Natomiast w święto Trzech Króli był na wieczornej mszy w kościele św. Anny przy Krakowskim Przedmieściu. Msza rozpoczęła się o godzinie 21.

„Premier zjawiał się dopiero po Ewangeliach. Zajął miejsce gaisze w końcu kościoła na jednym z pustych krzesel. W kościele nie było zbyt dużo wiernych. Przez dłuższy czas premier nie zauważył, że go fotografują. Był zatopiony w modlitwie, absolutnie skupiony. Z jego postaci, sposobu modlitwy, z medytacji emanuje mocna wiara, bardzo mu potrzebna do życia. Ta wiara nie jest czymś sztucznym, nie na pokaz. Jest pewny, że Tadeusz Mazowiecki należy do ludzi głęboko wierzących. Ma w sobie pewien typ „samodlenia” — taki sam, jaki obserwowałem wielokrotnie fotografując z bardzo bliska papieża.

Gdy książkę rozdawał Komunię świętą, zauważyłem pewne zachowanie się Tadeusza Mazowieckiego. Coś jakby go powstrzymywało. Odniosłem wrażenie, że ponieważ spóźnił się na Mszę, czuł się niegodny przystępować do Stołu Bożego.

„Dopiero na zdjęciach zobaczyłem, że dyskretnie z tyłu stał oficer z obstawy. Jego koleżdy czekali w kruchcie i w samochodzie. Po Mszy ludzie obiegli premiera.”

Po stolicy i na bliskie odległości Tadeusz Mazowiecki jeździł polonem. Tylko do dłuższych wyjazdów używa wygodniejszej i bezpieczniejszej lancy. Przed domem przy ulicy Marszałkowskiej pojechał się z oficerami Biura Ochrony Rządu.

„Premier mieszka w zwykłym bloku, chyba z lat powojennych, jakich wiele w Warszawie. Pierwsze zdjęcia zrobiłem w windzie z nadbitą szybą. Zamyślony premier nawet tego nie zauważył, ale gdy się wreszcie zorientował, że go fotografują, jakby sobie przypomniał, że jest już w domu. Zdał więc czapkę i przygładził włosy.

W mieszkaniu nie było jeszcze najmłodszego syna Michała, z którym mieszka. Premier był nieobecnością syna zaniepokojony. Chodził nerwowo po pokoju. Wyczułem silną troskę o syna, którego jest jedynym opiekunem. Dwaj pozostali synowie: Wojciech i Adam, mają już własne rodziny i mieszkają osobno.

Premier Rzeczypospolitej Polskiej mieszka jak miliony Polaków. Prawdę mówiąc, nie ma wspaniałych mieszkań. To jest niewielkie mieszkanie, ze 40 metrów powierzchni. Tylko na zdjęciach wygląda na nieco większe, bo musiałem fotogra-

fować obiektywem szerokokątnym. Są tam dwie małe sypialnie i nieco większy gabinet Tadeusza Mazowieckiego. Od razu poznać mieszkanie intelektualisty: gabinet wypełniony jest po sufit książkami, które dosłownie wystawiają się z półek.

W gabinecie premiera dużo rodzinnych pamiątek. Meble standardowe, nie zmienione od lat, jakieś obrazy oparte o regał. W małej sypialni na roznóżnik wciśnięty między dwie ściany, stolicek, fotel. Jedyną rzeczą, która odróżnia to mieszkanie od innych, jest specjalny telefon rządowy.

Pod koniec wizyty, już przed północą, Stanisław Markowski zrobił wspólnie zdjęcie Tadeusza Mazowieckiego i jego synów. Musiał opowiedzieć im anegdotę, aby uśmiechnęli się do kamery. Pod koniec relacji artysta następująco charakteryzuje premiera:

„Jest trochę roztargniony, zamysłony, pochyla się nawet nad drobnymi ludzkimi sprawami. Mimo że jest ciągle w centrum wydarzeń, sprawia wrażenie osoby samotnej. Samotnie dźwiga ciężar odpowiedzialności i bardzo serio traktuje każdą sprawę. Ma przy tym — to widać szczególnie ostro — jakąś mocną, wewnętrzną siłę pływającą, jak sądzę, z mądrością, doświadczeniem, wrodzonej inteligencji i silnej wiary”.

## KRYTYKA PROGRAMU RZĄDOWEGO

W środowisku polskich naukowców program rządowy wicepremiera Leszka Balcerowicza ma coraz mniej zwolenników. Nie popierają go już profesore Wacław Wilczyński i Jan Mułaj. Nawet wśród członków Rady Ekonomicznej przy premierze pojawiają się głosy krytyczne. Mówi o tym w wywiadzie udzielonym dla tygodnika „WPROST” (nr 18) prof. dr hab. Józef Kaleta z Akademii Ekonomicznej we Wrocławiu.

„Balcerowicz popełnia błąd wielu ekonomistów, uważając, iż nasza inflacja ma charakter popytowy i że wystarczy ograniczyć popyt, by ją raz na zawsze zlikwidować. Tymczasem prawda jest inna. Nasza inflacja ma charakter podażowo-kosztowy. Jej faktycznym źródłem tkwią w nieprawdopodobnie wielkiej, dwu- i trzykrotnie większej energo- oraz materiałochłonności naszego przemysłu, w porównaniu z przemysłami krajów zachodnich.”

Józef Kaleta ma swój program ekonomiczny, zasadniczo różniący się od rządowego. Proponuje w nim odejście od polityki ograniczania plac. Jego zdaniem, plac i ceny powinny kształtować się na rynku. Należy jednak przeprowadzić głębokie reformy systemowe, a nie tylko dławić inflację przez zmniejszenie popytu, ponieważ gospodarka działa na zasadzie naczyń połączonych. Trzeba zmienić strukturę własności, zlikwidować monopole, doprowadzić do upadłości energo- i materiałochłonne kopalnie, huty, cementownie. Ale nie ma możliwości ani potrzeby całkowitej reprivatyzacji.

„Po pierwsze dlatego, że nie mamy w kraju w prywatnych rękach tytuł pieniądzy, a nawet ekspres Banku Światowego zalecają, by kapitałowi zagranicznemu nie przekazywać więcej niż 10-15 proc. majątku. Po drugie dlatego, że istnieją w świecie firmy państwowe, które znakomicie sobie radzą. Taka na przykład włoska IRI znajduje się na czwartym miejscu listy pięciuset najlepszych przedsiębiorstw. Również nasza historia okresu międzywojennego zna wiele tego rodzaju przykładów. A u nas rząd pragnie rozpocząć prywatyzację zakładów najlepszych, gdy nie ma pewności, że — już sprywatyzowane — będą funkcjonowały lepiej niż państwowe. To przecież absurd. Na szczęście rządowi specje od reprivatyzacji się pojęli już, że nie da się prywatyzować więcej niż kilkadziesiąt przedsiębiorstw rocznie”.

Z tezę Józefa Kalety, że program Balcerowicza dotyczy tylko zwalnienia inflacji, zgadza się Stefan Kisielewski. W kolejnym wydaniu tygodnika pismańskiego (nr 19) mówi, że bardzo zawiodł się na ministrach przemysłu, rolnictwa i budownictwa. Zapomnieli oni, a przy tym i wicepremier Balcerowicz, że o dobrobycie decyduje produkcja, a nie twarżda waluta.

Wykreowany przez „Solidarność” rząd Tadeusza Mazowie-

ckiego znalazł się w poważnym niebezpieczeństwie. Jeśli on upadnie, to — zdaniem Kisielewskiego — upadnie również mit „Solidarności”.

„Właściwie już upada, bo «Solidarność» uchyla się od odpowiedzialności za czyn, których dokonała. Powołana bowiem rząd, a teraz, nie chcąc być partią polityczną, deklarując się jako związek zawodowy, który w każdej chwili może wycofać poparcie dla «swojego gabinetu», zwyciężając nie bierze pupę w troki, Poza tym sam Wałęsa przygotowuje się do rezerady, chce przenieść się do Helwedery, a więc przestaje przewodniczyć związkowi. (...) «Solidarność» to jest, niestety, resztkowa po komunizmie. Ma ogromne zasługi na polu przemian politycznych, ale i komunistyczne obciążenia w sferze ekonomicznej. I nie może być inaczej, skoro chce reprezentować klasę robotniczą”.

## KRYTYKA EKIPY GIERKA

W głośnej książce o przerwanej dekadzie lat osiemdziesiątych Edward Gierek pozytywnie wypowiada się o swoich rządach. Tymczasem inne zdanie w tej sprawie ma prof. dr hab. Wacław Wilczyński. W rozmowie z Romanem Brzezińskim z miesięcznika „ŻYCIE I MYŚL” (nr 1-2) ekonomista poznański mówi:

„Nie jestem mściwy, nie pragnę kar, ale twierdząc, że powinien zostać wytoczony proces i udowodniona wina ekipy Gierka. To co robili, zadłużając kraj, a równocześnie nie dopuszczając do reform było świadome. Nie mogą się wykręcać, że nie wiedzieli, że nie byli ostrzegani, albo — że myśleli, iż to się uda. Oni zupełnie świadomie prowadzili kraj ku przepaści: Jaroszewicz, Jagielski, Szydłak, Gierek, Wrzeszczyk... Ostrzeżenia były bardzo uczesnie. W 1974 r. list „w stylu Rejtana” napisał do Jaroszewicza prof. Bobrowski. Do nikogo to jednak nie docierało. Grupa rządząca była niezwykle autorytarna, nie dopuszczała do siebie żadnych słów krytyki.”

Zdumiewające było zaufanie zachodnich kół kapitalistycznych do ekipy Gierka. (...) Argumenty „za” były proste — Gierek tak ładnie mówił po francusku, a ambasadorem w RFN był wówczas mój kolega ze studiów — Wacław Piątkowski, człowiek o niesamowitej pracowitości, który imponował Niemcom tym, że nie istniały dla niego godziny urzędowania. Tacy porządni ludzie, trzeba im dać kredyt. Wierzyliście zagraniczni uważali udzielenie kredytów krajowi realnego socjalizmu za całkowicie bezpieczne, zakładając, że w tak totalitarnym systemie reżim zawsze znajdzie środki na spłatę długów kosztem społeczeństwa”.

Od połowy lat pięćdziesiątych bliskim, a później najbliższym przyjacielem Edwarda Gierka był Franciszek Szlachetka. W grudniu 1970 roku razem z Stanisławem Kanłą pojechał do Katowic i przekonał Gierka, że by został i sekretarzem Komitetu Centralnego PZPR. Potem zmienił o nim zdanie i odszedł z kierownictwa partii. Mówi o tym w wywiadzie udzielonym Markowi Rudnickiemu z „TRYBUNY” (nr 70).

„Znałem jego salety i wady. Myślałem, że te drugie zostaną zdominowane przez te pierwsze. Okazało się, iż władza ogłupia, a najwyższa władza ogłupia szczególnie. Gierka władza ogłupiała. Ale — sądząc po książce — brak władzy ogłupił go jeszcze bardziej.”

Już w 1975 r. zauważyłem, że u Gierka zaczyna dominować wady, że w polityce, jaką chciałem realizować, odstepujęmy od zobowiązań, które daliśmy klasie robotniczej i narodowi w Gdańsku i Szczecinie. W związku z tym kilkakrotnie ostrzegałem, krytykowałem, prosiłem, a że to nie pomagało, 5 maja 1976 roku złożyłem pismną rezygnację z funkcji członka Biura Politycznego i sekretarza KC. (...)

Z Gierkiem nie rozmawiałem od 8 maja 1974 roku do czerwca 1980! Nie chciałem. Nigdy mnie nie przyjął. Potem, kiedy go wyrzucili, dzwoniłem do mieszkania, pytałem czy go odwiedzić w szpitalu, jak się czuje. Jeszcze później zaś pojechałem do Katowic, rozmawiałem z nim — był to żalony widok. Drugi raz pojechałem, gdy wyszedł z internowania. I rozmaw-

iając o wielu sprawach prostym go tylko — aby się godnie zachowywał jako i sekretarz, aby nie opowiadał bzdur, aby bronił idei, której służył, aby nie zrzucał odpowiedzialności na innych”.

A co sądzi Edward Gierek o swym byłym przyjacielu? Wywiad z książką „Przerwana dekada” zawierający opinie na temat Edwarda Babiucha, Zdzisława Grudnia, Wojciecha Jaruzelskiego, Stanisława Kani, Mirosława Milewskiego, Mieczysława Moczara, Stefana Olszowskiego, Mieczysława F. Rakowskiego i Franciszka Szlachetki zbroił w „TYGODNIKU GDANSKIM” (nr 17) Tadeusz Skutnik. O Franciszku Szlachetce były i sekretarz KC PZPR mówi:

„Tak nasiłki panującymi w «bezpieczeństwie» obyczajami i, co gorzej, metodami pracy, że nie mógł się obyć bez nich również i w partii” (70). „co gorzej, negatywnie wpływał on na całe kierownictwo partii, usurpując sobie wewnątrz Biura Politycznego nie istniejącą w gruncie rzeczy funkcję II sekretarza KC” (70).

## PRAWO ROZWOJU ETNOSÓW

Na zakończenie sygnalizuję tekst poważniejszy. W dwumiesięczniku społeczno-kulturalnym „REGIONY” (nr 4) opublikowano bardzo ciekawy artykuł Lwa Gumilowa o mechanizmie narodzin i upadku tzw. etnosów. Autor urodził się w 1912 roku. Jest synem dwojga wybitnych poetów rosyjskich: Anny Achmatowej i Mikołaja Gumilowa. Był trzykrotnie aresztowany i więziony. Pierwszy raz w 1935 roku, drugi — w 1938 roku, trzeci — w 1949 roku.

Sensacją w świecie naukowym jest kontrowersyjna teoria etnogenezy Lwa Gumilowa. Głosi on, że etnos jest czymś podobnym do narodu i plemienia, lecz nie do rasy. Etnosy rozwijają się niezależnie od procesu rozwoju społecznego. Oba procesami rządzą odmiennie-prawa. Rozwój społeczny odbywa się po spirali, a etniczny cyklicznie. Przynależność do etnosu określa się na podstawie stereotypów postępowania, samoidentyfikacji jednostki i zalozenia jej przez innych do danego kręgu ludzi. Lew Gumilow pisze:

„Okazuje się, że jeśli będziemy mierzyć intensywność procesów historycznych stopniem koncentracji wydarzeń, to początkowo zauważymy gwałtowny wzrost, trwający około 300 lat, następnie przeplatający się ciąg wznieścień i depresji, trwający także około 300 lat, później spadek żywotności, prowadzący do uspokojenia, które Arnold Toynbee określa słowem «breakdown», i wreszcie powolny upadek, przerywany nowym wzrostem. Gdybyśmy poddawali to spostrzeżenie nie wiadomo jak licznym sprawozdaniom — okazałoby się, że było tak zawsze w długich przedziałach czasowych”.

Katalizatorem powstania i rozwoju etnosu są tzw. pasjonaci, stanowiący 5-10 proc. populacji, którzy nagle się pojawiają i zmuszają innych do zmiany stereotypu postępowania. Pasjonaci stawiają sobie jakieś cele, do realizacji których co ich wewnętrznie zmusza.

„Ludzie ci mogą być dobrzy lub źli, mądry lub głupi, delikatni lub gruboskórni. Nie to jest ważne; najważniejsze, aby byli doolni poświęcić siebie i innych dla swoich celów, które najczęściej bywają iluzoryczne. Ta właściwość, w istocie — jest antyinstynktem; określiłem ją terminem nowym: pasjonarność (od łacińskiego passio-namietnośd)”.

Przykładem pasjonatów są hiszpańscy, którzy podbijali Amerykę i zdobywali jej bogactwa. Ocean pokonywali Don Kichoci, natomiast Sancho Pansowie siedzieli z żonami w domu...

E. L.

## SZANOWNI CZYTELNICY!

Uprzejmie informujemy, że od następnego numeru zmieniamy formułę i objętość naszego tygodnika. Mamy nadzieję, że pozwoli to znacznie uatrakcyjnić „Odgłosy”, a przede wszystkim — uniknąć kolejnej podwyżki ceny. Bardzo prosimy o nadsyłanie własnych opinii i wniosków.

REDAKCJA

## W najbliższych numerach „Odgłosów”

— Pod Łodzią, przy ul. Konstancynowskiej, jest PGR Brus. Po drugiej stronie ulicy, bardziej na zachód, porasta niewielkie lasy z dzikim boiskiem pośrodku, gdzie mali chłopcy uganiają się za piłką. W tym lasku pierwszej powojennej wiosny ginęli ludzie. Polaków zabili inni Polacy. Wszyscy świadkowie wskazują te same miejsca w lasku, choć, trzeba przyznać, po dłuższych poszukiwaniach. Miejsca zbiorowych egzekucji odnajdują tuż obok dzikiego boiska. Ziemia wokół Łodzi kryje wiele miejsc zbrodni — w raporcie MARKA KOPROWSKIEGO pokazujemy pierwsze takie miejsca i oczekujemy na listy naszych Czytelników.

— Od kilku tygodni przebywa w Polsce ekipa szwedzkiej telewizji, która kręci film o naszym kraju. Szwedzi bardzo interesują się pracą polskiej. Sprzęt przygotowany, pełna gotowość. Wreszcie jest meldunek o zabójstwie na Władzie. Spod komisariatu rusza polonez-radiowo i prywatny fiat. Jedziemy ulicą Obojczycką Stalingradu. Nagle zatrzymujemy się. Choraży z pistoletem w garści wyskakują z fiata — reportaż MONIKI MATUSZAK pt. „Szwedzi na tropie przestępców”.

— Rząd brytyjski już w 1943 roku dysponował wystarczającymi dowodami w sprawie zbrodni w Katyniu. Jednakże interes sojuszników wymagał milczenia. Nawet rząd polski w Londynie uznał zaświadczenie takiego stanowiska. W czasie procesu norwiderskiego Rosjanie chcieli dodać Katyni do listy zbrodni hitlerowskich. Ale zachodni sojusznicy wyperswadowali Stalnowi ten pomysł — MAREK BRZEZIŃSKI wyjaśnia w korespondencji z Londynu, dlaczego Brytyjczycy udawali, że nie wiedzieli, kto popełnił zbrodnię w Lesie Katyńskim.

— W połowie lipca 1940 r. pojawiła się pogłoska, że Rosjanie zamierzają przekazać polskich jeńców do Turcji. Według majora M. Kretowicza złożone nieoficjalnie propozycje. Dalsze losy tej inicjatywy są nieznane. Wiemy tylko, że anonimowy autor wspólnie z mjr Kretowiczem i radcą Brodniekim przygotowują memorandum dla rządu polskiego. Zamierzał przywieźć je do Londynu w końcu sierpnia 1940 roku. Dziś wiemy, że na uratowanie oficerów, których zamordowano wiosną, było już za późno. Jednak o tym nikt wówczas jeszcze nie wiedział — artykuł TADEUSZA DUBICKIEGO.

— Między Bramą Brandenburską a budynkiem Reichstagu wąską ścieżką podąża grupa energowców z torbami pełnymi zakupów. Spokojnie mijają tabliczkę z napisem: do NRD 200 metrów. Tak, jakby robili to od urodzenia — korespondencja PAWŁA TOMASZEWSKIEGO z Berlina.

— Kiedy mieliśmy spotkanie Komisji Kultury „Solidarności” z postami ziem łódzkich, przedstawiłem się jako członek Lewicy. Choćby dlatego, że p. Stefan Niesiołowski uważa się za człowieka prawicy — mówi JACEK CYBUSZ, kandydat na radnego z listy Wojewódzkiej Komisji Obywatelskiej w Łodzi.

— Czy w innych miastach KPN też ma taką silną reprezentację?

— Nawet silniejszą. W całej Polsce startuje 1300 kandydatów. W Łodzi trzeba było trochę czasu, aby wizerunek KPN w społecznym odczuciu mógł się zmienić. Łódzkie KPN było też współtwórcą EPO. Zrozumieliśmy bowiem, że dla postępu potrzeba nie zwalczania się konkurencyjnych partii, a współdziałania bez utraty własnej tożsamości. I że to szczególnie potrzebne jest w Łodzi, gdzie są silne podziały, a różne grupy zwalczają się, opluwają wzajemnie.

— Na negatywny odbiór KPN wpłynęła chyba i wasza młodzież.

— Istotnie, mieliśmy pewne kłopoty z poprzednią „młodzieżówką”, która w większości przeszła do Federacji Młodzieży Walczącej.

— I zostaliście bez młodzieży?

— Nie. Część młodzieży została. Stworzyliśmy drugą „młodzieżówkę”, mamy Strzelca.

— Bieriecie udział w wyborach samorządowych i będziecie brali udział w przyszłych wyborach do Parlamentu. W jaki sposób zamierzacie zdobywać popularność i społeczne poparcie?

— Nasz program — jeśli idzie o jego treść — jest od początku taki sam. Oczywiście jest modyfikowany zgodnie ze zmieniającą się rzeczywistością polityczną. Naczelną naszą zasadą jest niepodległość.

— Jak to należy szerzej rozumieć?

— Nie można bowiem mówić o żadnych reformach politycznych, gospodarczych czy społecznych lub kulturalnych jeśli kraj jest zniewolony. Bo to po prostu nie wyjdzie. Reformy takie można przeprowadzać tylko w kraju wolnym. Królestwo Polskie w XIX wieku miało armię, Orła Białego, ale nie mogło się prawidłowo rozwijać, bo nie miało niepodległości.

— I taki punkt widzenia dyktuje stosunek do wielu problemów?

— Tak. Z naszego punktu widzenia niepodległość byłaby stosunek do sprawy niepodległości Litwy. Oni nie prosili ani o pomoc wojskową, ani o kredyty, prosili o uznanie niepodległości. A polski rząd zaczął stosować różne uniki.

— Nie tylko rząd polski wykazał w tej sprawie dużą powściągliwość.

— Co nas może obchodzić, co na ten temat mówi Georg Bush czy Francois Mitterrand? Polska powinna podać rękę każdemu, kto walczy o niepodległość. Walczyliśmy sami o nią niemal 200 lat, a mieliśmy ją tylko przez 18 lat w czasach II Rzeczypospolitej. Powinniśmy więc wiedzieć, jaka jest cena niepodległości i naszym obowiązkiem było uznanie niepodległości Litwy.

— KPN od dawna walczy z zachowawczą postawą rządu i wiele spraw, o których mówimy, zyskuje później uznanie innych ugrupowań oraz rządu.

— Na przykład?

— A choćby wolne wybory. KPN utrzymywała od początku, że nie może być dzielenia wolności na procenty. Toteż nie ma na co czekać. Trzeba zrobić wolne wybory. Rząd początkowo mówił o kadencji. Teraz już mówi o wolnych wyborach i to nawet w maju przyszłego roku. Inny przykład — to prezydentura Wojciecha Jaruzelskiego. KPN stała na stanowisku, że nie może być prezydentem wolnego kraju człowiek, który był może żaluje tego, co zrobił, który był może miał jakieś tam intencje, ale obciąża go przelana krew, i to nie tylko podczas stanu wojennego, ale i w roku 1970. Liczą się czyny i fakty. Był wówczas ministrem obrony narodowej i członkiem władz partyjnych. Nie ma po temu żadnego powodu, aby ten człowiek stał na czele narodu.

— Był jednak układ „Okragłego stołu”.

— Ścisłej — układ z Magda-

lenką. Przy „Okragłym stole” tylko akceptowane zawarte tam porozumienia.

— KPN przy „Okragłym stole” nie było.

— Ano właśnie. KPN była już liczącą się partią opozycyjną, ale do nas nikt się nie zwrócił z pytaniem o to, czy wzięlibyśmy w tym udział.

— Rozumiem, że nie macie o to żalu do generała Czesława Kiszczaka?

— Nie możemy mieć żalu do przeciwnika, bo z jakiej racji? To, że komuniści z nami walczyli, to rozumieliśmy. Oni walczyli z nami, my z nimi. Nawet nie przyjęlibyśmy zaproszenia od gen. Kiszczaka. Ale przy „Okragłym stole” była jeszcze i druga strona. A skoro mówił się o demokracji, to należało nas również zaprosić.

— Przyjęlibyście zaproszenie?

— Nie wiem. Ale to już inna kwestia.

## Nie odczuwam potrzeby posiadania wroga

— A jaki jest wasz stosunek do zjednoczenia Niemiec?

— Od początku uważamy, że Niemcy mają prawo do zjednoczenia, ale nie może dojść do „drugiej Jalty”, kiedy o naszej zachodniej granicy będzie się rozmawiało bez naszego udziału.

— To między innymi Michail Gorbaczow domagał się konferencji 2 plus 4. Czy to w jakiś sposób nie rzutuje na wasz do tej sprawy stosunek?

— A dlaczego? Nie jesteśmy zaślepioncami, którzy na dźwięk nazwiska: Gorbaczow lub na dźwięk: Związek Radziecki — dostają wysypki i zaczynają strzelać. KPN, podobnie jak i innym, zależy na dobrych stosunkach z wszystkimi sąsiadami. Jednocześnie zależy nam na tym, aby nie traktowano nas jak ubogiego krewnego i nie narzucano nam swojego zdania. Nie może być w naszym przypadku mowy o zoologicznej nieważności do narodów Związku Sowieckiego. Zdajemy sobie sprawę, że są to narody nieszczepione, stłamszone jak nie przez cara, to przez władzę komunistyczną. Zresztą w ogóle stawianie sprawy, że jest się wrogiem jakiegokolwiek narodu oznacza szowinizm. A to jest nam obce.

— KPN domaga się szybkiego wycofania wojsk radzieckich z Polski. Rząd zmierzając do tego celu, ale chce cel ten osiągnąć stopniowo. Wydaje się to bardziej racjonalne i dalekowzroczne. Jak by pan uzasadnił odmienną stanowisko?

— Armia sowiecka, która stacjonuje w Polsce, stacjonuje na zasadach armii okupacyjnej. Nikt Polaków nie pytał o zdanie w tej sprawie.

— Nie było na to szansy.

— Ale teraz jest. Można zrobić referendum. Jeśli naród wypowie się, że obecność armii sowieckiej jest potrzebna, KPN do tego się zastosuje, bo służy narodowi.

— Niektórzy uważają, że stanowią one zabezpieczenie przed zagrożeniem ze strony zjednoczonych Niemiec.

— KPN ma na ten problem inny pogląd. Według nas nie tylko nie stanowi gwarancji przed groźbą ze strony Niemiec, ale stanowi w dodatku inne zagrożenie. Gdyby ZSRR i Niemcy dogadali się ponad nami, to jest gwarantem takiej umowy. Nie musi wkroczać na terytorium Polski, ona już tu jest. Stacjonowanie armii sowieckiej w Polsce to również problem dróg strategicznych, komunikacji, przelotów nad Polską samolotów bez zezwolenia. Na to żadne suwerenne państwo nie może pozwolić. Zresztą stanowisko rządu w tej sprawie też się zmienia, choć nie jest do końca konsekwentne. Jeśli uznano, że trzeba wyprzedać, to po co potrzebne są etapy?

— KPN nie godzi się również z polityką rządu, który całą władzę oddał w ręce komunistów.

— Przepraszam, ale ale rozumiecie, macie takie same szanse! — Ale rząd subwencjonował PZPR do końca 1989 roku, a KPN nie dostała ani grosza. KPN w Łodzi nie może wziąć przyzwyczajonego lokaku, bo z czego będzie płacić czynsz? SDRP ma cały budynek. KPN gnieździ się w jednym pokoiku przy ulicy Piasecznej na Chojnach.

— To proste. Nie liczy się w czym reku jest handel, plac, kultura i tak dalej. Władzę ma ten, kto ma w swoim reku armię, policję i transport. Te rezerwy pozostawiono w rękach komunistycznych ministrów. Więc kto ma realną władzę? Marszałek Józef Piłsudski — wielki polityk — po zamachu majowym zachował dla siebie tylko Ministerstwo Spraw Wojskowych. Wiedział, co robi.

— A jaki jest wasz stosunek do planu wicepremiera Leszka Balcerowicza?

— Nie jestem ekonomistą i dlatego bez wdawania się w szczegóły mogę tylko powiedzieć, że posiadamy plan alternatywny. Ogłosimy go po wyborach samorządowych.

— Na czym on polega?

— Nie możemy się zgodzić na to, żeby cały ciężar reformy

był zrzucony na barki społeczeństwa, co uwalnia rząd od tego ciężaru. Poza tym pan Leszek Balcerowicz przystąpił do generalnej przebudowy struktury gospodarki z całym aparatem nomenklatury gospodarczej.

— Czy KPN uważa, że należy wszystkich natychmiast wyrzucić z pracy?

— Inaczej bym to pytanie sformułował: czy można robić reformę gospodarczą z aparatem kierowniczym, który do reformy jest wrogo nastawiony?

— Nie sądzę jednak, aby wszędzie można było natychmiast wymienić kadre.

— Na pewno nie. Na przykład w wojsku, w więzieniach, w policji. Tam muszą być fachowcy. Opozycja takich fachowców nie posiada.

— A w gospodarce?

— Tu sytuacja wygląda inaczej. W każdej fabryce znajdują się ludzie, którzy z powodzeniem mogą zastąpić nieudolnego dyrektora, a którzy nie mogli awansować ze względów politycznych.

— A jeśli dyrektor jest dobrym fachowcem, ale ma „skazy”, bo należał do PZPR, to co wtedy?

— Należałoby przeprowadzić weryfikację, podobnie jak na przykład w prokuraturze. Niewątpliwie było wielu dyrektorów, którzy mieli legitymacje PZPR, nie popełnili żadnego świnstwa i są rzecznikami reformy. Ich trzeba zostawić. Ale pozostawiać większość bez względu na ich fachowość? Dlaczego? Przecież to są przeciwnicy polityczni.

— Czy nie przecenia pan ich siły? Przecież czują się raczej słabi i niepewni.

— Boją się, że my ich nie doceniamy. Przeżyli szok, ale nikt z nich nie poniósł żadnej konsekwencji. Teraz swierają szereg.

— Sądząc po liczebności odnowionych partii, są to szeregi nieliczne i słabe.

— To niekoniecznie musi się dziać w nowych partiach. Funkcjonuje szereg układowych partii partyjnych, gdzie wiele może się dziać i dzieje się.

— Leszek Moczulski w wywiadzie dla „Ładu”, jesienią 1989 roku, powiedział, że KPN albo przestanie istnieć, albo przekształci się w coś innego w momencie, kiedy Polska osiągnie pełną niepodległość. Staje się to wtedy, gdy usunie się radziecką hegemonię i kiedy jej eksponent — PZPR — zostaną odsunięci od władzy. Zostaną już nie ma.

— Te warunki nie zostały jeszcze spełnione. Nie jesteśmy na przykład zadowoleni z tempa dokonywanych przemian. Naszym zdaniem dawny układ polityczny jest chroniony. Na-

szej partii mówi się: — startujecie z tego samego poziomu, macie takie same szanse! — Ale rząd subwencjonował PZPR do końca 1989 roku, a KPN nie dostała ani grosza. KPN w Łodzi nie może wziąć przyzwyczajonego lokaku, bo z czego będzie płacić czynsz? SDRP ma cały budynek. KPN gnieździ się w jednym pokoiku przy ulicy Piasecznej na Chojnach.

— Ilu członków w Łodzi ma Konfederacja?

— W Łodzi jest 11 grup działania. Nie jestem szefem okręgu łódzkiego, ale sądzę, że jest około 500 osób w tych grupach. Do tego trzeba dodać „młodzieżówkę” i Strzelca. Notujemy teraz napływ członków do KPN. Ale KPN, jak większość partii pozaparlamentarnych, nie ma dostępu do środków masowego przekazu. Akcji przedwyborczej nie liczymy, bo to jest tylko akcja.

— Jak by pan określił politykę KPN w stosunku do rządu Tadeusza Mazowieckiego?

— Od początku — mimo wielu zastrzeżeń — staliśmy na stanowisku popierania rządu. Po tem mówiliśmy: nie przeszkadzamy. A teraz w wielu sprawach przeszliśmy do opozycji i publicznie wyrażamy swój krytycyzm w stosunku do tych zagadnień, które uważamy za rozwiązywane niewłaściwie.

— A jaki jest stosunek KPN do „Solidarności”?

— Większość członków KPN była i jest członkami „Solidarności”. Byłem ekspertem „Solidarności”. Jestem emocjonalnie związany z tym ruchem. Chciałbym, aby „Solidarności” nie traciła tego, co już zyskała. Zrobiła dla Polski wiele i nikt tego nie może negować. Ale czasy zmieniają się. Muszą zmieniać się i ludzie i metody postępowania. Mnie na przykład raz, gdy Lech Wałęsa — w dodatku kandydat na prezydenta — ciągle powtarza, że przeszkoczył plot. Ten fakt należy już do historii. Dziś nie można mówić, że będzie dobrym prezydentem, bo jak będzie trzeba do znów przeszkoczy się przez plot. Potrzeba nauczyć się poprawności w wyrażaniu myśli, pogłębić swoje wiadomości, dostosować metody działania do nowoczesnych czasów. Poza tym związek zawodowy nie może bez przerwy rządzić krajem.

— Tylko że „Solidarność” nie była i nie jest ani związkiem zawodowym, ani partią polityczną.

— To niech się przywódcy „Solidarności” na coś zdecydują. I niech wyciągną wnioski z tego, że spada popularność „Solidarności”. W 1981 roku było w „Solidarności” około 10 milionów ludzi, dziś jest około 2 milionów. W niektórych przedsiębiorstwach „Solidarności” w ogóle nie ma. To są fakty, które trzeba brać pod uwagę.

— Nasz stosunek do „Solidarności” jest życzliwy. My z „Solidarnością” nie zamierzamy walczyć, to raczej „Solidarność” usiłuje z nami walczyć.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Proszę mi wymienić, gdzie i kiedy KPN spowodowała w Łodzi jakiegoś zadrażnienie, kłótnię, awanturę. Czy atakujemy kogoś personalnie? To nieprawda, co powiedział w „Ogłoszeniach” pan Marek Edelman, że każda partia musi mieć swego wroga. Zadała partia nie powinna szukać wroga, tylko działać dla dobra narodu. Nie odczuwam potrzeby posiadania wroga. Mam swoich przeciwników, jest to pozostałość nomenklatury. Dla mnie SDRP zawsze będzie przeciwnikiem, ale nie będę szukał wrogów wśród tych, którzy powinni być sojusznikami.

— Czy w ogólnopolskim Komitecie Obywatelskim są przedstawiciele KPN?

— Nie ma i nie było, ale nie dlatego, że myśmy nie chcieli.

— Mówi się, że Leszek Moczulski nie byłby przeciwny temu, żeby kandydował na prezydenta lub ministra obrony narodowej. Ile w tym prawdy?

— Z ministrami obrony narodowej to była plotka. Przy obecnym nastawieniu rządu do KPN jest to niemożliwe. Natomiast co do pytania o kandydowanie na prezydenta, to nie chciałbym być posądzony o stronniczość. Czuję się jednak w obowiązku odpowiedzieć i odpowiedź zupełnie szczerze. Moim zdaniem Leszek Moczulski ma wszystkie dane po temu, aby móc objąć 3 funkcje państwowe: prezydenta, ministra spraw zagranicznych lub ministra obrony narodowej. Dlatego na przykład uważam, że mógłby być prezydentem? Po pierwsze dlatego, że zna się dobrze na polityce zagranicznej. Po drugie — bo potrafi znakomicie formułować swoje myśli, robi to w sposób krótki i rzeczowy. Po trzecie — choć czasem występuje w sposób gwałtowny, to jest człowiekiem bardzo spokojnym i zrównoważonym. Po czwarte — ma dwa fakultety i jest człowiekiem gruntownie wykształconym. Po piąte — ma dobrą aparację, a to jest ważne. Po szóste — jest człowiekiem dobrze wychowa-

nym, a to też ma swoje znaczenie. Po siódme — ma zasługi dla kraju. Wiele lat przeżył w więzieniu, ale się nie zalał, jest nadal aktywny i operatywny. Ma więc wszelkie dane, aby zasiadać na tym urzędzie i być dobrym prezydentem. Mówię tak nie dlatego, że jest to szef KPN, a więc i mój szef, ale z czystym sumieniem, z głębokim przekonaniem.

— Czy pana zdaniem ma szanse wygrać wybory na prezydenta?

— Obecnie jeszcze nie ma takiej szansy. Gdyby doszło do kandydowania, to byłaby jedynie przewidywarka.

— Po wyborach do samorządu macie zamiar sformować swój gabinet cieni?

— Tak się postępuje na całym świecie.

— Czy będzie się składał tylko z członków KPN?

— Oczywiście, że nie. Będzie oparty na szerokiej formule sojuszy partyjnych i innych. Bylibyśmy szaleńcami, gdybyśmy postąpili inaczej.

— W myśli politycznej KPN podkreśla się tradycje piłsudczykowskie. Józef Piłsudski jest jednak postacią bardzo złożoną, bo i socjalista, i legionista, i zamachowiec, i niekonsekwentny dyktator. Jeśli Piłsudski — to który?

— Nie rozróżniamy takiego podziału. Nawijamy do działalności Józefa Piłsudskiego jako całości, ze wszystkimi złożonościami.

— Z przewrotem majowym z 1926 roku też?

— Też. Był koniecznością. Natomiast mam wątpliwość co do procesu brzeskiego. Albo trzeba było sprawę zakończyć, albo nie zaczynać. Moim zdaniem — nie zaczynać. Nie zapylała pani o Berezę Kartuską. Prawda wygląda inaczej niż nam to przedstawiano. Była to forma internowania, która nie mogła trwać dłużej niż 3 miesiące. Ci, którzy mówią, że komuniści siedzieli tam po kilka lat — mówią bzdury. Przez Berezę Kartuską przeszło sto kilkadziesiąt osób, a więc nie co drugi komunistę. I na koniec, powstał ten obóz w 1934 roku, kiedy Józef Piłsudski był już bardzo chory i jego tym nie należałoby obciążać.

— Natomiast z załamaniem stwierdzam, że Marszałek nigdy do końca nie został dyktatorem.

— Skąd takie stwierdzenie?

— Z historii. Polska nie przeszła przez pewien etap rozwoju, przez który przeszły inne państwa, w tym nasi sąsiedzi — przez absolutyzm oświecony. Gdy Prusy dysponowały armią 150 000 żołnierzy, Austria — 250 000 żołnierzy, Rosja — 350 000 żołnierzy, to Polska miała ich zaledwie 12 000. Ale miała gwałtowną demokrację. Brak tej formacji w naszym rozwoju kosztował nas niepodległość. W odzyskaniu niepodległości, w

okresie międzywojennym mamy dyktaturę w Niemczech, Rosji, Rumuni, we Włoszech. W Polsce jest jedyny człowiek, który może to zrobić i waha się. Nigdy nie został dyktatorem. A dyktatura dla prawidłowego rozwoju Polski była niezbędna.

— Wie pan chyba, że KPN jest posiadaczem o dyktatorskie skłonności.

— Wynika to z naszej struktury. Jesteśmy jedyną partią, w której rzeczywistość jest dyscypliną. Wzorowana jest na strukturze Armii Krajowej i na Polskiej Organizacji Wojskowej z czasów pierwszej wojny światowej. Tego zdyscyplinowania nie ukrywamy. U nas na zebraniach nie ma gadulstwa, marnowania czasu. Po dyskusji trzeba wykonywać polecenia. To się może nie podobać, ale tacy jesteśmy.

— Czy gdyby KPN zdobyła władzę, to zaprowadziłaby dyscyplinę w społeczeństwie?

— Staralibyśmy się, aby Polska szybko, możliwie szybko stała na nogi. Jesteśmy zwolennikami demokracji prezydenckiej, silnego państwa. To nie znaczy, że chcemy stłamsić pluralizm i demokrację. U nas często demokrację rozumie się opanicznie, jako anarchię. A demokracja — to równość wobec prawa. Wszystkich i każdego, bez względu na zajmowane stanowisko i pozycję społeczną. Różnice w jakości życia muszą wynikać z postawy wobec tego życia. Nie godzimy się na przykład z absurdem, jaki zrobił teraz rząd, że dał takie same zasiłki człowiekowi, który nigdy nie pracował i temu, który po latach trudu znalazł się bez pracy. To jest głęboko niemożliwe. To nie ma nic wspólnego z demokracją ani ze sprawiedliwością społeczną.

— Z jakim programem zmian wystąpią radni KPN, jeśli zostaną wybrani? Jaką mamy Łódź, wiemy wszyscy i wiemy, że kasa jest pusta. Co robić?

— Nie chcę uchodzić za człowieka, który się zna na wszystkim. Na kilku sprawach się akurat znam. Rzeczywiście trudno jest coś zrobić, gdy kasa jest pusta. Ale są sprawy, które można rozwiązać prawie bez pieniędzy.

— Jakże na przykład?

— Widzę 4 takie sprawy. Pierwsza — to bezpieczeństwo łodzi. Można usprawnić działalność Policji Państwowej, ale nie o to tylko mi idzie. Można powiększyć straż miejską. Uzupełnić ją o ludzi, którzy chętnie poświęcą swój czas dla bezpieczeństwa innych.

— Czyli nowe „ORMO”?

— Nie. ORMO źle wykonywało swoją pracę i zostało rozwiązane. Nie wszystko musi się zerwać z ORMO kojarzyć, bo się źle kojarzy. Są ludzie, którzy chcieliby kilka nocy poświęcić na pomoc innym, na zapewnienie im bezpieczeństwa. KPN jest w stanie wystawić takie patrole, które pomagałyby policji i straży miejskiej. Czy to byłoby źle dla miasta?

— Druga sprawa?

— Uporządkowanie badań specjalistycznych, aby pacjent nie biegał po całym mieście. Czy to jest niemożliwe?

— Sprawa trzecia?

— Komunikacja. Można przecież zrobić tak, aby tramwaje i autobusy nie jeździły stadami.

— Dyrekcja MPK powtarza, że to jest niemożliwe.

— To zmienić dyrekcję MPK. Jest rozkład jazdy i musi być bezwzględnie przestrzegany. MPK narzeka, że nie ma ludzi do pracy. Teraz zaczyna się bezrobocie i ludzie będą szukali pracy. Przeprowadzenie takich zmian też w gestii rady miejskiej.

— A czwarta sprawa?

— Generalnie przeciwistawiamy się wszelkiej niemożności. Na to nie trzeba pieniędzy. Wystarczy przyjąć taką postawę, która nakazuje szukać rozwiązania, a nie beznadnie rozkładać ręce. A to już tylko zależy od ludzi i ich sposobu myślenia i działania.

Rozmawiała: BOGDA MADEJ

gad tej podległej, prawdziwej inteligencji. Katyń: hasło wplecione w nasz korowód polskiego „Wesela”, w korowód autentycznych męczenników i szlachetnych białych, elerpiących apostołów i sprzedających judaszy. Katyń: hasło dla demagogicznych mówców, szukających tańszego poklasku. Tu czerwonci, ja ich w pyk, a tu szmista za Katyń. Skróciło — igrzyskowo. Zapominając o martyrologii tego słowa. Zapominając, że to słowo jest tak umęczona i tak tragiczna. Ze Katyń to zbrodnia. I że Katyń to dramat. Dramat narodu, sponiewieranego, okrwawionego przez wojnę. Dramat tysięcy rodzin, które straciły w tej zbrodni swoich najbliższych. Co wie młoda rodzina polska Anno Domini 80 o samej zbrodni i istocie jej dramatu? Jaka jest wiedza przeciętnego Polaka? Czy ta ze straganów i murów? Z malowanym plakatem w tle.

3. Bohater Jerzego Kosińskiego, Chłopiec z „Malowanego ptaka”, jest starszy ode mnie o lat sześć, lecz mimo różnicy wieku wywodzimy się — i ja, i on — z tego samego pokolenia: dzieci wojny. On przeżył ją jako żydowskie dziecko z „dużego, wschodnioeuropejskiego miasta”, ja — jako polską dziewczynkę z małej, wschodnioeuropejskiej miasteczka: Landwarowa pod Wilnem. Mój polski los stwarzał dla mnie większe szanse na fizyczne ocalenie. Jasnowość, jasność i piegowatą zbrodni wojny nie wpisała na listy totalnej eksterminacji, dawała nawet szansę na germanizację lub rusyfikację. Chłopiec takiej szansy nie posiadał. A mimo to uważam, że on właśnie, ten żydowski Chłopiec, naznaczony stygmatem śmierci za samą przynależność do ściganego przez śmierć narodu, posiadał przede mną, polską dziewczynką, nieporównywalnie większą szansę ocalenia. Ocalenia moralnego. To ja — nie on — powinienem wyjść ze zbrodni wojny przepiękną „straszliwą trucizną nienawiści, która dojsz do życia, a zatem pomaga przetrwać”. I to mnie — nie jemu — powinna być obca „szelka litości”. To ja powinienem pisać w sobie „tolerną odmianę sprawiedliwości” i „według własnego osądu wymierzać wszystkim karę”. To dla mnie świat już na zawsze powinien być „zapomnianym buntem, w którym mordują się szczyry bez nadziei walecznicy”, i to ja powinienem wejść w swoje doświadczenie z esencją nienawiści w sercu i pragnieniem odwetu i zemsty w głębi. Dlatego tak, że on, Chłopiec z „Malowanego ptaka”, miał nademną sześć lat przewagi: sześć lat pierwszego dzieciństwa, tego najczulszego w pamięci; bo przeżył je pod spokojnym dachem, w normalnej rodzinie i pod czystym, bezpiecznym niebem. Przez sześć lat zasypiał wśród swoich zabawek, w swoim dziecięcym łóżku, z piśczołą matką na dobranoc.

Moja najpierwsza pamięć od razu kształtowała zbrodnię wojny. W chwili wybuchu liczyłam niecałe dziewięć miesięcy, rosłam wraz z hukami frontów, strzałami, krzykami ludzi. Moje dzieciństwo w ogóle nie wiedziało, co to jest spokojny dach lub bezpieczne, czyste niebo. Słowo śmierć poznawałam razem ze słowem: mama. Tak było. Śmierć jako wartość stała od najwcześniejszego pamiętania. Śmierć czyniła dzień i noc. Za węgłem. Za drzewem w pobliskim lesie. Na drodze. W rozmowach dorosłych. W strzałach. W bombach. W krokach. W szmerach. W ptakach na niebie, które nie były wcale ptakami.

Miałam pięć lat, leżałam chora na odra, kiedy w jasny, pogodny dzień trzy powracające samoloty ze swastykami zrzucały na landwarowski dom moje babci sześć bomb: ciało matki na moim, osłaniające mnie przed walącym się sufitem. Ocalałszy, przypadek to sprawił, cud, tak się zdarza; ostatnia, najmniejsza, szósta bomba rozbrajano potem na podwórku: ta jedna, która powinna była przynieść śmierć nam wszystkim, nie wybuchła. Pamięć: dzień matki na moich oczach, fioleńskich wtedy? nie pamiętam, czy? pięć? ale już świadomych i zapamiętujących na zawsze: odejście trupy ludzkiej, spływające z falą Willi.

— Nie patrz nie patrz! — krzyk matki. I ja sama wrzeszcze, już sześciolatka, pamiętająca aż do dziś tak dokładnie, że mogę w każdej chwili przymknąć oczy i znowu znaleźć się na landwarowskim podwórku oko w oko ze śmiercią, odwrócić precyzyjnie siebie, w błękitnej sukience z falbanką wokół szyi i wokół spódniczki, z miauczącym kotkiem w ramionach, bo po niego uciekałam ze schronu, po swego kota. Sześciolatka dziewczynka nie musiała wcale mieć czarnych włosów, czarnych oczu, śniadej cery jak Chłopiec z „Malowanego ptaka”, aby sprowokować zbrodnię, pewno była jedynym żywym celem na drodze odwrotu niemieckich ciężarówek, naładowanych żołnierzami; zdumiewającym, żywym celem, błękit sukienki z falbankami i kotek w ramionach. To, co potoczyło się, cśnięte z ciężarówką, przez zieloną darń podwórza wprost pod moje nogi nie było ani jabłkiem, ani bochenkiem chleba. Ja, sześciolatka, wiedziałam co to jest. Oni tam, na ciężarówkach, przyhamowanych pośród piaskowej drogi, zwanej ulicą Wiejską, też wiedzieli, że nie rzucili we mnie ani jabłkiem, ani chlebem. Czekali razem z mną. Ale wybuch nie nastąpił. Tak też się zdarza. I wówczas blysk, może słońca refleks na lufie unoszonej do celu; i ruch reki drugiego żołnierza, który podbił dłoń strzelającemu. Kula poszła wyżej, między gałęzie jarzyny i między oczy Matki Boskiej Ostrobramskiej. Jej święty obraz moją babcia ustawiła na drzewie, aby nas chronił i ocalał. Ruch ręki, dzięki któremu żyje, towarzyszy mi dotąd. Taki mały ruch. Gest. Geścik. Wiele razy zastanawiałam się, czemu go zawdzięczam? Czy człowiek, który przeszkodził zbrodni, był już nią znużony? Już zmęczony go ona, już jej nie chciał? Ten gest — to znuczenie czy litosc? A może i jedno, i drugie? Jakiekolwiek nie byłoby przyczyn, nie czuję za ten gest wdzięczności. Ale nie czuję też i nienawiści do tego, który strzelał, ani do tego, który rzucił granatami jak jabłkiem w błękit mojej sukienki. W moje dziecięce pamiętanie, obok obrazu zbrodni, wpisały się modlitwy najbliższych, zanieszone przed ten — później przestrelony — święty obraz. Bóg moich landwarowskich dziadków nie był mściwy, był cierpiący, bo jako człowiek został przez człowieka ukrzyżo-

wany, a jako Bóg nie łaknął na swój krzyż nienawiści na oprawcach. Wśród refrenu nowenny: — Zmiłuj się, Panie — nie wołano w moim landwarowskim domu: Zabij ich, Panie, spal ich, Panie, za granat, za kulę, za polamanie podczas tortur ręce mojej ciotki, lekarki-chirurga, za bomby, za trupy płynące Willą, za łyż, za rozpacz, za cierpienie, pozwól nam doczekać radości zemsty, na Niemcach i na Sowieciach, Panie!

4. Wrzesień '39 zastał moją matkę z mną, ósmiomiesięczną, u rodziców mego ojca, w Głębokim. Ostatni list od ojca, jak zresztą wszystkie z tego ostatniego lata '39, pisane ze Śląska, spod Katowic, gdzie ojciec, inżynier triangulator i mierniczy przysięgły kierował pomiarami dla Wojskowego Instytutu Geograficznego w Warszawie, były adresowane: Irena Ospacec-Ostrowska, Głębokie, slr. pocz. 58. Matka nigdy nie potrafiła mi odpowiedzieć na pytanie, dlaczego z chwilą wybuchu wojny zapakowała mnie w beczki i uciekła od teściów do Landwarowa. Ta ucieczka uchroniła nas obie przed innym losem polskim: wywózką.

„Do pani Ostrowskiej, żony p. Ferdynanda, syna Kazimierza Ostrowskiego” — list z 1943 r., pisany niewprawną ręką, pełen błędów ortograficznych, wysłany nie pocztą, lecz przez zaufanego posłańca.

## Mój Katyń, czyli ostatnia dedykacja

„Szanowna Pani, Jesteśmy dzierzawcami pańskiej ziemi położonej folwarku Rozpaska od 1934 r. Ponieważ rodzica Państwa Kazimierza Ostrowskiego z żoną zamieszkała w Głębokiem została wywieziona przez bolszewików...”

Od ludzi, którzy ten transport przeżyli, począł usna, tysiąc kilometrów, dzieląca Syberię od Landwarowa przyszła inna wiadomość: Kazimierz Ostrowski zmarł podczas transportu, jego ciało jak setki innych ciał wyrzucono z pociągu. A co z moją drugą babcią?

„POLSKA KOMISJA STRAT, Oflag VII A.L. dz./Tbg. Nr 1446/43. Murnau Obbay. J.W.Pant Irena Ospacec-Ostrowska, Landwarów k/Wilna. W związku z naszymi staraniami o wiadomości o losie męża W.Pani, Ferdynanda Ospacec-Ostrowskiego donosimy uprzejmie, że od informatora naszego otrzymaliśmy obecnie wiadomość, według której potwierdza się niestety fakt pobytu wymienionego w Kozielecku, dalsze losy nieznane. Jednocześnie zakomunikowano nam, że w Teheranie przebywał Stanisław Ospacec-Ostrowski, ur. 1.1.1888 r. w Głębokim, pow. Działna. Nie będąc pewnymi, czy osoba na ta coś wspólnego z rodziną W.Pani — podajemy wiadomość dla porządku z uwagi na wspólność nazwiska. Wdziękami dn. 14.9.1943 r. KORYCKI Józef, Pk. i Główny Mąż Zaufania Obozu”.

Stanisław Ospacec-Ostrowski miał „coś wspólnego”, to właśnie matka mego ojca. Ślad po niej kończył się w Teheranie; żadnych innych nie udało się odnaleźć, ani gdzie umarła, ani gdzie ją pochowano. Ślad za to mego ojca był wyraźny, prowadził prosto do Kozielecka. Ale jaką drogę przebył mój ojciec ze Śląska, nim dostał się do sowieckiej niewoli, nie wiadomo. Ze jest w Kozielecku matka wiedziała nieomal od początku; od znajomych, od przyjaciół, nigdy ani jednego listu z Kozielecka od ojca nie otrzymała. Natomiast sama je pisywała rozpaczyliwie, napisz choć słowo, że jesteś, że żyjesz. Te pierwsze listy matki do Kozielecka nie wręcały; te z kłębienią i mają i jeszcze później powracały z adnotacją: „Adresat wyjechał”. I te ostatnie, powracające, z szyderczą adnotacją, że wyjechał, dopiero one dawały mojej matce szaloną, dziękczynną nadzieję: wyjechał stamtąd, więc żyje!

W 1943 r. miałam aż cztery lata, pamiętam więc dokładnie jakby taneczny piruet matki, w którym osuwała się na podłogę, i krzyk babci, biegnącej na pomoc. Pocztowa kartka z niemieckiego oflagu od brata matki zawierała wiadomość, że ojca zamordowali bolszewicy w Koziej Górze. Potem były niemieckie „gadzinówki” z listami identyfikacyjnymi. I pośród nazwisk nazwisko ojca. Wbrew oczywistości faktów, matka nie przyjmowała do wiadomości, że ojca nie ma wśród żywych. I szukała stale, do

samego końca wojny, i potem też, przez znajomych, znajomych znajomych, przez Polski i Międzynarodowy Czerwony Krzyż; wszystkim pokazując jako dowód owe listy, które powróciły z Kozielecka z adnotacją: „adresat wyjechał”.

—Módlmy się, on żyje. Twój tatuś żyje, rozumiesz, żyje!

W 1946 r. otrzymała pismo z Czerwonego Krzyża definitywnie odmawiające dalszych poszukiwań. Stwierdzono z całą pewnością, że „mąż pani, inżynier-triangulator Ferdynand Ospacec-Ostrowski figuruje w spisach wojskowych polskich ekshumowanych w Koziej Górze pod Smoleńskiem, a zwłoki jego przeniesione zostały na specjalny cmentarz w Koziej Górze”.

W 1952 r. „Głos Ameryki” nadawał sprawozdania z tzw. Procesu Katyńskiego. Jakiś mężczyzna, nie podając nazwiska, w masce na twarzy, składał relacje z Katynia i ze swego ocalenia. Anonimowość ze względu na rodzinę w kraju, żonę i córki. Wtedy po raz drugi patrzyłam na taneczny piruet mojej matki, osuwającej się na podłogę. Potem kazała mi się modlić. — To twój ojciec — powiedziała — przeżył. Wiedziałaś cały czas, że przeżyje.

5. — Więc za babcię i dziadka, i za ojca kochał, zemsty radość daj Panie! — Powiniam dziś, pięćdziesięcioletnia spalać się w ogniu nienawiści.

ci. Dlaczego on we mnie nie płonie? Ludzie mi najbliżsi korzystali przecież z tego słowa: nienawiść. Uznawali wrogość mundurów. Wróg był ubrany w mundur albo niemiecki, albo sowiecki. Wroga nie kocha się, wroga się nienawidzi. Gdyby było w tamtym czasie inaczej, byłoby niemożliwie. Ale wynędzniałych kobiet z wynędzniałymi dziećmi, żebrzących wrogą, nienawistną mową niemiecką na stacjach i stacyjkach, na których nasz repatriacyjny pociąg stał długimi godzinami w 1945, ani moja babka, ani ciotka z polamanymi rękami, ani moja matka nie umiały nienawidzić. Nawet za tę kulę, która zamiast trafić mnie, trafiła święty obraz. Za nic. I zamiast kamienia—nienawiści, kawałek chleba, którego było tak mało i dla nas w tym transporcie o niepewnej ciagle stacji końcowej; i miska „krupek” czyli kaszy albo po prostu zboża. W liceum, gdy zapisałam się do ZMP, matka uderzyła mnie w twarz. — To zdrada — powiedziała. Więc zaczęłam krzyczeć, że pamiętam świetnie ją, wdowę po zamordowanym przez bolszewików ojcu, bandażującą rany trzem ruskim żołnierzom, którzy w 1944 weszli na nasze landwarowskie podwórko napić się wody. — Jakaś ty głupia — odpowiedziała matka — obok nienawiści zostaje jeszcze wiele miejsca, choćby na litosc.

Chłopiec z „Malowanego ptaka” nie zna tego moralnego pojęcia: litosc. Jerzy Kosiński pozbawił go nie tylko wiary „w charyzmatyczną moc religii”. Wrzucił swego sześciolatniego Chłopca w wojenną zbrodnię bez żadnych wspomnień o czasie pokoju. Jego Chłopiec to tabula rasa, czysta karta, nie zapisana przez sześciolatnie dzieciństwo jakimikolwiek uczuciami, ideami, zasadami wrodzonymi lub nauczonymi. Chłopiec ani razu ani nie wola, ani nie wzdycha do swego Boga; nie przywołuje też matki ani na pomoc, ani we śnie; jego rodzice są bez twarzy, dwa anonimowe, nie ponadto. Jakby ich w ogóle nie miał. Chłopiec Jerzego Kosińskiego jest wyposażony wyłącznie w instynkt, właściwy zwierzętom, instynkt przetrwania i walki o przetrwanie. Łatwo postępując się takim tworzywem przeprowadzić dowód na świat, który „jest bunkrem wypełnionym mordującymi się szczyrami”, a „nienawiść nie może umrzeć: jadowita i żywotna jak samo życie, idzie śladem życia, jest jego częścią, jak ogon jest częścią komety”. Ale Chłopiec Jerzego Kosińskiego jest postacią literacką, symbolizującą zło; mój los jest losem żywym, przeżyłym naprawdę, a życie mimo że w swoich postaciach zbrodni potrafi przewyższać okrucieństwo literackich fikcji i symboli, niesie ze sobą także i — a może przede wszystkim — możliwość ocalenia moralnego. Obok nienawiści, jak to powiedziała

mi kiedyś matka, jest cały rozległy obszar na inne ludzkie uczucia, na litosc także.

Katyń, który zamordował mi ojca, Katyń, miejsce kaźni innych ojców, idzie śladem mego życia krok w krok, od wczesnego dzieciństwa po lata dojrzałe i dziś już razem z mną wkracza w moją własną smugę cienia. Ode mnie, od mego stosunku do świata, do ludzi, od mojej etyki, od wyznawanego przeze mnie dekalogu moralnych zasad i idei zależy, jaka przyjmę postawę. Odrzucam nienawiść, nie pragnę odwetu. Głęboko wierząc, że mój ojciec, gdyby mógł przemówić, powiedziałby to samo.

6. Mój ojciec — Katyń — nr AM 2929. Urodzony 1907 roku w Kucharach na Ziemi Kijowskiej. Absolwent Wydziału Geodezyjnego Politechniki Warszawskiej, którą ukończył i ostateczny egzamin dyplomowy złożył z wynikiem bardzo dobrym. Porucznik. Zastrzelony w tył głowy w katyńskim lesie, w chwili mordu zaczynał trzydziesty trzeci rok życia. Dokumentów i zdjęć po nim niewiele, rozrzuciła je wojenna tułaczka.

...z meblami chyba nie da się zrobić, tak jak w spółdzielni chcieli, bo ze składu im nie wydadzą, a tam możliwość nie ma naprawy dokończyć. Zresztą, tak naprawdę, to podczas przeprowadzki znowu mogą się uszkodzić i wtedy naprawa byłaby na próżno, będą ją musieli zrobić już w naszym nowym mieszkaniu... No i chyba trzeba zrobić zapasy na zimę — miodu, masła, konfitur tepe, poradź się Mamusi, dobranoc, Ir...” — z ostatniego listu, datowanego 27.VIII.1939 r.

Meble do nowego mieszkania, zapasy na zimę — za osiem miesięcy nie będzie już żył. I stanie się AM 2929.

Na zdjęciu młody porucznik w galowym mundurze, białe rękawiczki, biały kołnierz, jedzie na czele defiladowej kolumny. To podczas uroczystości 3 maja, opowiadała matka, a dlatego prowadzi defiladę, że był i prymusem Podchorążówką.

I przedostatnie już zdjęcie; młody mężczyzna i młoda kobieta właśnie mi posłubiłom patrząc przed siebie z lekkiem uśmiechem, mając nadzieję na długie, wspólne i szczęśliwe życie. Data na zdjęciu: 1937. Za trzy lata ten mężczyzna dostanie strzał w tył głowy.

Jaki on był, ten mój ojciec, AM 2929, którego nie zdążyłam poznać, a który zespółił się ze słowem Katyń i jest tak wczecobocny w moim całym życiu? W latach dziecińczych, gdy każde słowo matki o nim nizałam do swego różańca wiary i nadziei, był dla mnie moim własnym bogiem. Chciałam być taka jak on, mądra, dobra, szlachetna, uczciwa, wspaniała. Matka opowiadając o ojcu opiewała tylko pomnikowymi przymiotnikami. Smieszne: w latach dziecińczych i nie tylko, pisywałam do ojca długie listy, opowiadając mu o wszystkim, zwierając mu się ze wszystkiego i zwracając się o rady w sprawach, jakie mi sprawiały trudności. Przez te listy był ciałem realnym, ciałem żywym. Pomnikowe przymiotniki matki zaczęły mi jednak w miarę dorastania zawadzać, psuć realność mego ojca. Wyciągałam więc wiele razy na zwierzenia o ojcu mego wujka, który z ojcem się przyjaźnił i znał go dobrze. Ale i w wujka opowiesciach ojciec jawił się jako pomnik. Denerwowałam się.

— Nie o to mi chodzi, powiedz, jaki był?

Któregoś dnia wuj uniósł się. — Więc tak, masz rację, twój ojciec wcale nie był takim, twój ojciec był dumnie! Wszyscy go zawsze naokoło kiwali! Niczego nie umiał dla siebie zatwócić! Głupiś od niego uskwaktwali na intratne stolki, a on, duren, z dyplomem prymusa, topił się po błotach i robił pomiary! I wiesz, jaki on jeszcze był? Omiął ślimaki! Tak, omiął! Kiedyś poszliśmy na spacer do lasu. Było po deszczu, na leśnej drodze pełno ślimaków. A twój ojciec to zrobił krok, to wzdęta, patrząc uważnie, aby broń Boże ślimaczka nie uszkodzić! Sama chciałaś... — zmieszkał się wuj, bo rozplakałam się.

AM 2929, żywciowa fujsara, uważający nawet na ślimaki na drodze, nie pragnąłby zemsty, prosił natomiast o sprawiedliwość.

7. „Morderstwo oficerów, obywateli polskich, jest sprawą polską i sprawą międzynarodową. Dopóki żyje choć jeden z zabójców — tak, spełnić wobec niego należy tę sprawiedliwość. To się należy nie tylko pomordowanym, ale i nam, żywym. Chciałabym zobaczyć twarz zabójcy. Jeśli takiego odnajdą, będzie miał twarz starą, pooraną zmarszczkami, wyblakłe oczy. Chciałabym usłyszeć nie tyle mowę prokuratora, ile słowo obrony oskarżonego. Może wreszcie usłyszałabym odpowiedź na to pytanie, jakie stawiam sobie sama od lat nieustannie; nie tylko przy okazji AM 2929; dlaczego człowiek człowiekowi? Ludzie ludzkom? Tragedia zbrodni człowieka nie zaczęła się od Katynia ani na nim, niestety, nie została zakończona. Ona trwa. „Dzień w dzień — co wieczór, nasze ekrany wypełniają i zalewają obrazy i odgłosy nieszczęść ludzkich wydarzających się gdzie indziej: oglądamy spadające bomby, walące się domy, mordowanie i torturowanie ludzi z powodu pochodzenia, religii, przekonania, koloru skóry”. Cały świat oglądał superzdjęcie biegnącej z krzykiem przez pustą ulicę, płonącej pochodnią wietnamskiej dziewczynki. Cały świat ogląda teraz setki tysięcy wyznawców Chomeńskiego, umazanych krwią, krzyżujących krew! Postawili pod ścianą piętnaście tysięcy rusków i bach! bach! — nienawiść, która nosi w sobie zależek zbrodni kolejnej.

„Wartość życia pojmiś, kto oceni różnicę — co dać może życie, a co można stracić w nim bezpowrotnie” — dedykacja z ostatniego, posiadanej przeze mnie zdjęcia ojca. Tymi słowami ofiarował swoją fotkę ukochanej kobiecie. Miał wtedy lat trzydzieści jeden, i nie wiedział, że za dwa lata umrze, samordowany strzałem w tył głowy.

A ja tę dedykację ofiarowuję dziś młodemu małżeństwu z dzieckiem z cmentarza na Mani. I wszystkim tym, nad którymi wciąż krąży malowany ptak nienawiści.



Rys. Dariusz Romanowicz

1.

Naczelne hasło brzmiało: „Dość rządów lewicy! Prawda, Prawica, Polska!“. Za stołem prezydialnym zasiadli przedstawiciele siedmiu partii — organizatorów owego „Święta Lumpeninteligencji Postępowego Świata“. Oni to właśnie krótką charakterystyką swych stronnictw rozpoczęli obrady. Najczęściej, bo aż osmiokrotnie owacje przerywały Adamowi Krajewskiemu ze Stronnictwa Narodowego: „Zadna państwo nie nauczyło pracować przez pozabawianie pracy. Jesteśmy przeciwni bezrobociu!“

Największe wrażenie zrobił przedstawiciel Liberalno-Demokratycznej Partii „Niepodległość“ Piotr Majchrzak, który z lekką przestraszoną chybą miejscem, w którym się znalazł, chciał głosem wyrazić pragnienie: „związani byliśmy z piśmem „Niepodleg-

by je... dać! Oczywiście w formie specjalnych bonów nie mających siły nabywczej zwykłego pieniądza, a tylko uprawniających do zakupu akcji.“

Podczas przemówienia p. Jerzego Krajewskiego doszło do zgrzytu. Gdy (jako jedyny na Kongresie) pochwalił rząd, a także prezydenta i premiera delegaci zaczęli go wygwizdywać i wyklaskiwać, a przewodniczący obrad w pół słowa usiłował odebrać mu głos, tłumacząc, że o dwie minuty przekroczył limit czasu. Okazało się nagle, że panowie mówiący dotąd o wolności, prawdzie, etyce chrześcijańskiej nie są w stanie tolerować odmiennych poglądów. Ponieważ jednak szef PPD nie uciekł od razu, udało mu się jeszcze powiedzieć: „Mówiono tu o nie-nawiści do komunistów, ale nie robiono tego, gdy byli oni silni, bo wtedy ci ludzie za bardzo się bali.“

reprezentanta rodziny na forum publicznym.“ Książka Kurek nie pozostała w tyle. Oskarżył „budownictwo mieszkaniowe PRL, które celowo zniszczyło tkankę rodziny.“ Uczucie niesmaku osłabił nieco Konrad Szymański (MW): „Piętno komunizmu przewijało się wśród wielu mówców. Treści narodowo-katolickie nie mogą być wprowadzane przy pomocy dekretoń. Polska będzie taka, jakiej będą jej chcieli wszyscy Polacy.“

6.

Część artystyczną rozpoczął niezastąpiony Janusz Korwin-Mikke (UPR), który wygłosił tekst z pogranicza kabaretu politycznego pt. „Dzieci choroba lewicowości“. Tekst ów składał się z kilku zwrotek i powtarzanej chyba pięciokrotnie refrenu: „Komuny nie chcemy, nie chcemy i już!“

tu „Dobrobyt“, kwartałnik konserwatywny „Stańczyk“, pismo Klubu Zachowawczo-Monarchistycznego „Pro Fide, Rege et Lege“, miesięcznik UPR „Opcja“ i wiele, wiele innych. Duży wybór był również w proponowanych książkach. Z tytułów, których naprawdę nie spodziewałem się tam spotkać, wymienię tylko kilka: „Lenin w Zurychu“, „Kuchnia Polska“, „Rzeka śmierci“, „Pamiętniki Fanny Hill“...

W szatni obdarowano mnie ulotką podpisaną przez inż. Jerzego Korfatego, którą za szczytną ciekawością światła kilkakrotnie lapezywie przeczytałem. Najbardziej spodobał mi się następujący fragment: „Słabość prawicy spowodowała to, że kler katolicki w Polsce zaczął sobie szukać potężniejszych współpracowników spośród świeckich, a ci okazali się lewicą i to bardzo operatywną, która zresztą wmaneurowała Kościół w antynarodowe wybory '89, rezultatem których powstał żydomasoński rząd Mazowieckiego, antynarodowy, antypolski i skrycie antykatolicki. Gdyby Mazowiecki był szczerym katolikiem już dawno (...) przeprowadziłby reformę polskiej gospodarki.“ Amen.

8.

Okolo godziny 13-tej pod Salą Kongresową pojawiła się młodzież z lewackiej organizacji KRET i Miedzimiastówki Anarchistycznej. Wówczas to na zewnątrz wyszli skini, którzy stanowili część ochrony Kongresu. Zaczęło się od wzajemnego przekrzykiwania: — „przec z prawicą“, „przec z lewicą!“ W pewnym momencie sprowokowany skini cisnął butelką. Gdy ludzie na chwilę się rozbiegli, ujrzałem leżące na chodniku czlowieka, trzymającego się za głowę. Podobno był to Erazm Ciołek. W odpowiedzi posypały się petardy, po obu stronach pojawiły się pałki. Rozpoczęło się przerażające widowisko...

Nikogo nie wypuszczano, ponieważ wszystkie wejścia obstawione były z zewnątrz. Obstawiający skini wyglądali jak bohaterowie. W pewnym momencie natknąłem się na dwie panie z obsługi pałacowej. Z bladymi twarzami stały pod ścianą, a jedna z nich drżącym głosem uspokajała, ni to siebie, ni to swoją towarzyszkę: — „Nie bój się, pałac jest mocny, niejedno przetrzyma.“

Obłędnie trwało na szczęście dość krótko, gdyż napastnicy udali się na pobliskie Dworzec Centralny, by powitać przybyłych akurat do stolicy kibiców ŁKS. Ciekawi mnie tylko dlaczego nie interweniowała policja, mimo że służbowy polonez stał naprzeciwko pałacu, a przyglądający się bójce policjanci nie zareagowali nawet wówczas, kiedy parę metrów przed maską samochodu wybuchła petarda...

9.

Janusz Korwin-Mikke powiedział na konieci: — „Polityka zagraniczna nie może się opierać na przyjaźniach czy dogmatach. (...) Mamy jednego wspólnego wroga — lewicę, ale jest to wrogi ideologiczny, a nie rasowy. Trzeba się różnić pięknie, inteligentnie.“

Kongres polskiej prawicy stanowiący początek walki propagandowej przed zbliżającymi się wyborami do Parlamentu. Było to bezspornie wydarzenie, które przejdzie do historii, bo oboje po przeszło 50 latach publicznie reaktywował się obóz polskiej prawicy. Prawica wyłoniła się słaba, rozbita, wewnętrznie skłócona, ale pod swoimi własnymi sztandarami.

Jak jest naprawdę — pokażą wybory.

# Łodzi potrzebne jest nowe myślenie

1.

Nie bać się dziś głosować na listy SdRP, to znaczy pozbyć się lęku i zahamowań w ujawnianiu swoich lewicowych sympatii. Z tym, jak wiem, jest różnie. Ta część zatroskanego o swoją przyszłość społeczeństwa, która liczy na zachowanie dotychczasowej pracy, czy wręcz awans w szkołach, urzędach, na uczelniach, a nawet fabrykach, powstrzymuje się niejednokrotnie przed ujawnianiem swoich opcji politycznych. Nie boją się tylko emeryci, bo im emerytury nie zabiorą.

Drugi powód powściągliwego stosunku do Socjaldemokracji RP to doświadczenia minionego 45-lecia. Doświadczenia jeszcze świeże i rozmaite, tak jak różne i powiklane są losy Polaków. W wielu życiorysach, podobnie jak w bilansie dziejów PRL nie brakuje rozczarowań, goryczy, a nawet tragedii. Tylko że mało kto chce pamiętać, że skutki błędów tzw. realnego socjalizmu i represje stalinizmu nie ominęły również dużej części uczciwych ludzi lewicy. Cóż, żyjemy w czasach niebywałego przełomu. Jesteśmy jak pisał poeta: „W pół drogi...“. A już tacy zmęczeni. Tacy zgorzkniali. I nierazko — w ocenie przeszłości — pochopni, niesprawiedliwi, a często wręcz — nieuczciwi. Stąd biorą się rozterki...

2.

Dzisiaj lewica znaczy co innego, niż przed kilku laty, niż rok temu. To już nie „monopartia“, w której rozmaite nurty i opcje ujawniały się ostro jedynie w okresach przełomów. Na lewicy, również w Łodzi, jest kilka partii. Jedną z nich jest SdRP. Socjaldemokracja to partia pragmatyczna. Ruch sytuujący się w centrum lewicy demokratycznej. Tradycyjnie socjaldemokracja ciąży ku klasom średnim, nie stroniąc bynajmniej od robotników, pracowników sfery usług, ludzi wolnych zawodów. W Łodzi SdRP pozostaje wciąż przede wszystkim partią ludzi pracy najmniejszej. Nie sposób mówić o automatycznym przechodzeniu członków byłej PZPR do nowej partii lewicy. SdRP w Łodzi zrzesza niewiele ponad 500 członków. Liczniejsza jest reszta jej sympatyków. Jak liczna naprawdę, to pokażą wybory do samorządu.

3.

(Z początku, jakby wzorem WKO i LPO, próbowano pójść do wyborów blokiem. W Łodzi się to nie udało. Natomiast w Pabianicach SdRP idzie do wyborów w Pabianickim Sojuszu Wyborczym, zaś w Zgierzu w koalicji pod nazwą: Porozumienie Ludzi Pracy.

Na samodzielnych listach SdRP zgłoszonych we wszystkich dziesięciu okręgach w Łodzi znaleźli się obok członków — założycieli oraz członków, którzy wstąpili do partii niedługo po Kongresie, także bezpartyjni — sympatycy. Razem 71 osób.

W gronie kandydatów na radnych zarejestrowanych na liście SdRP przeważają ludzie w wieku czterdziestu lat. Ludzie dojrzałi, a jednocześnie jeszcze nie zmęczeni życiem w ciekawych czasach. (Duża ich część legitymowała się wyższym wykształceniem.) Ich autem jest także: spore doświadczenie życiowe, społeczna dojrzałość i wysoka kultura polityczna.

Prezentując swoich kandydatów konkurencja eksponuje często tzw. nowe kombatanctwo, tj. wybiła w życiorysach internowania lub zaangażowania w obronę aresztowanych działaczy byłej opozycji. Na liście SdRP takich osób nie ma. Ale nie ma także i tych, którzy zawiadowali miastem po 13 grudnia 1981 roku. Wprost przeciwnie — wielu z kandydatów na radnych ucierpiało wówczas dotkliwie za prezentowane wtedy postawy i poglądy. Generalnie jednak trzeba stwierdzić, iż kandydaci SdRP zorientowani są nie na rozpamiętywanie przeszłości, licytowanie się życiorysami, lecz na myślenie i działanie dla przyszłości. To dobrzy fachowcy i pragmatycy.

4.

Socjaldemokracja deklaruje się jako opozycja alternatywna. Tak więc SdRP czeka potwierdzenie umiejętności opanowania trudnej sztuki rzetelnego i lojalnego współdziałania z siłami rządzącymi przy zachowaniu politycznej tożsamości, wręcz — odrębności. Tylko w ten bowiem sposób można zabiegać o społeczne poparcie dla propozycji alternatywnych jasno i odpowiedzialnie akonstruowanych. Nie ma pluralizmu bez wyraźnie zadeklarowanej opozycji, bez ludzi myślących inaczej niż kręgi władzy.

SdRP w Łodzi, zachowując własny punkt widzenia, pragnie współdziałania z wszystkimi siłami i ugrupowaniami politycznymi, których przedstawiciele znajdują się w Radzie Miejskiej, aby „przechostawiać się coraz bardziej nastawiając jął bezrobocia poprzez organizację komunalnych stanowisk pracy i tym samym zapobiegając degradacji ludzi pozabawionych zajęcia; stworzyć warunki dla rozwijania różnych form budownictwa mieszkaniowego oraz przygotować tereny pod takie budownictwo“.

SdRP uważa, że należy w Łodzi „radkalnie poprawić organizację handlu, usług, komunikacji miejskiej, a tym samym ulżyć mieszkańcom Łodzi, w tym łódzkim kobietom“ oraz „położyć kres degradacji warunków życia poprzez troskę o warunki higieniczne i estetykę ulic, parków i osiedli, zapewnienie obywatelom poczucia bezpieczeństwa“.

Co nas różni od konkurencji?

1. Jesteśmy za postępem i rozwojem, lecz nie za wszelką cenę, nie za cenę dalszego, drastycznego spadku poziomu życia.

2. Obstawiamy za zmianami, za przebudową gospodarki, ale trzeba powstrzymać recesję. Musimy ratować łódzki przemysł. Z pustą kassą miejską nie rozwiążemy żadnego z ważnych problemów miasta.

3. Jesteśmy za reprzytaczającą i różnorodnością typów własności. Operację odpaństwowienia gospodarki trzeba przeprowadzić tak, aby nie stała się ona łupem (tanim) obcego kapitału.

4. Nie ma w gronie kandydatów na radnych z listy SdRP dyktantów i debutantów w działaniu społecznym, natomiast jest sporo takich, którym się w życiu udało.

Samorządność to różnorodność i pluralizm oraz trudna sztuka współpracy, umiejętność pozyskiwania innych niekoniecznie myślących tak samo jak my, choć pragnących tego samego — życia godnego na poziomie cywilizacyjnym końca XX wieku. Łodzi potrzebne jest nowe myślenie. Musi dokonać się przełom w świadomości mieszkańców miasta. Trzeba tego, czego w Łodzi dotąd brakowało — woli i umiejętności zerwania z marną egzystencją w cieniu pobliskiej stolicy.

KAROL J. STRYJSKI

1 maja 1990 roku, o godzinie 11.30 „mazurkiem Dąbrowskiego“ zainaugurowano I Kongres Prawicy Polskiej, który odbywał się w Sali Kongresowej Pałacu Kultury i Nauki niegdys im. Józefa Stalina.

## Pałac jest mocny i wielu przetrzyma

MICHAŁ GRALAK

łość“, które kruszyło schematy, stereotypy i myślenie, że tym ludziom trzeba by było kiedyś wystawić jakiś maty pomnik“. Moje serce ścisnęło się.

Pozostali organizatorzy to: Młodzież Wszechpolska, Ruch Narodowo-Liberalny, Słowo Narodowe, Unia Polityki Realnej i Związek Młodzieży Demokratycznej „Prawica“.

2.

Pierwszą część obrad poświęcono omówieniu aktualnej sytuacji politycznej w kraju. Została ona jednogłośnie skrytykowana jako „rządy neokomuny“ w której „zamiat PZPR podstawiono PZRO — Polski Zjednoczony Ruch Obywatelski, oparty na ideach zbliżonych do miedzynarodówki socjalistycznej“. Powiedziiano: „Poseł Michnik i jego koledy są uprzejmi i otwarci, ale tylko dla komunistów“. Wystąpił Mieczysław Malczyk (kandydat na radnego na Władzie w Łodzi), który opowiedział zbranym o pracy Łódzkiego Porozumienia Obywatelskiego. I choć zakończył demagogicznym: „w Łodzi lewica nie przejdzie!“ — to bez wątplenia było to najbardziej konkretne i konstruktywne przemówienie.

3.

W części obrad przeznaczonych na dyskusję podniesiono również problem polskiej gospodarki. I tak, dr Jędraszewski (UPR) zauważył, że straty powstałe w wyniku działań rządu Tadeusza Mazowieckiego są większe niż przez 9 ostatnich lat: „zmierzamy do zerowej produkcji i zerowej konsumpcji“. Pomoc z Zachodu uznał za szkodliwą, gdyż „profesorowie z zagranicznych uniwersytetów, którzy są ojcem gospodarczego programu rządowego są zainteresowani, by żaden dolar nie został dobrze zagospodarowany, zaś matka owego programu, czyli lewica łowka utrzymuje strukturę przemysłu PRL“. I prowadzi do eksportu „nadwyżki ekonomicznej za granicę na pokrycie najprawdopodobniej rzekomych długów“. Stąd wniosek że „przy okrągłym stoliku dogadali się czerwoni z różowymi“. Uznał, iż jedynym ratunkiem jest szybka prywatyzacja. Sposobem na powstanie i wzmocnienie polskiego kapitału prywatnego mogłoby być choćby „rozrzucenie ze śmigłowców i samolotów papierów wartościowych“.

Równie niekonwencjonalnym pomysłem popisał się prezes Polskiej Partii Dobrobytu — Jerzy Krajewski, który wyliczył, że gdyby chciał rozdzielić majątek państwowy, to na każdego Polaka przypadłoby po 26 milionów złotych. Pan Prezes zaproponował więc,

4.

Zaprezentowano podstawy prawicowej koncepcji polityki zagranicznej. Jarosław Szymański z Łódzkiego Ruchu Narodowo-Liberalnego stwierdził, że „idea Wspólnej Europy jest pretekstem dla Niemiec do ekonomicznej ekspansji na Polskę i Europę Środkową“. Podkreślił także, że nie leży w interesie Polski ingerowanie w sprawy wewnętrzne ZSRR, ale rząd polski w ogóle nie zwraca się w stronę żyjących za Bugiem rodaków (mówiła również o tym pani Klenicka — gość z Białorusi). A więc „Polska powinna być otwarta na Zachód, ale opierać się o Ścianę Wschodnią“.

Ciekawym akcentem było krótkie wystąpienie p. Pruszyńskiego (wydawcy „Polish Express“ z Toronto), który powiedział: — „Wszyscy zapominają, że jedynym sojusznikiem Polski są Polacy mieszkający na obczyźnie. Oni także powinni mieć swoją reprezentację w Parlamencie na Wiejskiej. Przed wyborami '89 wystaliśmy listę naszych kandydatów, ale „Solidarność“ zignorowała to. My jednak jesteśmy cierpliwi i czekamy na wolne wybory!“

5.

Najbardziej wstrząsający był dla mnie przemówienie się przez cały Kongres wątek moralności polskiej rodziny. Początkowo odebrałem to dość humorystycznie, z każdym kolejnym mówcą jednak, na widok ich poważnych, zaciekłych twarzy rosta coraz bardziej ogarniające mnie przerażenie. Rozpoczął poseł Szatybejko: — „O, zbrodnicze matki, zbrodniczy ojcowie, babcie i dziadkowie! Mówię o tych, których nie ma wśród nas“. Ustawę o usuwaniu ciąży nazywał „koncesją na zabijanie w imię złe pojętej godności kobiety“ i wyciągnął wniosek, że jej zniesienie będzie nie cofnięciem demokracji, lecz fundamentem także w Rzeczypospolitej. Wyraził także „największe zaniepokojenie z obserwowanych treści pornograficznych w gazetach, reklamach, kalendarzach, kinach i teatrach“. Zawtórował mu Roman Giertych (MW) który obliczył, że ilość wyżej wymienionych treści znacznie się powiększyła od momentu dojścia „Solidarności“ do władzy. Zajął się też wychowywaniem młodzieży. Stwierdził że szkoły „uczą żyć w ateizmie“ zamiast uwypuklać związek narodu z katolicyzmem, podkreślał, że wiara jest jedynym, „Trzeba dokonać takiego przewrotu jak rewolucja kulturalna, tylko w drugą stronę!“ W problematyce tej zresztą odnalazł się dr Jacek Bartyzel z Łódzkiego Klubu Konserwatywnego, który zamierza pracować na rzecz „odbudowy pozycji ojca, jako

zaś jego zakończenie brzmiało: „Na socjalizm nie ma miejsca w Polsce, poza, być może, Teatrem Syrena“. Kiedy później zapytałem o powody, moim zdaniem, zenującego przemówienia, Mistrz Krótkiej Formy obraził się na mnie i na odchodnym powtórzył: „Bo ja nienawidzę socjalistów!“

Zupełnie natomiast zaskoczył mnie profesor Maciej Giertych (redaktor naczelny „Słowa Narodowego“), który z kole opowiedział zgrabną nowelkę o dużych walorach poznawczych. I teraz już wiem, że wszystkie dzieje się za sprawą „żydowsko-niemieckiego spisku, który chce światu ukazać jak mało jesteśmy warti, by przygotować go na zagładę Polski. Stoją za tym wszystkie niechrześcijańskie siły świata!“ W tym mniej więcej momencie poczułem, że tracę złudę realności. I widocznie siuszenie poczułem, bo tuż po przerwie dr Jacek Bartyzel (KK) ogłosił, że „państwo posiada cel metafizyczny, wszystko dzieje się z woli samego Stwórcy“, a w ogóle, to „najpierw trzeba żyć, a później filozofować!“

Zupełnie już skołowanego dobił mnie Mieczysław Janosz (Stowarzyszenie Ofiar Wojny), który raz mówiąc, raz krzycząc wyznał: — „Smutne jest moje życie i smutne jest wasze życie, bo smutne jest życie Polski, bo Polska jest w stanie wojny. Z tytułu reparacji wojennych należy się nam ponad 500 mld marek. Poseł Gawski złożył w Sejmie wniosek, który trafił do Gieremka — i nie się nazywał Gieremek za judaszowskie srebrniki zdradził w imię interesu Niemców i Żydów (...). Trzeba stworzyć własną armię, policję nie czekając na żadne ustalenia sejmowe, bo te są przeciwko nam!“

Wspólnymi siłami sali i Prezydium udało się zakończyć przemówienie i zdecydowanie nie dopuszczono do bisów, które nierzadko miały miejsce. Damokles zawisł nam nad głowami. I może dlatego właśnie pominięto milczeniem propozycję sojuszu z „Solidarnością 80“ Mariana Jurczyka.

7.

W kuluarach kwitło życie towarzyskie i handel. Tam, jak przyznano na konieci Kongresu, doszło do bezpośrednich kontaktów, które w przyszłości owocować mają współpracą partii i środowisk. Również w tym miejscu spotkać można było szczęśliwców, którym po wydaniu dwóch i pół tysiąca złotych za małą butelkę toniku, niespieszno było od razu opróżnić ją całą — spacerowali więc ścigając spojrzenia spragnionych biedaków.

Były liczne stoiska z książkami, prasą itp. Zauważyłem m.in. okolicznościową „Gazetę Kongresu Prawicy Polskiej“, organ Polskiej Partii Dobroby-

## Anatolij Kaszpirowski w Polsce.

Takiej sensacji nie było chyba od czasu prajazdu Lucelli Santos, odtwórczyni roli Isary. Brazylijska aktorka i radziecki lekarz mają zresztą — wbrew pozorom — wiele ze sobą wspólnego: ogromną swą popularność oboje zawdzięczają telewizji. Dzieli ich jednak równocześnie przepaść: o ile z niewolnicy Lucelli żartować sobie można do woli, o tyle w przypadku psychoterapeuty Kaszpirowskiego żarty są nie na miejscu. I to nie ze względu na niego samego, lecz na tysiące nieszczęśliwych, cierpiących ludzi, którzy z jego osobą wiążą — ostatnią nadzieję — nadzieję. Nadzieję na cud, który stanie się i ich udziałem, który wybawi ich od śmierci, uwolni od choroby, przywróci normalnemu życiu. I o tych ludziach, o ich cierpieniu, o ich bezradności i rozpaczach, o ich nadziei i wierze nie wolno zapominać, gdy podejmuje się tak fascynujący temat, jak fenomen Anatolija Kaszpirowskiego...

Anatolija Kaszpirowskiego znam dotąd — jak wszyscy — z ekranu telewizyjnego. A teraz — zetknąwszy się z nim po raz pierwszy oko w oko — zastanawiam się, czy doktor wyróżniałby się czymkolwiek z tłumy, gdyby nie wyrwał się z niego na szczyty sławy swoim talentem, uporem, pracą, a może szczęśliwym dla siebie zbiegiem okoliczności? Chyba nie, bo teraz właśnie, gdy siedzi na niewygodnej kanapie na wprost gromady dziennikarzy, sprawia wrażenie człowieka niepozornego i skromnego, żeby nie powiedzieć — bardzo przeciętnego.

Niewysoki, krępy, z szerokimi ramionami i potężną klatką piersiową przywodzi bardziej na myśl ciężarowca lub zapalnika, niż lekarza obdarzonego niezwykłymi umiejętnościami. Wrażenie takie jest o tyle zasadne, że doktor uprawiał w młodości ciężką atletykę, z niewątpliwymi zresztą sukcesami, skoro trafił na długo do reprezentacyjnej drużyny Ukrainy. Jego twarz jest również twarzą sportowca — z wydatnym, rozplaszczonym nosem i silnie zarysowaną szczęką, z gęstymi jeszcze, krótko ostrzyżonymi włosami. Włosy — kruczoczarne. Ich jednolity, nienaturalny kolor nasuwa podejrzenie, że są sztucznie barwione, nie najlepszą do tego farbą. Czy to prawda? Należałoby zapytać samego doktora, ale on — bardzo drażliwy, czemu daje wyraz również podczas pierwszej w Polsce konferencji prasowej.

Nie wiem, może się mylę, ale przez cały czas zdaje mi się, że ten wielki Anatolij Kaszpirowski, mistrz spokoju i opanowania, siedzi przed nami spięty, maksymalnie skoncentrowany, jakby się spóźnił przez cały czas do walki z groźnym przeciwnikiem. Nic w nim nie ma z nonszalanckiej, psychicznego luzu tak nam dobrze znanego z telewizyjnych seansów, podczas których wydaje się być niesłychanie pewny siebie, potężny, władczy. A tu? Zmęczenie? Wrócił wprawdzie o północy z wycieczki do Krakowa, ale organizatorzy jego pobytu w Polsce przesunęli o godzinę śniadanie, narażając tym samym dużą grupę reporterów na godzinne oczekiwanie początku konferencji prasowej, zwołanej zresztą niefortunnie w upalne, święteczne przedpołudnie. Jeśli więc nie zmęczenie, to co? Może po prostu niechęć do dziennikarzy, którym wprawdzie w sporej mierze zawdzięcza swą popularność, ale i których winę może za współudział w nagonce, jaka rozpetana została przeciw niemu w Związku Radzieckim. Polscy dziennikarze nie dali się jeszcze A. Kaszpirowskiemu we znaki, chociaż...

Kiedy w poniedziałek, 30 kwietnia 1990 r., na trzy kwadranse przed północą wojskowy helikopter Mi 8 z A. Kaszpirowskim na pokładzie lądował na Lublinku, czekała tam ekipa łódzkiej telewizji, mimo że przyłot miał się dokonać w ścisłym sekrecie. (Nb. są oczywiste powody, żeby o „rozsyfrowanie” tajemnicy posiadacza Konrada Turowskiego, wiceszefa Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego, rasowego przecież reportera, który w przeszłości nie z takim sekretami dawał sobie radę). Łódzcy opiekunowie doktora wszczęli z tego powodu awanturę, jeden z nich — bodaj Mirosław Kuliś, do niedawna niezły dziennikarz — nakazał operatorowi wyłączenie kamery, co ten skwapliwie uczynił, nie pomny najwidoczniej, że minęły czasy, kiedy to byle urzędnik czy posterunkowy mógł zabronić dziennikarzowi wypełniania służbowych obowiązków. Tak czy inaczej, telewizjowie obejrzyli tylko krótką migawkę z zawieszonym nad ziemią helikopterem i wysłuchali komentarza wraz z informacją, że A. Kaszpirowski podobno podał sobie spódnie, przedzierając się przez krzaki do helikoptera, który uwiózł go zaraz na lotnisko pod Łęczycą, skąd samochodem przewieziony został już bez przeszkód do Łodzi.

Piszę „podobno” — nie byłam tam, nie widziałem. Widziałem za to i słyszałem, jak telewizyjna ekipa usiłowała powetować sobie tę porażkę w cztery dni później, przed czwartko-



Kaszpirowski story (1)

## Na początku zbierał butelki

JACEK INDELAK

wą konferencją prasową. Wschodząca gwiazda łódzkiej telewizji — Małgorzata Kalużyńska, której ponoć udało się sforsować nawet obstawę Lecha Wałęsy i uzyskać jego wypowiedź, doprowadziła do głośnej scysji, upierając się przy nagraniu z Anatolijem Kaszpirowskim wyłącznie dla telewizji. I postawiła na swoim, konferencja prasowa odwołana, a nastąpił kwadrans, ale czy nagranie się powiodło? Nie wiem, nie widziałem.

Anatolij Kaszpirowski siedzi na kanapie. I sprawia wrażenie spiętego, czujnego.

Pytanie, odpowiedź, pytanie... Daje się doktor ponieść emocjom, gdy pod koniec konferencji Beata Drozdowska ze „Sztandaru Młodych” pyta:

— Ile pan zarobi na występach w Polsce? Z odpowiedziami spieszy, w imieniu organizatorów, Mirosław Kuliś:

— Wszystkie sprawy finansowe załatwia agencja „Moskwa” w Moskwie. Doktor nie zajmuje się ustalaniem wysokości honorarium czy cen biletów. W ogóle pan Kaszpirowski jest człowiekiem bardzo bogatym, nie musi zabiegać o dochody, zresztą sporą z nich część rozda, przeznaczając duże fundusze na cele społeczne. Mimo tego wyjaśnienia, sam A. Kaszpirowski zabiera głos:

— Europejczycy zapatrzeni są ślepo na Amerykę, która w ich opinii urzeczywistniła większość ideałów ludzkości. A przecież jedną z cech amerykańskiego stylu życia jest to, że tam nikomu nie przynosi ujemny zarobek pieniędzy. Tam za prawdziwą pracę płaci się prawdziwe pieniądze. Ten, kto ma jakiś talent, kto wykonuje jakąś nieprzeciętną pracę, zarabia odpowiednio do swoich umiejętności i zdolności. I tam jest to oczywiste dla wszystkich. Bo czy ktoś komuś zabrania mieć talent? Pytacie mnie o pieniądze? Do czterdziestego roku życia nie miałem własnego mieszkania. Tułalem się z rodziną po różnych sutenerkach, ale wtedy nie przyszedł żaden dziennikarz i nie zapytał, jak mi się mieszka. Przed laty, ja lekarz, musiałem dorabiać, zbierając butelki i sprzedając je w punkcie skupu. Pamiętam, pewnej zimy niosłem przez całe miasto torby z butelkami, bo nie miałem trzech kopiejek na tramwaj. Ręce mi zgrabiły bez rękawiczek. Dotarłem wreszcie do punktu skupu, a tam wywieszka, że nieczynny. Różnym butelkami o ziemię i wróciłem do domu. I wtedy też żaden dziennikarz nie zapytał mnie, czy następnego dnia będę miał za co zjeść śniadanie? Tak, proszę państwa, przez ostatnie półtora miesiąca czterokrotnie przekroczyłem ocean, startowałem w samolocie dwadzieścia trzy razy i tyleż samo razy lądowałem, wyleczyłem tysiące ludzi, spałem po trzy czy cztery godziny na dobę... Proszę państwa, pytać mnie o pieniądze jest naprawdę nieetyczne!

Odpowiedź ta — zwłaszcza jej ton — wzbudza spore zdziwienie. W normalnych warunkach wywołałaby najpewniej dyskusję o wyższości radzieckiego nad amerykańskim stylem życia, o roli Stalina, Chruszczowa i Breżniewa

w życiu Kaszpirowskiego, cóż, gość ma u nas swoje prawa, a że zapytano go o pieniądze?

To tylko gentlemani nie rozmawiają o pieniądzu, dziennikarz ma nie tylko prawo, ale czasem i obowiązek pytać o nie, tym bardziej, że pięćdziesiąt tysięcy za bilet wstępu do Hali Sportowej, która naraz może pomieścić co najmniej siedem tysięcy osób, zdaje się być ceną wygórowaną.

Mirosław Kuliś służy w wyjaśnieniami i w tej sprawie:

— Proszę państwa, przed konferencją doktor Kaszpirowski protestował przeciwko zbyt wysokiej cenie biletów na jego seanse. Negocjacje jeszcze trwają, bo nie udało nam się dotąd przekonać go, że to naprawdę nie jest wygórowana cena.

Wypowiada się w tej sprawie i sam doktor: — Przyjechałem tutaj, żeby odpocząć, ale oczywiście jest, że chcę podziękować za gościnę, leżąc w Polsce choruję. Obie strony muszą być jednak z mojego pobytu zadowolone. Chcę, żeby bilety na seanse były jak najbardziej dostępne. Dla wszystkich, a nie tylko dla wybranych. Nie przyjechałem tutaj, żeby zarabiać. Chciałbym, żeby Polacy wspominali mnie przyjaźnie...

Negocjacje — jak już wszyscy wiemy — kończą się niepomyślnie dla pacjentów doktora Anatolija Kaszpirowskiego, a rozmowa o pieniądzu nie jest pierwszym i nie ostatnim zgrzytem podczas jego pobytu w Polsce. Być biednym i chorym nie przynosi ujemny, lepiej jednak być zdrowym i bogatym.

W doktorze Kaszpirowskim jest wiele gorczy. Na pewno uzasadnionej. Do niedawna żył przecież na granicy ubóstwa, jak większość zresztą lekarzy w Związku Radzieckim, ale czy tylko tam? A co mogą powiedzieć nasi lekarze? Ba, czy doktor wie — na przykład — że moje honorarium za ten reportaż nie sięgnie pewnie ceny jednego biletu na jego seanse? Czy ja, czy moi koledzy dziennikarze możemy mieć o to pretensje do radzieckich lekarzy? Niechaj więc i doktor Anatolij Kaszpirowski nie ma żalu do dziennikarzy, że pytają go o pieniądze. Zwłaszcza że do Polski przyjechał nie na zaproszenie charytatywnej instytucji, lecz przedsiębiorstwa, które od początku do końca jest nastawione na zysk.

Mówi doktor — przy innej okazji — że znalazł w życiu również i głodu. O sobie jednak opowiada niechętnie, zastrzegając się wręcz:

— Życie prywatne staram się zachować w sekrecie... Powiem tylko tyle, że jestem w pełni zdrowy, nie korzystam z pomocy innych lekarzy.

To i owo o życiu Anatolija Kaszpirowskiego da się jednak powiedzieć, gdy zsumuje się różną informację rozszaną po prasie krajowej i zagranicznej lub też zawarte w jego mniej lub bardziej publicznych wystąpieniach.

A zatem — ma 50 lat, jest psychiatrą z zawodu; żona — Walentyna; córka studiuje medycynę; syn uczy się jeszcze

w dziesięćlatce; ostatnio mieszkali w Kijowie.

Studia medyczne ukończył w Winnicy na Ukrainie, sporym miastem odległym o trzysta kilometrów od Kijowa. W Winnicy — gdzie mieszka dotąd jego matka, Polka z pochodzenia — spędził najdłuższą część życia. Podczas studiów, jak sam kiedyś powiedział, kanon oficjalnej medycyny starał się maksymalnie rozszerzać, aby jak najlepiej zgłębić tajniki ludzkiej psychiki, studiował więc na prywatny użytek filozofię, włącznie z jej idealistycznymi kierunkami, etnografię i antropologię, rozczytywał się w literaturze pięknej, która dostarcza przecież większej wiedzy o człowieku niż najpoważniejsze traktaty naukowe, interesował się też Dalekim Wschodem, zwłaszcza Tybetem i Chinami. Po stażu na szpitalnym oddziale w Winnicy, podjął praktykę psychiatryczną w Winnicy, pracował 27 lat w różnych poradniach i szpitalach.

Z tego, że powodziło mu się źle, że prawie dwadzieścia lat czekać musiał na przydział mieszkania — wnosić można, że był uczciwym lekarzem, a nie dyspozycyjnym psychiatrą, spełniającym wszelkie polecenia KGB, wykorzystującego — jak wiadomo — psychiatrę do niezakodliwania osób o opozycyjnych zapatrywaniach, co jeszcze do niedawna było w całym Związku Radzieckim wręcz powszechną praktyką.

Występy publiczne podjął już przed kilkunastoma laty, do czego popchnęły go — nie ukrywając tego — również i potrzeby materialne. W końcu to było lepsze niż zbieranie pustych butelek. Odbył takich spotkań wiele, przemierzając kraj wzdłuż i wszerz. Liczbę spotkań, wykładów i seansów określa obecnie na 1800 od tamtych czasów do tej pory. O swoich wystęпах mówił szerzej w dyskusji na temat „Telepsychoterapia: granice, możliwości”, jaka się odbyła w listopadzie 1989 roku w Instytucie Filozofii Akademii Nauk ZSRR:

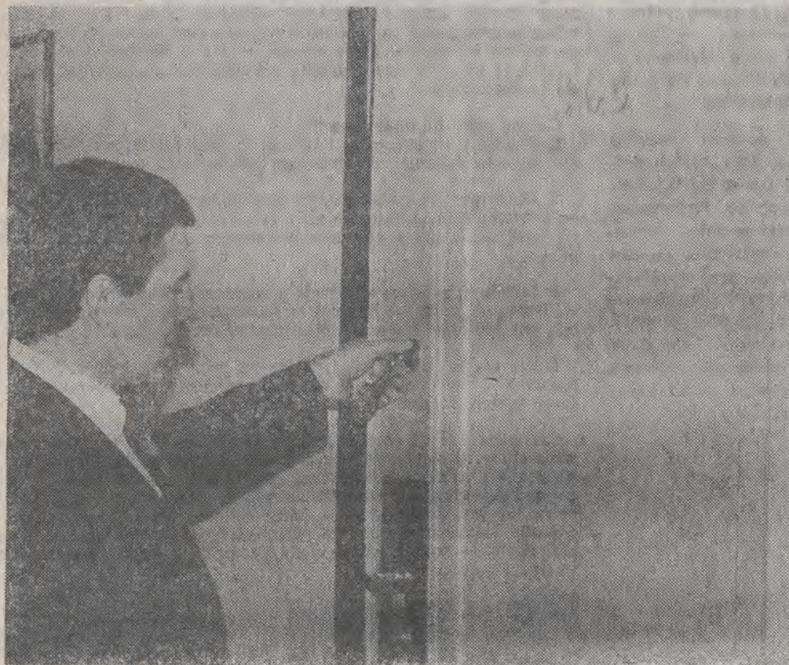
— Co mi dały te występy? Prezentowałem w czasie nich swoje poglądy na temat psychoterapii, psychologii, zdrowia psychicznego. Wyobraźcie sobie państwo, że występujcie gdzieś na wsi, gdzie zbiera się podłoga niekiedy publiczność, jest godzina dwunasta albo pierwsza w nocy, żądają potwierdzenia wypowiedzianych opinii. Żeby udowodnić, trzeba coś z nimi zrobić. Dlatego przychodziło mi demonstrować tak zwane doświadczenia psychologiczne, których nigdy nie lubiłem. Z drugiej jednak strony pozwałały mi one sprawdzić podstawowe techniki psychoterapii.

Przepracowałem 27 lat, a to w zupełności wystarczy, żeby móc stwierdzić, czy jestem dobrym, czy też złym psychoterapeutą. Występy dały mi jeszcze większą praktykę. Pamiętam salę w pobliżu Uchty, gdzie zasiadło 300 szczególnie groźnych recydywistów — takich z fasonem, z poczuciem własnej godności. I moje doświadczenia powiodły się. Im trudniejsi słuchacze, tym doskonalszych trzeba szukać do nich kluczy.

Ciekawe, na czym polegały wspomniane „doświadczenia psychologiczne”. Trudno to ustalić, bo doktor zwykł się wypowiadać na temat technik i metod swej pracy bardzo enigmatycznie. Pilnie strzeże tajemnicy swego sukcesu, czego i ja doświadczyć wkrótce na sobie, naraziwszy się doktorowi srodze, a całkiem bezwiednie, niechcąc.

Tajemnica — tajemnica, jednak pozwolę sobie na skromny domysł. Przypuszczam mianowicie, że owe „doświadczenia psychologiczne”, to głównie oddziaływanie sugestią. Kto wie, czy nie przy użyciu najbardziej spektakularnej techniki psychoterapeutycznej, czyli hipnozy grupowej? Nawet gdybym miał rację, i tak najpewniej nie uzyskam potwierdzenia, bo przecież każdy lekarz radziecki wie, że już w 1889 roku wprowadzono w Rosji bezwzględny zakaz publicznego stosowania hipnozy, w 1924 roku natomiast wprowadzono przepis, zezwalający na posługiwanie się hipnozą tylko i wyłącznie przez lekarzy, a i to tylko w placówkach naukowych i leczniczych. Ten stan prawny nie uległ bodaj dotąd liberalizacji, a jeśli nawet, to i na terenie Związku Radzieckiego respektowany być powinien bezwzględny zakaz Międzynarodowego Towarzystwa Hipnotycznego — zakaz publicznego stosowania hipnozy w celach estradowych i komercyjnych.

Wracając jednak do zasadniczego wątku, powiedzmy, że momentem przełomowym w życiu doktora i początkiem drogi do sławy wydaje się być kuracja odchudzająca, jakiej podjął się on wobec 200 grubasów z Kijowa, którzy zgłosili się do spółdzielni lekarskiej, gdyż nie mogli sobie poradzić z nadwagą. Doktor zajął się nimi, stosując — prócz psychoterapii — specjalną dietę: niewielkie ilości mięsa, jaj, chudego mleka i sera, owoce i warzywa bez większych ograniczeń, kompletny natomiast zakaz



Zdjęcia: Konrad Turowski

spożywania ziemniaków, pieczywa i cukru. Ot, zestaw typowy, stosowany od dawna w kuracjach odchudzających. Tu jednak rezultaty przeszły podobno najniższe oczekiwania: pacjenci w ciągu dwóch miesięcy schudli o 10-20, a nawet 50 i więcej kilogramów.

Prasa radziecka upowszechniła entuzjastyczną wypowiedź jednej z eks-grubasek, Natalii Demianiuk:

Nadzwyczajne jest i to, że moja skóra nie pomarszczyła się, jest gładka i napięta, mimo że jestem lżejsza o 20 kilo!

Co więcej, większość pacjentów ponoć pozbyła się przy okazji wielu nękających ich przedtem schorzeń i dolegliwości, a wśród nich — owrzodzeń żołądka i dwunastnicy, żylaków, zwyrodnień kostnych i stawowych, przeróżnych blizn, a nawet łagodnych nowotworów. Fama poszła, doktor Anatolij Kaszpirowski pod naporem kijowskiej, a wkrótce i przyjezdnej klienteli, wynajął salę w kijowskim Parku Zwycięstwa, gdzie zaczął urządzać seanse trzy razy w tygodniu po 700 osób każdy. I sukces za sukcesem, mnożą się doniesienia o nadzwyczajnych uzdrowieniach, a w ślad za nimi — narasta nacisk pacjentów. Oficjalna cena 15 rubli za bilet osiąga zawrotną cenę 500 rubli u „koników”. Dzień w dzień w Parku Zwycięstwa zbierają się tłumy, idące w dziesiątki tysięcy ludzi, chociaż szanse na uczestnictwo w seansie są znikome, sala więcej nie pomieści.

A że wszystko to działo się już w pełni „piętnastki” i „głasnoci” telewizja ukraińska otworzyła swoje studio dla doktora Kaszpirowskiego, który przeprowadził pierwszy seans telepsychoterapii, jak od początku nazywał swą metodę. W pierwszym programie — odpowiadając na liczne prośby matek — zajął się przede wszystkim nocnym moczeniem, dolegliwością nękającą wiele dzieci, a niekiedy i osoby dorosłe. I kolejny sukces: do telewizji kijowskiej nadeszło ponad sześć tysięcy listów, z których cztery tysiące mówiły o pełnym powrocie do zdrowia, całkowitym ustąpieniu choroby.

Schorzenie, o którym mowa, z pozoru tylko jest blaha, w istocie bardzo trudno je leczyć. Co gorsza, jedyne, czym w tym przypadku dysponuje klasyczna medycyna, to terapia silnymi lekami psychotropowymi, a konkretnie trójpierścieniowym środkiem przeciwdepresyjnym o nazwie imipramina, oddziałującym głównie na podwzgórze, dającym więc niezadko masę przykrych skutków ubocznych. Zbawienia więc może się zdawać w przypadku tej choroby — jak i wielu podobnych — szansa zastąpienia przykrych metody tradycyjnego leczenia terapią niekonwencjonalną, która w zastosowaniu doktora Kaszpirowskiego jest podobno niezwykle skuteczna.

Swoją drogą, zachęcony osiągnięciami w tej dziedzinie, A. Kaszpirowski postanowił ostatnio — jak się dowiedziałem — zrealizować pierwszą swą kasętę wideo, zawierającą seans uniwersalny — niezależnie od kraju i języka — leczenia tej choroby. Kaseta wyprodukowana zostanie prawdopodobnie w Stanach Zjednoczonych w ciągu najbliższych dwóch lub trzech miesięcy.

### Po pierwszym telewizyjnym seansie, emitowanym z kijowskiego ośrodka, nastąpiły cztery dalsze.

50 milionów widzów i 60 tysięcy listów do ukraińskiej telewizji. I radosne doniesienia telewidzów o unormowaniu się ciśnienia krwi i ustąpieniu dolegliwości układu pokarmowego, zniknięciu blizn i szram, żylaków i brodawek itd. Na fali powodzenia doktor Anatolij Kaszpirowski podejmuje następnie eksperymenty: analiza operacyjna za pośrednictwem seansu telewizyjnego. Odbywa się 17 takich operacji, podczas których rolę anestesjologa przejmują A. Kaszpirowski, połączony z salą operacyjną „telewizyjnym mostem”.

Najśmiańsza, bo rozslawiona na cały Związek Radziecki, operacja przeprowadzona została w nocy z 1 na 2 marca 1989 roku w Instytucie Chirurgii Klinicznej i Eksperymentalnej w Tbilisi, z którym połączony zostaje mostem telewizyjnym doktor Anatolij Kaszpirowski, przeprowadzający ze studia w Kijowie znieczulenie operowanej pacjentki. Lesia Jurszowa — zapamiętajmy to nazwisko — jest jego podopieczną jeszcze z czasów kijowskiej kuracji odchudzającej. Poddana zostaje operacji przepukliny. I tu znów pełne powodzenie. Prasa radziecka popularyzuje wypowiedź chirurga, prof. Joselianięgo:

Przyznaje, że na początku operacji zadrażała mi ręka. Nie byłem do końca pewien, czy eksperyment się powiedzie. Operacja trwała cztery godziny, a pacjentka rozmawiała, śmiała się i śpiewała „Podmoskiewskie wieczory”.

Droga na szczyty sławy zostaje otwarta. W kwietniu 1989 roku relacje z tej operacji przedstawia popularny program moskiewskiej telewizji „Wzгляд”, a sam doktor zaproszony zostaje do udziału w równie popularnym programie „Dobry wieczór, Moskwo”. 8 października 1989 roku A. Kaszpirowski prowadzi swój pierwszy seans ze studia w Moskwie dla 200-milionowej widowni. Jest niedzielny wieczór. Godzina po dziesięć „Wremia” należy do doktora, który w ciągu następnych dwóch miesięcy otrzymuje ćwierć miliona listów. Bywają dni, gdy jednorazowa porcja korespondencji waży około 100 kilogramów. Ludzie piszą, że ciemniej im posiwiałe włosy, zasklepiają się dziury w zębach, że pozbywają się blizn, że znikają im wrzody, guzy i cysty, że odrzucają laski i kulki, wstają z łóżek i wózków inwalidzkich, że ustępuje im ślepotę... Rychło kolejką chętnych na osobiste spotkanie z A. Kaszpirowskim osiąga liczbę 150 tysięcy. Niektórych zaprasza doktor do sali koncertowej telewizyjnego studia w Ostankinie.

Coraz sprawniej, coraz ciekawiej prowadzi swój spektakl z udziałem 800 aktorów, bo tylu pacjentów pomieścić może sala telewizyjnego studia. Tego wątku nie muszą rozwijać wszyscy znani te seanse z naszej telewizji.

Rośnie popularność doktora, a towarzyszy jej zaczynają objawy zbiorowej hysterii. Ludzie piszą o uzależnieniu od doktora Anatolija Kaszpirowskiego; o tym, że już na jego widok wpadają w trans; widzą w nim swego mistrza, wyrocznię; chłoną każde jego słowo, śledzą każdy gest... I coraz to nowe listy, telegramy o niezwykłych uleczeniach, rozszerza się wciąż lista schorzeń i ulomności, które poddają się uzdrowicielskiej mocy A. Kaszpirowskiego.

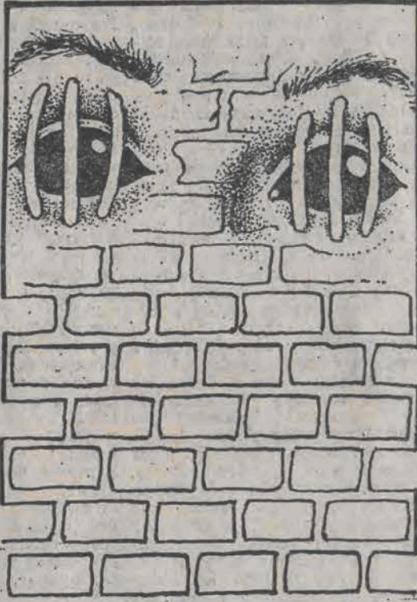
Nagle — stop!

CDN.

### Wielu więźniów nie zdaje sobie sprawy z popełnianych przestępstw.

## Mamy chore prawodawstwo

MAGDALENA GROCHOWALSKA



Rys. Dariusz Romanowicz

### Areszt śledczy w Łodzi.

Było o nim głośno w 1989 roku w związku z buntem więźniów. Prasa rozpisywała się o złym traktowaniu więźniów przez służbę więzienną, krytykowała warunki w jakich przebywają osadzeni. A jak jest dzisiaj?

Nasi więźniowie mają telewizory w celach — mówi zastępca naczelnika mjr Janusz Kwiecień. — Dostarczają im je rodziny, a my nie robimy żadnych trudności, chyba że więzień jest bardzo agresywny, uszczynia bójki ze współwięźniami, sprawia trudności wychowawcze. Brak zgody na posiadanie telewizora jest obecnie jedyną karą jaką stosujemy, gdyż wszystkie inne zostały zniesione. Podobnie rzecz wygląda ze sprzętem wideo. Próbowaliśmy również podłączyć do instalowanej w pobliskich blokach mieszkalnych anteny satelitarnej. Nasi więźniowie mają doskonałą opiekę lekarską, na terenie aresztu znajduje się punkt apteczny zaopatrzonej dzięki paczkom z zagranicy lepiej niż niefedna łódzka apteka. W ramach zajęć resocjalizacyjnych staramy się zorganizować więźniom wolny czas i wyrobic w nich zainteresowania. Mamy świetlicę i pomieszczenie do gry w tenisa stołowego, jest radio-węzeł z taśmami i płytami oraz biblioteka. Proszę, niech pan zobaczy!

Schodzimy na parter. Oglądam salę widzeń. Składa się ona z kilku stółków, przy każdym z nich stoją 4 krzesła. Obok jest bufet, w którym więźniowie i ich rodziny mogą kupić kawę lub herbatę.

Obecnie jesteśmy w trakcie przebudowy cel — mówi pan Janusz Kwiecień — a u najbliższym czasie mamy również zamierzać przebudować salę widzeń. Jest ona za mała. Na widzenie przychodzi cała rodzina, czasem z dużą gromadką dzieci. Nie wszyscy się mieszczą. Naprzeciwko sali widzeń jest pomieszczenie przeznaczone do spotkań więźniów z adwokatami. Ono również w najbliższym czasie zostanie przebudowane.

Wechodzą do radiowęzła. Prowadzi go dwóch więźniów. Jeden jest z zawodu technikiem elektronicznym, drugi kucharzem. Program nadawany przez radiowęzeł jest bardzo różnorodny. Jest w nim miejsce na sport, muzykę, pogadanki, retransmisje, audycje napisane przez wychowawców i kącik literacki. Jeden z prowadzących radiowęzeł więźniów okazuje się poetą.

Miał już kilka publikacji — informuje pan Janusz Kwiecień — otrzymał nawet nagrodę literacką z rąk marszałka Senatu.

Ostatnio władze więzienne zakupiły dla radiowęzła wzmacniacz pięćsetwatyowy, a w najbliższym czasie zamierzają zrobić studio nagrania. Na korytarzu spotykamy sprzątającego więźnia.

To jeden z naszych najbardziej pracowitych aresztantów. Jest dokładny i sumienny.

Za co pan siedzi?

Z artykułu 208, to znaczy za włamanie.

Gdzie się pan włamał?

Do kościoła.

Jest pan wierzący?

Więzień namyśla się.

Nie wiem — wrusza ramionami — ale rozgrzeszenie od księdza dostałem, więc chyba tak.

Umożliwiamy więźniom korzystanie z pomocy duszpasterskiej — mówi pan Janusz Kwiecień — sprovadzamy im księdza, ale czy więźniowie należycie pojmują wagę posług duszpasterskich nie wiem. Zdarzyło się na przykład, że okradł księdza.

### Oddział Specjalny.

Przebywają w nim recydywiści oraz skazani wymagający stosowania szczególnych środków leczniczo-wychowawczych.

Mówi pracująca na Oddziale Specjalnym psycholog Maria Walczak.

W chwili obecnej przebywa u nas 30 skazanych, w tym 25 z wyraźnymi anomaliami psychicznymi. 5 pozostałych pomaga nam w ich resocjalizacji. Kilku skazanych trafiło do nas

na mocy decyzji sądu, reszta została skierowana tu przez komisję penitencjarną. Większość to psychopaci, ale nie tylko; mamy też tzw. charakteropatów, upośledzonych umysłowo, alkoholików i padaczkowców. Znalazł się tu, bo nie potrafił dać sobie rady w warunkach więziennych. Nie chcą podporządkować się obowiązkom, nie potrafią samodzielnie rozwiązywać swoich problemów, dokonują aktów samookaleczenia. Nasz Oddział zapewnia im należytą opiekę.

Na Oddziale Specjalnym pracuje 2 psychologów, terapeuta, 2 pielęgniarki i wychowawca z wykształceniem pedagogicznym. W ramach zajęć resocjalizacyjnych zorganizowano dla więźniów warsztat stolarski oraz kółko plastyczne. Znajdują się one w tym samym pomieszczeniu. Jest ono duże, udekorowane pracami więźniów. Na ścianach wiszą namalowane przez nich obrazy i wykonane z drewna piaskorzeźby. Na stółkach przy ścianie stoją akwarie. Jeden z więźniów maluje dużego orła w koronie, inny szyje pluszowe zabawki dla dzieci. Jego misie, pieski i kotki są ładne i starannie wykonane. Więźniowie dają je później swoim dzieciom podczas wizań.

Cele są trzy-, dwu- i jednoosobowe. Jedne zakładają czystością i porządkiem, w innych panuje bałagan. W każdej celi stoją wzdłuż ścian łóżka, przy oknie jest stolik. Przy drzwiach, w lewym lub prawym rogu jest muszla klozetowa. Zaskoczyła mnie jedna z cel. Jest to tzw. jedynka. Zajmuje ją skazany na 25 lat. Celem lśni czystością. Na ścianie mała poma kolorowych reprodukcji; obok wizerunku Matki Boskiej wiszą zdjęcia nagich dzlewców i pocztówki z kwiatami. Na stoliku leży serwetka, stoi wazon z baziłami, kwiatek doniczkowy, jakieś miniaturowe wazoniki, popielniczki. Kolorowe ściany dopełniają reszty. Wszystko razem powoduje, że cęła jest przytulna i wygląda jak mały pokój-czek.

W urządzaniu cel zostawiamy więźniom pełną swobodę — mówi wychowawca. — Wyzwalamy u nich w ten sposób coś w rodzaju inwencji twórczej.

### Jacy są mieszkańcy tych cel?

Paweł L. ma 22 lata. Siedzi za włamanie. Tak opisuje swoje przestępstwo:

Skazał mnie za dokonanie włamania, ale ja nie ukradłem. Wybiłem tylko szybę do sklepu, a że byłem pod wpływem alkoholu, natychmiast usnąłem. Zabrała mnie stamtąd milicja.

Jest pan recydywistą, za co był pan skazany poprzednio?

Za to samo.

On jest chory — mówi jego współwięzień 35-letni Sławomir W., również skazany za włamanie. — On powinien być w zakładzie dla psychicznie chorych, a nie tutaj. Tu są jego zaświadczenia lekarskie, niech pan spojrzy.

Podaje mi plik papierów.

Miałem 3 wstrząsy mózgu, trepanację czaszki, cierpię na nerwicę, padaczkę i wiele innych chorób — skarży się pechowy złodziej. — Ja nie potrafię wytrzymać agresji na kimś, tylko na sobie. Ostatnio wypłem liźol, rozpuszczałem i prawdopodobnie chciałem się podpalić, ale ja tego nie pamiętam. Mówił mi o tym koleś. Wie pan, jak to jest? Nadchodzi taki moment, że tracę świadomość, nie wiem, co robię i wtedy dokonuję samookaleczenia. To jest silniejsze ode mnie.

Sąd uznał Pawła L. za poczytalnego w chwili popełnienia przestępstwa.

32-letni Zbigniew siedzi za zabójstwo z włamaniem (art. 148 i 208 KK).

Zabiłem kolegę — mówi. — Nie zrobiłem tego celowo. Cierpię na urojenia. Wtedy byłem jeszcze pod wpływem alkoholu. Teraz czuję się dobrze, bo biorę leki psychotropowe. Bez nich czuję się potwornie. Dostaje trzęsionki, ukazują mi się jakiegoś postacie, słyszę ich głosy, wchodzi na mnie, czuję ich ciężar i ciepło ich ciała... boję się... — urywa nagle i kuli się w sobie pod wpływem wspomnień.

### W jednej z cel znajduje się punkt biblioteczny.

Prowadzi go 43-letni Romuald, specjalista do gry w trzy karty na Górniaku. Jego współtowarzyszem jest 26-letni analfabeta — Jarosław (nie ukłóczył nawet trzech klas szkoły podstawowej). Jarosław dokonywał częstych samouszkodzeń. Odkał siedzi w „bibliotece” samouszkodzenia ustaly.

Samouszkodzenia to plaga naszego aresztu — mówi naczelnik więzienia, ppik. Wacław Zalech. — Więźniowie dokonują ich na różne sposoby, najbardziej znany to „kotwica”: więzień zgina metalowy drucik, okleja go chlebem i potyka. Inny sposób to przecinanie napiętych mięśni, picie chemikaliów.

Było u nas kilku indywidualistów, którzy opracowali własny sposób samookaleczenia — wtrąca pan Janusz Kwiecień. — Jeden z nich przybił się gwoździem do parkietu. Baliliśmy się go oderwać, żeby mu nie zrobić krzywdy. Oderwaliśmy wokół niego cały parkiet, przepitowaliśmy go od góry i tak zawieźliśmy do szpitala. Jeszcze inny indywidualista ubił sobie głowę w ławę. Było ich tyle, że lekarz dziwił

się, że on jeszcze żyje. Wszystko po to, by zostać przewiezionym do szpitala, skąd można uciec.

Za samouszkodzenia grozi kara z artykułu 60 Kodeksu Karnego Wykonawczego, czyli obciążenie kosztami leczenia. Ale tylko teoretycznie, bo praktycznie żaden więzień nie ma pieniędzy. Żeby zapłacić około miliona złotych (w niektórych przypadkach dużo ponad milion, np. jeśli więzień przewożono helikopterem). W efekcie za leczenie więźnia w takich przypadkach płaci społeczeństwo.

### Wielu więźniów nie zdaje sobie sprawy z własnych czynów.

Skazany na 25 lat więzienia za zabójstwo konkubiny opowiada:

Siedzę tu za zabójstwo, ale jakie to było zabójstwo — macha ręką z lekceważeniem — no niech pani sama powie. Siedzieliśmy przed telewizorem i oglądałem mecz Polska — Brazylia. Ona zasłoniła mi ekran, więc się zżenerowałem, odruchowo uderzyłem ją ręką, a ona upadła. Przecież to nie moja wina, że się zabiła.

Oddział Specjalny obfituje w różnego rodzaju dziwaków. Jeden z nich, 27-letni Piotr zamecza naczelnika więzienia skargami, w których powtarza się wciąż to samo: „Administracja zakładu karnego we Wronkach podstępnie wykradła mi dowód osobisty, a następnie podrobiła nowy napis. Proszę o wydanie mi nowego dowodu osobistego”.

Ten sam więzień robił awantury funkcjonariuszom służby więziennej o to, że jak twierdził — funkcjonariusze faworyzują więźniów z Łodzi. On sam miał kompleksy, gdyż pochodził z małej, podwarszawskiej wsi.

27-letni Zdzisław ma pretensje do pilnujących go funkcjonariuszy:

Oni mnie traktują jak bandytę, a ja nie jestem groźnym przestępcą!

A za co pan siedzi?

Za rozbój.

48-letni Jan dostaje częstych napadów agresji, dlatego nie zostanie wypuszczony przed czasem.

Dlaczego jest pan agresywny?

Bo się boję.

Czego?

Że będę miał jeszcze większe agresje. Na mnie tak wpływa przebywanie w zamknięciu.

Wielu siedzących u nas przestępców uważa się za „politycznych” — mówi pan Janusz Kwiecień. — Rozumują tak: pobitem kogoś ze względu na jego przekonania polityczne, a więc jestem „polityczny” i czuję się urażeni, że zostają ukarani za zwykły re

### Osobny rozdział stanowią wypuszczeni na mocy amnestii z 1989 roku.

Najkrócej, bo zaledwie kilka minut był na wolności człowiek, którego pierwszą czynnością po wyjściu z więzienia było wyrwanie staruszcze torebki pod cmentarzem. Milicja złapała go na gorącym uczynku. Do chwili obecnej trafiło do Aresztu Śledczego na Smutnej trzydziestu amnestionowanych. Obecnie przebywa tam 6 (reszta została przewieziona do więzień w całej Polsce). Większość po wyjściu z więzienia dopuściła się tych samych przestępstw, za które odsiadywała poprzednio wyroki. Inni „awansowali” np. siedzący za drobne kradzieże powrócili za kratki jako sprawcy rozbójów.

Nie dziwię się, że tak się stało — mówi kierownik Działu Penitencjarnego, ppor. Kaczyński. — Głupotą było organizować amnestię zimą. Większość amnestionowanych nie miała w co się ubrać ani gdzie mieszkać. Ci, którzy obiecali pomóc nie dali nic. To my sami z własnych funduszy kupowaliśmy im zimowe ubrania i dawaliśmy 40 tys. zapomogi na osobę, a odpłacano nam się publicznym skłanianiem. Zorganizowano na nas istną nagonkę. Nie chcemy się skarżyć, ale chcemy, żeby wreszcie mówiono i pisano o nas prawdę. Niech tu przyjdzie jakiś dziennikarz — pamiętaj, niech popracuje u nas miesiąc, a potem napisze artykuł. To co publikowano do tej pory, to zwykłe plotki i pomówienia!

Mamy chore prawodawstwo — przerywa pan Janusz Kwiecień — Trzeba z tym wreszcie skończyć! U nas nie było dotąd racjonalnej polityki penitencjarniej. Wszystko zależało od mody (np. na dużą liczbę odbiorników radiowych, na biblioteki itp.), albo od zmiennej poleceń „z góry”. Kiedy w latach 70. okradziono jednego z ministrów, wydano zarządzenie o zakazie pracy na zewnątrz wszystkich włamywaczy. A przecież niektórzy wykonywali ją sumiennie i miała ona korzystny wpływ na ich resocjalizację. Tak jest do tej pory: popełnia się błędy, a potem obarcza winą nas — wykonawców!

Powinniśmy być pod szczególną ochroną państwa — mówi naczelnik Wacław Zalech. — Mówi się o zagrożeniu w policji, ale my jesteśmy przecież nie mniej zagrożeni. Przebywamy z przestępcami przez cały okres odbywania kary, podczas gdy policjanci mają z nimi krótki kontakt. A i bandyci nie są już tacy jak kiedyś. W przeszłości światek przestępczy miał swój kodeks moralny, były różne szkoły, katarz czy kieszonkowiec to były zawody. Dziś przestępców cechuje prymitywizm i brak uczuć. Im bardziej okrutny i bezwzględny popełnił czyn, tym bardziej są z siebie zadowoleni. Niedziś przestępcy mieli jakieś zainteresowania, dzisiejszych interesują tylko góte panienki. Mają dostęp do prasy, ale jej nie czytają, a w telewizji oglądają tylko sport, komedie i kryminały...



Rys. Stanisław Łuczyński

## „Odgłosy” proponują:

Po kilkunastu latach wraca na nasze ekrany „KABARET” BOBA FOSSE’a — jeden z legendarnych filmów ostatniego twierdźca, idealny wytwór X Muzy adresowany do widzów masowej (romans polonijny z kabaretowymi numerami), ale zapożyczający także gusta widzów poszukujących kina ambitnego (dramat polityczny i studium atmosfery Bertina na początku lat trzydziestych).

Gdy trafił do nas w kilkanaście miesięcy po premierze od razu stał się wielkim przebojem, a piosenki śpiewane przez LIZĘ MINELLI długo przewijały się na radiowej antenie. Jego powrót po siedemnastu latach potwierdza uniwersalne walory obrazu. „Kabaret” jest filmem błyskotliwym, w doskonałych proporcjach łączącym elementy „mele” z kinem muzycznym i w oświeceniowej jedności bezpodstępnie nawiązującym do tradycji sztuki Bertolda Brechta. Bowiem kabaretowa piosenka srodzka jest treścią i choreografią zarówno z akcją fabularną — komentując sytuację, w jakich znalazł się bohaterowie, jak również (a może przede wszystkim) z wątkiem politycznym traktującym o błyskawicznym narastaniu nastrojów faszystowskich w Niemczech. W „Kabarecie” poszczególne plany akcji są równorzędne — ten dostrzegamy jakby mimochodem, w formie mławki z berlińskiej ulicy, jest nawet istotniejszy niż historia związku Sally Bowles i Briana Roberta. Oto scena „Kit-Kat Klubu” i Sally upozowana na Marię Dietrich z „Biełkatego Anioła” śpiewająca „Bye, bye mein Liebe Herr”, jeszcze wyzwalająca aura życia i rozrywek schyłku Republiki Weimarskiej. Wykładał bezceremonialnie wyrzeka członka SA w brunatnej koszuli na bruk. Kamera długo panoramuje ulicę nocą, hasła na murach i nagłe krzyki... To napał bojówkarzy SA. Film zamyka logiczną klamrą: w krzywych zwierciadłach tandetnej dekoracji odbija się publiczność kabaretu, zieleń mundurów rozjaśniają czerwone opaski ze swastyką... Przejścia tego przekaru Boba Fosse’a podane jak gdyby mimochodem, uświadomiła wielkość jego reżyserkiej perfekcji.



## „Mój cały świat...”

— rozmowa z MICHAŁEM LORENCEM, kompozytorem muzyki filmowej.

— Należy pan do Związku Kompozytorów Francuskich działających głównie na paryskim rynku, ale także w Polsce skomponował pan oprawę muzyczną do kilku filmów. Za film „300 mil do nieba” w reżyserii Macieja Dejczerza otrzymaliście pamiątkę „FELIKSA”. Od czego zaczęły się pańskie zainteresowania muzyką filmową?  
— Od najwcześniejszych lat. Oglądając liczne filmy właśnie na muzykę zwracałem największą uwagę, a mimo to znacznie bardziej czuję się związany z kinem. Nie posiadam systematycznego wykształcenia muzycznego. Pierwsze skłapy i doświadczenie zbierałem na estradzie, grając z rozmaitymi zespołami młodzieżowymi. Nieustannie marzyłem o napisaniu muzyki do filmu. Być może moje zainteresowania wynikały z faktu, że od siedemnastego roku życia byłem bardzo związany z produkcją filmową. Od kuchni poznałem każdy kolejny etap powstawania filmu. Nawet przez jakiś czas pracowałem jako „klapserka”. Chęć napisania muzyki do filmu nie opuszczała mnie przez lata. W końcu nadarzyła się sposobność. Andrzej Tikiłow realizował serial telewizyjny pt. „Doktor Bogna” i właśnie wtedy wymsliłem na reżyserze współpracę, wykorzystując naszą prywatną znajomość. Skomponowałem muzykę do jednego odcinka i od tamtej chwili zaczęli uważać, aby nie przegapić żadnej szansy. I tak zaczęła się moja kompozytorska działalność. Na rynku francuski trafiłem dość przypadkowo, choć z uprzejmymi staraniami. Udało mi się nawiązać stałą współpracę z francuską telewizją. Od 1983 roku należę do Związku Kompozytorów Francuskich i głównie tam znajdowałem zatrudnienie.

— Muzyka filmowa — co to takiego?  
— Trudno o jednoznaczna definicję, ale dla mnie prawda jest taka: Każdy film jest osobnym dziełem i nawet najgorszy, jaki na świecie istnieje, posiada swoją duszę. Muzyka filmowa zaś jest wyrażeniem tej duszy. Funkcja muzyki filmowej na przestrzeni rozwoju kinematografii przeszła liczne metamorfozy. Pojawiały się znakiły mody na określony jej rodzaj. W tej chwili na przykład nie wolno pisać muzyki stricte ilustracyjnej, w sensie pełnej synchronizacji elementów akcji z muzyką. Stosuje się kontrpunkty. Taki jest ogólnie przyjęty trend, choć nie ma gotowych recept.  
— Kiedy dochodzi do współpracy reżysera i kompozytora, w jaki sposób reżyserzy artykułują swoje oczekiwania związane z oprawą muzyczną?  
— Najtrudniejszym momentem współpracy jest ustalenie, o co chodzi w filmie. Trzeba dobrze znać rytm filmu i znaleźć jego punkty ciężkości, żeby dostosować adekwatną muzykę.  
— Do pierwszych rozmów zazwyczaj dochodzi wtedy, kiedy reżyser skończył swój film i pokazuje mi zmontowane materiały. Jest to moment szalonej niepewności reżysera, bo nawet on sam nie wie, co wyszło z jego pierwotnych zamierzeń. Jest szalenie emocjonalnie przywiązany do nakręconego materiału i tak jest zawsze. Ja natomiast jestem pierwszym sędzią krytycznym. Oglądam coś w rodzaju szkicu, że podjętego, nie udziawionego itd. Muszę mieć wyobraźnię, żeby przewidzieć ostateczny kształt filmu. Ten kształt przewidywać odbiega od wcześniejszych wizji. W mojej praktyce zdarzało się, że reżyser zmieniał

## Gadacze

JÓZEF STANISŁAW KMIĘCIAK

ni prezent. No i bibliofili cieszą się, bo nigdy nie było po księgarzach tylu ciekawych tytułów. Miecć pieniądze i przebić... Ze mniej tytułów na głowę ludności? Nieprawda. Bo przedtem miałam Breźniewa, Kim Ir Sena, a teraz mam Miłosza, Eliota, Herlinga-Grudzińskiego. Papier już staniał. Czas szoku mamy za sobą.”

Można by to potraktować jako jeszcze jedną reklamarską, nic w gruncie rzeczy nie znaczącą wypowiedź. Zapewne pani minister ma większe niż przeciętny obywatel prawo do wyrażania opinii skrajnych i wymyślania dowolnych konstrukcji. Jednakże spotykamy się w tej wypowiedzi nie tylko z beztrością i delikatnie mówiąc, nieprawdą historyczną, ale i z cyniczną wręcz aprobatą tego, co powinno budzić niepokój. Cóż z tego, że staniał papier, kiedy ceny książek rosną z dnia na dzień i osiągnęły już absurdalną wysokość? Zniknęły już niemal wszystkie pisma kulturalno-społeczne, które przez dziesięciolecia współtworzyły, wzbogacały kulturę tego kraju, znalazła niemal do zera ilość tytułów polskiej literatury współczesnej. Ten naród po straszliwych zniszczeniach wojennych, straszliwych stratach ludnościowych, terytorialnych i kulturalnych w ciągu minionych dziesięcioleci zdołał wykształcić bardzo liczną elitę intelektualną. Jest to ewenement w skali światowej. Dziesiątki tysięcy ludzi czytało w tym kraju książ-

ki, wydawane w dużych nakładach, książki były ogólnie dostępne, stosunkowo tania, zwiaszcza w okresie powojennym. O corocznych majowych „komunistycznych” kiermaszach książek mówił z nostalgią w telewizyjnym „Pegazie” znakomity pisarz Władysław Terlecki. O bogactwie polskiego rynku wydawniczego świadczyć mogą dzisiaj domowe biblioteki, w których raczej nie spotyka się pism Breźniewa, są za to niemal wszystkie najważniejsze dzieła literatury światowej zarówno pięknej jak i naukowej czy popularnonaukowej. („Wiersze i poematy” Eliota z esejem o twórczości tego poety autorstwa W. Borowego kupiłem już w roku bodaj 1960). Książki wydawane w wydawnictwach „podziemnych” to zaledwie nikły procent corocznego planu wydawniczego. I śmiem twierdzić, że nie dopiero teraz doceniono trud, a nierazko poświęcenia ludzi, dzięki którym mogły wejść do krwioobiegu kultury polskiej książki „zakazane”. Zapewne bezsporną wartość tego zjawiska doceniło bardzo wielu światłych ludzi z kręgów komunistycznej władzy. Poza tym nie wydawano tych dzieł tylko dla samej idei, ceny tych książek były bardzo wysokie.

Dzisiaj niektórzy pisarze, literaci-politycy, zwiaszcza ci, którzy w ciągu dziesięcioleci, w okresie socrealizmu i później mogli wydawać swoje książki bez żadnych ograniczeń, publicysty-

kę o doraźnym wydźwięku politycznym, powieści słuszne, idowe, pełne urzędowej dydaktyki i programowego optymizmu (o fałszerstwie historii nawet nie wspomnę), tomy wierszy z „Odami do towarzyszy z UB” itp. dzisiaj krzyczą gromkim głosem, że w okresie komunizmu wydawano w Polsce za dużo książek niepotrzebnych. Co prawda nie definiują pojęcia „książka niepotrzebna” i na szczęście nie wspominają nic o stosach. W latach pięćdziesiątych ówczesni znakomici pisarze i wplywowi krytycy udowodnili ponad wszelką wątpliwość, że niepotrzebna i bardzo szkodliwa jest powieść pt. „Zły”, a potrzebne, wielkie i wiekopomne są takie dzieła, jak „Obywatele”, „Węgiel”, „Lewanty”, „Na budowie” i wiele innych równie znakomitych.

Jestem wyznawcą poglądu, że każda książka jest potrzebna, każda znajdzie swego czytelnika, każda staje się jakimś ogólnym w niezwykłe skomplikowanej i pełnej tajemnic struktury kultury. A poza tym rzeczy najwartościowsze rodzą się, wyłaniają się z nadmiaru. Nic, żadne przemiany polityczne nie zdołają pomniejszyć wartość i wielkość takich dzieł jak „Oznaki potok”, „Tyko Beatrycze”, „Kolumbowie”, „Bramy raj”, „Zły”, „Sennik współczesny”, „Książka Białoszewskiego, Gomońskiego, W. Terleckiego, wierszy Grochowiaka, Herberta, Huszary, Nowaka, sztuk teatralnych Szaniawskiego i Różewicza i wielu dziesiątek innych znakomitych dzieł. To są wartości trwałe polskiej literatury, polskiej kultury, którą znowu różni nawiedzeni gadacze próbują podzielić na lepszą i gorszą.

fotografie popękanych asfaltowych szos, prostych i rozciągających się na kształt litery Piłagorasa. Pusta droga z porzuconą samotną rakawicą, samotnym zniszczonym butem, które zgubili gdzieś swoje pary. Fotografie znaków drogowych zakrytych szmatami, „nieważonych”, ale ważnych, i tych wskazujących — jak choćby ten ze strzałką skierowaną niemal w dół, „do ziemi”, stojący obok klombu z różami, jak choćby przydrożne krzyże, jak — na ostatnich zdjęciach — wniebowstępujące dziewczę, nad którym, jak znak nieskończoności, ukazują się Chrystus. I jeszcze fotomontaże — „przeziębienie”, z wyciętymi postaciami wychylającymi się niejako ze swojego papierowego istnienia, zardzewiające żyjącym skończonością, trwania krótkiego, ale żywego; przystrojone barwnymi kawałkami szmatek, ukarmionowane, zwielokrotnione w swoim pragnieniu „bycia”, wycięte i zwinięte w rulony twarze starych, zwroconych ku śmierci ludzi, ustawione pionowo niczym dopalające się gronki; i drzwi, drzwi, korytarze — projekty nowych fotomontaży — ukazujące przejścia do życia po życiu.

Ostatni fragment filmu Różewickiego przedstawia Zofię Rydet stojącą na skraju szosy. Kamera odjeżdża, sylwetka artystki maleje. Stąd bezradna ze swoim uwieczniającym aparatem fotograficznym na skraju nieskończonej drogi, pod zmierzającym niebem i blade świecącym księżycem.

LUCYNA SKOMPSKA  
Zofia Rydet — „Nieskończoność dalekich dróg” Galeria FF (ŁDK), 11 maja — 16 czerwca 1990.

## Trzy piętra ku nieskończoności

Oko ludzkie jest naturalnym obiektywem, granicą, za którą to co obiektywnie zmienia się w subiektywne. „Oczy” — powiada Zofia Rydet — są ważne na zdjęciu, przez oczy widać duszę człowieka”. I wreszcie — oko kamery z precyzyjnym obiektywem, zdolne rejestrować i utrwalać rzeczywistość. Ale za nim kryje się oko fotografa — czuje i ludzkie. „Skowronie widzi wszystkimi oczami / Przeszłość, Jedyne nasze oczy są / jak odwrócone, zastawione gesty / jak słońce w krag jego wolnego wyjścia (...)” (Rilke) Człowiek więc patrzy na świat poprzez własną skończoność, ze świadomością śmierci. To ona nakazuje nadawać znaczenie znaczenia, ważne i symboliczne. Śmierć, jak mówi Zofia Rydet, jest stale obecna w jej myśleniu o świecie, w jej myśleniu o człowieku, który był zawsze jedynym tematem jej sztuki.

Oto została otwarta w Galerii FF wystawa fotograficzna artystki. Wernisaz połączony został z projekcją filmu Andrzeja Różewickiego „Nieskończoność dalekich dróg”, który ukazuje Zofię Rydet „podpatrzoną i podsłuchaną”. Myślę, że zarówno konstrukcja filmu jak i układ ekspozycji fotograficznej — mają znaczenie symboliczne. Fotografie zostały umieszczone na trzech piętrach galerii: pierwsze dwa przedstawiają „Zapiski socjologiczne”, trzecie piętro to zdjęcia z cyklu „Nieskończoność dalekich

dróg”. I choć te ostatnie ukazują jedynie puste drogi — asfaltowa, betonowa, ciągnące się niejako w nieskończoność, bez horyzontu, drogi, których kres jest niewiadomy, znajdujący się już poza kadrem zdjęcia — mówią także o człowieku, jego życiu, jego „losie”. Są także pytaniem o DROGI, GRANICE i tajemne, niedogadane PRZEZIĘBIA. Zofia Rydet mówi o śmierci dodając: „Nie wiem co będzie za tymi drzwiami. Nie wiem”. Jak się więc przechodzi o wymi niewiadomych korytarzami, dokąd, przed jakie bramy, z jakimi przedmiotami, które uznawaliśmy za ważne tu, na ziemi, którym nadawaliśmy znaczenia trwałości, do których byliśmy tak przywiązani? Wiele więc na fotografiach drzwi, okien, progów, bram, dróg i znaków na tych drogach. Wśród „Zapisków socjologicznych” nie znajdziemy zdjęć, na których rzeczywistość byłaby „przyłapaną”, podpatrzoną — ona zostaje przygotowana do zdjęcia, upozowana do uwiecznienia, Zofia Rydet portretuje ludzi w ich domach, na ścianach, na których zawieszili ważne i ulubione przedmioty (zdjęcia, siedzących na łóżku, w łóżkach między symetrycznie ułożonymi poduszkami, nby skrzydłami wyrastającymi z ich ramion. Jak różne są te wnętrza, jak wiele mówią o człowieku — od „bogactw” przyzoboczonych podłahańskich, po

przez skromniejsze — rzeszowskie, po śląskie, w których brak śladów tradycji czy „znaków” regionu. Jak różne są sfotografowane okna — przystrojone, ukwiecone „boże okna na świat” i te skromne, ślepe patrzące. I progi, i drzwi — a w nich stojące kobiety — na skraju domostwa i w przejściu, przez które dziecko wybiega na świat i przez które wynosi się trumna. Fotografowani patrzą w obiektywa uważnie i odświeżnie. Fotografia uwieczniał Pragna więc być odświeżni, ale Zofia Rydet prowadząc z nimi rozmowę, sprawia, że nawet nie zauważają, kiedy siadają do zdjęcia i przenoszą się w wieczność z bosymi nogami i brudnymi reklamami oderwanymi od codziennych zajęć. „Mit Fotografii!” — utrwalanie tego co nietrwałe i przemijające, fotografie fotografii — ślubnych, powieszonych na centralnym miejscu, ku pamięci, jako ślad czasu, który mijał. Oto zdjęcie młodej pary w owalnej ramie, sfotografowane przez artystkę w różnych zwykłych miejscach: na progu zagrody, przy wielkim płocie, na łóżku, wśród gałęzi bezlistnego drzewa, na nagrobku... W cyklu „Zawody” zdjęcie wnętrza obuwniczego sklepu: kilka par butów na półce i napis „Rezerwa dla zmazanych”; sledząca tego ekspedientka, a przed nią wyolbrzymiony, jak boskie narzędzie liczące ludzkie uczynki. I trzecie piętro galerii —

mi niemal w ostatniej chwili tematy muzyczne i często miał rację. Nie miałem absolutnie nic do powiedzenia, bo to on jest właścicielem filmu. Przebieg filmu jest dziełem wysiłku wielu osób i różne punkty widzenia na ten sam problem nie zawsze pokrywają się ze sobą.

—Przejdźmy może do konkretów. Na sukces „300 mil do nieba” składa się także pański wkład pracy. Jak przebiegała współpraca z Maciejem Dejczerem przy realizacji tego filmu?

— Oprawę muzyczną do tego filmu robiłem z „Japanki”. Nikt nie chciał napisać muzyki. Maciek przyszedł do mnie, gdy film był skończony. Objeżdżaliśmy go, wymyślałem, skomponowałem muzykę i nagrałem ją. W trakcie podkładania jej pod obraz zabrakło mi kilku scen. Okazało się, że Maciek zdążył wyrzucić niektóre. Wybiłbym reżysera o ich przywrócenie. Rozumiełm się. Ale widzi pan, buddyści powiadają, że aby nastąpiło kląsknięcie konieczne są dwie dionizy. To spostrzeżenie odnosi się do naszej współpracy.

— Czy komponując muzykę do tego filmu miał pan jakieś wątpliwości?

— Owszem. W muzyce filmowej można wyodrębnić dwa jej rodzaje: obiektywną i subiektywną. Obiektywna wywodzi się z zewnątrz, jest pewnego rodzaju ilustracją, może być osobną opowieścią. Nigdy filmowi nie może zaszkodzić. Muzyka subiektywna jest jej przeciwieństwem. Opowiada o tym, co bohater odczuwa. Przerzysowanie jej może być fatalne w skutkach.

W filmie Dejczerza miałem wrażenie, że muzycznie przerysowują moment przekroczenia przez chłopców granicy. Skomponowałem bardzo dramatyczną muzykę, opartą o wiołonoce i kontrabas. W pewnym momencie pomyślałem sobie: No zaraz, ale przecież jak chłopów śląpiu, to ich nie zabiją, a ja właśnie w takim duchu napisałem. Mimo to muzyka wybroniła się. Myślę, że dzięki wspaniałej grze aktorów i chłopców. Logicznie wynikała z dramatycznego ich położenia. Nie zmienia to jednak faktu, że moje posunięcie było szalenie ryzykowne, ponieważ w całym filmie nie było takiej muzyki. Pojawia się ona w tej jednej scenie. Można było się spodziewać, że

widz nie zaakceptuje tego i posądzi mnie o szarżowanie.

— Staje się jednak inaczej. Nagroda wszelkie wątpliwości. Czy jest pan zadowolony z własnej kompozycji?

— Tak. Może dlatego, że brak mi wykształcenia i napisanie muzyki do każdego nowego filmu traktuję jako kolejny egzamin. Jest to szalenie stresujące zajęcie, ale zapewniam pania, że znacznie łatwiejsze niż napisanie symfonii. Muzyka filmowa jest podległa. Karmi się obrazem, a to jest ogromnym uproszczeniem dla kompozytora. Weale nie kokietuje. Zdecydowana większość moich znajomych, przyjaciół biszących muzykę filmową nie jest wykształconymi kompozytorami, ani nawet muzykami. Charakterystyczne jest to, że bardziej się czują związani z filmem niż muzyką. Jest to inny rodzaj myślenia muzycznego niż przy utworach niezależnych. Nie obciążeni wiedzą teoretyczną, pozwalają sobie na większą nonszalancję niż profesjonalści i to nam czasem procentuje.

— Czy do każdego filmu muzyka powinna być pisana na specjalne zamówienie?

— Tak... Na to pytanie niemal codziennie od lat staram się sam sobie odpowiedzieć. Powróć do stwierdzenia, które już padło w naszej rozmowie: Muzyka filmowa jest wyrażaniem duszy a filmu, a skoro tak i jest to mój cały świat, to jestem za tym.

— Jakże ma pan plany na przyszłość?

— Właśnie kończą oprawę muzyczną do filmu Filipa Bajona pt. „Pensjonat” i zaczynam komponować muzykę do angielskiego serialu telewizyjnego „Kapitan Conrad”

— Dziękuję za rozmowę.

IWONA NIEMIEC-ADAMSKA

# PESTKI DYNI

Poniżej w Polsce marnują się ZIEMIANKI, nie możemy poradzić sobie z ich nadmiarem, proponujemy potraktować je jak WINNĄ LATOROSL i SLIWKI. Z wszelkimi konsekwencjami takiej zamiany czyli za swobodnym pedzeniem bimbru w każdej ilości, z nieskrępowaną możliwością handlu nim, także za granicą; identycznie, jak ma to miejsce w wypadku rzeczonych owoców, w niektórych krajach świata.

Naród i tak pędzi — narazając się zresztą na niesłuszne szykany i represje! — czyli troska o fachowość profesji jest bezzasadna; są również u nas specjaliści wysokiej klasy. KONKURENCJA zatoszczy się o JAKOŚĆ. Bimber mógłby stać się też naszym podstawowym towarem eksportowym, zrobionym od początku do końca, o ile potrafilibyśmy sobie poradzić z odpowiednimi butelkami i barwnymi etykietami.

Poniżej w Polsce nie wiadomo co zrobić z artystami, z twórczymi ludźmi kultury i sztuki, ponieważ „kraj nasz ukochany” ma ich za dużo i nie potrafi ich zagospodarować — można by ich potraktować jako „niewygodną” mniejszość narodową i doprowadzić do emigracji, jak onego czasu Żydów. Ludzie, którzy zrobili tamto jeszcze żyją, problem ściślej kadry byłby więc rozwiązany.

A ci spośród artystów, co pozostaną, niech płacą miliony za pracownie na przykład, niech uczą się grać w 150 na jednym pianinie, niech na kartki otrzymują papier do pisania i rysowania, niech płacą podatek od talentu, a od sprzedanego dzieła — 250 procent podatku minimum.

Chcieli mieć własny dom — no to niech go mają!!! Emigrantom oczywiście odebrać obywatelstwo, a pozostawione w kraju dzieła sprzedać, podpisując wszystkich: „Jan Matejko” albo „Nikifor”.

Ministerstwo Kultury i Sztuki szana narzecze upragnionego spokoju; p. Cywińska będzie mogła spokojnie wykonywać swój właściwy zawód, czyli reżyserować. I będzie reżyserować w Wilnie, we Lwowie bądź w Watykanie...

Premier Mazowiecki uwołni się narzecze od tej całej bandy, co na okrągło deklaruje mu swoją miłość i poparcie; jest to wszak miłość nie chciwna, a poparcie wątpliwe, bo lojalność — jak wykazały stulecia historii — artystów na potym koniu jeździ; narzecze odda się więc bez reszty modlitwie i przemawianiu.

Trochę rozwiąże się problem bezrobocia, bo parę ładnych tysięcy ludzi wyjedzie z kraju... Minister finansów (ten odowany fiskus polski) też coś chrapnie.

Minister budownictwa wykaże się czymś narzecze, bo mieszkanie i pracownie po artystach odda na przykład „Solidarności”...

Nowe władze bezpieczeństwa będą miały mniej kłopotów i policja też... Nowa cenzura również... Skorzystają wszyscy.

Zatem won z artystami, niech żyje bimber!!!

ANDRZEJ GRUN



Zbigniew Władysław — „Krzyk” (brąz)

Mamy dół w naszym kraju — te ważne sprawy do załatwienia, że rozprawienie o problemach wychowania muzycznego mogłoby się niektórym wydać stratą czasu. A jednak istnieje chyba pilna potrzeba mówienia również o tym, Na początku marca prof. Andrzej Rakowski z Akademii Muzycznej w Warszawie przekazał Ministerstwu Edukacji Narodowej memoriał dotyczący umuzykalnienia dzieci i młodzieży. Nie jest to

tytułowy i grup społecznych nie może mieć zastosowania w odniesieniu do muzyki. Musi zmienić się u decydentów opinia na temat wychowawczego znaczenia kultury muzycznej oraz roli i miejsca muzyki w życiu społeczeństwa, wdrażanego już od dwóch pokoleń do całkowitego obojętowania się bez tej sztuki. W instytucjonalizowanej i obrosłej schematami dydaktyce i upowszechnianiu dóbr muzycznych po-

kontemporane obrazu przeniesionego z Hocznej galerii do domu. Normalny rynek płytowy wydaje się konieczny jak najszybciej. Rolę jazzu i współczesnej muzyki młodzieżowej w wychowaniu muzycznym społeczeństwa” napisał mgr Janusz Janyst. Otóż w przeciwieństwie do rocka (bywa, że, muzyczne „śmietnisko”), jazz zastępuje na miarę sztuki o walorach wychowawczych. Kształci

## Problemy wychowania muzycznego

JANUSZ JANYST

obraz wesoły. Z rocznika statystycznego GUS za rok 1985 wynika z kolei, że 97,7 procent osób dorosłych w Polsce z wykształceniem podstawowym nie uczęszcza nigdy na koncerty ani do opery. Także dane uzyskane w środowiskach inteligencji zestawione z analogicznymi danymi w innych krajach świadczą o niekorzystnej sytuacji muzyki w naszym społeczeństwie. Mamy tu więc do czynienia niemal z totalnym „odmuzykalnieniem”, które miałooby szansę zniknąć zapewne dopiero po dłuższym okresie wyjątkowych działań, głównie w szkole.

W ostatnich dniach kwietnia Akademia Muzyczna im. K. Lipińskiego we Wrocławiu zorganizowała Ogólnopolską Sesję Naukową pt. „Powszechna edukacja muzyczna społeczeństwa — stan i perspektywy”. Kierownictwo naukowe przedsięwzięcia spoczywało w rękach prof. Stanisława Krukowskiego. W swoim wystąpieniu stwierdził on, iż obecny system rządzenia, ograniczający zadania rządu i uciążliwy państwowy do ewentualnego wspomaganie inicjatyw poszczególnych środowisk ar-

tyści nastąpił zmiany, dostosowane do potrzeb społeczeństwa z przełomu XX i XXI wieku.

Ze słowami prof. Krukowskiego korespondowały inne wypowiedzi. Referatów wygłoszono 15, ale niektóre zaledwie tematy. Dr Ewa Kofia omawiała „Powinności filharmonii wobec potrzeb melomanów”. Potrzeby te nie są niezmiennie, ewoluują. Wzrasta zainteresowanie koncertami z wyrazną i oryginalną koncepcją tematyczną, odbiegającymi od zwykłej sztampy. Filharmonie, szukając nowych rozwiązań, muszą skutecznie konkurować ze znakomitymi nagraniami będącymi np. w posiadaniu kolekcjonerów.

Dr Mieczysław Kominek zajął się „Fonografią czyli domowym muzykowaniem”. Rodzimej fonografii nie ma właściwie w ogóle, a jej rola mogłaby przecież być ogromna. Nagrania nie zastąpią wprawdzie muzyki żywej (nie rejestruje aury koncertu) ale też i muzyka żywa nie zastąpi nagrania. Są to bowiem dziedzinie odrębne. Obcowanie z tzw. muzyką mechaniczną uznać trzeba za najbardziej bezpośrednie — to jakby

inwencje, rozwija umiejętność improwizacji, wrodzona u dzieci. Niestety, nie ma się kto zajęć profesjonalnym nauczaniem tej muzycznej dyscypliny.

Tematem wystąpienia prof. dr Leona Markiewicza była „Muzyka dla dzieci i młodzieży w Polskim Radiu i Telewizji”. W programach dla młodego adresata niemal wyłącznie pojawia się muzyka rytmiczna, kontrastująca niekiedy z rzeczością treści audycji. Tzw. przeboje są często pseudo-kompozycjami, choć nieraz zastępują na estetyczną akceptację. Radio i telewizja, nie ujawniając zróżnicowanych zainteresowań muzycznych młodzieży, po prostu kłamia. Pesymizm budzi fakt, że nie można zahamować destrukcyjnej, w dużej części, roli mass mediów w omawianej dziedzinie.

O możliwości rozwijania zainteresowań muzycznych uczniów przekonał m.in. referat dożdanina, mgr Tadeusza Kawczyńskiego nt. form pracy Klubów Miłośników Muzyki. To był, z punktu widzenia wniosków, jeden z bardziej optymistycznych akcentów sesji.

## Władysław

Na Piotrkowskiej 194 (prawa oficyna), w starej wozowni cudem uratowanej od rozbioru, mieści się pracownia jednego z ciekawych artystów, z jakimi zdarzyło mi się spotkać. ZBIGNIEW WŁADYŚLAW. Rzeźbiarza, scenografa, ceramika, architekta wnętrz, projektanta i realizatora przestrzeni krajobrazowych, pomników.

Aktualnie w owej pracowni można obejrzeć wystawę rzeźb Władysław. Parę tygodni temu, niektóre z nich eksponowane były w galerii Rüdiger Hilde Osterholz w miasteczku artystów Schermbek, koło Bremy. Pojadą niebawem do Lwowa i do Ameryki Północnej, do Bostonu. Namawiam gorąco na zwiedzenie owej wystawy, bowiem jest tu dużo dobrej rzeźby, sporo ciekawych rozwiązań plastycznych, wiele prawdziwej indywidualności, no i znakomity warsztat, które w sumie wystawiają artystę jako najlepsze świadectwo.

Władysław urodził się w 1935 roku, w Ujściu Zielonym koło Buczacza. Studował w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Łodzi, w pracowni prof. Stanisława Byrskiego. Brał udział w wielu wystawach w kraju i za granicą. A najkrótsza i najtrafniejsza recenzja, jaką można by napisać o jego twórczości i o nim samym brzmiałaby: kontrowersyjny i pracuje jak diabeł; pracuje jak czort i pozostaje nadal kontrowersyjny, mimo upływu lat...

W jednym z katalogów Władysław umieścił jako motto słowa Leonarda da Vinci: „Ci, którzy lubią się w praktyce bez wiedzy, podobni są do żeglarska, co wsiada do łodzi bez steru i busoli i nie ma nigdy pewności, dokąd dojedzie. Ma-

larz, który maluje wedle praktyki i sądu oka, bez udziału rozumu, jest jak zwierciadło, które odbija w sobie wszystkie przed nim stojące przedmioty, nie znając ich”. To wiele wyjaśnia.

W innym zaś, kiedy pokazywał duży cykl portretów rzeźbiarskich, sam napisał: „Twórczość, którą uprawiam, nie jest skierowana na wydobycie z natury człowieka tego wszystkiego, co jest w niej stałe i powtarzalne, ale przeciwnie, skierowana jest na uchwycenie i przedstawienie za pomocą środków artystycznego wyrazu drugiej natury człowieka — tego wszystkiego, co jest w niej przypadkowe i niepowtarzalne. To, co osobliwe, jest równie znaczące jak to, co powielane i regularne. (...) Strategia mojej twórczości jest niezwykle prosta — poznać i dostrzec w człowieku to, co jedyne, nieodparcie rzuca się w oczy i niepowtarzalne. Mój portret człowieka nie jest kopią dokładną, jeśli tak pojmować odwzorowanie wszystkich jego atrybutów i właściwości, ale jest kopią wierną, jeśli tak rozumieć artystyczne odwzorowanie tego, co jest w nim osobliwe i wyjątkowe zarazem”.

Mnie w rzeźbach i innych realizacjach Zbigniewa Władysław pociąga przede wszystkim jego absolutne niechęć do wszystkiego, co jest wspaniałe nie po znanie i nie wsklepek autorytetów i wzorów; na wskroś indywidualne podejście do każdego tematu, czy będzie to pomnik „Leśnika”, czy akt kobiecy z szmatowej gliny lub marmuru, czy wreszcie przestrzenne skomponowanie Parku Krajobrazowego między Włodawkiem a Gostyninem...

Autentyczna twórcza pasja i niezachwiana wiara we własne racje artystyczne — to prawdziwe źródła sukcesów rzeźbiarza, obok twórczości którego nie sposób przejść obojętnie.

ANDRZEJ GRUN

## Wyjście z ukrycia...

Rozmowa z pisarzem WITOLDEM JABŁOŃSKIM

WITOLD JABŁOŃSKI, absolwent filologii polskiej UL, redaktor Wydawnictwa Łódzkiego (redakcja Literatury Pięknej), pisarz (autor powieści z życia współczesnej bohemy — perawazyni trójką miłosny „Gorące uczynki”, która szybko zniknęła z półek księgarskich). Na wydanie czeka książka „Niesmaczna historia”, pisarz kofercy powieści „Wybrani i potępieni”, sponserowana przez Fundusz Literatury Ministerstwa Kultury i Sztuki.

— Zawsze interesują mnie znaczenia motta, którym autor opatrzył swoją książkę. „Cokolwiek, godne jest istnienia, godne jest również poznania”. Dlaczego wybrał pan właśnie taką myśl Francisca Bacona?

— Poniższe z natury jestem eksperymentatorem i zawsze lubię „reżyserować” swoje życie — traktuję je trochę jak dzieło sztuki. Doświadczając i opisując, oto mój cel.

— Recenzent pana książki „Gorące uczynki”, Tadeusz Olszewski, napisał w „Życiu Literackim”: „Należy podziwiać odwagę Witolda Jabłońskiego, który karty swojej debiutanckiej powieści zapelniał homoseksualistami, lesbijkami i biseksualistami. Wiadomo przecież, że na autorów piszących nieskrępowanie o seksie konwencjonalnym spadają u nas gromy, które w niczym w porównaniu z akcjami wymierzonymi przeciw wszelkiej, bardzo u nas nieśmiałej literaturze „dewiasyjnej”. Czy z usztury jest pan człowiekiem śmiałym i eros był dla niego zawsze niespętanym?

— Ta książka jest zapisem kilku szalonych lat mojego życia. Był to okres poszukiwań, prób i błędów, nadziei i rozczarowań. W tym czasie pisałem sporo typowo młodzieżowych opowiadań miłośników rozlicznych niepokojami. Wszystkie były bardzo niedobre, później zrozumiałem dlaczego. Nie mówiły o mnie całej prawdy. Kiedy zdecydowałem odkryć się całkowicie, pojawił się pomysł napisania „Gorących uczynków”. Był to raczej akt szalonego „pójścia na całość” niż śmiałość: „Takim

mnie macie i zrobić coś z tym”. Na Zachodzie określa się to mianem „coming out” — wyjście z ukrycia. Na szczęście było ono twórcze. Reakcje na ten mój wybrzyk były bardzo różne... Pewna pani stwierdziła, że wydanie mojej książki byłoby szkodliwe społecznie, przede wszystkim ze względu na niewinną młodzież Ostrzeżenie małe również, że po wydaniu jej pod swoim nazwiskiem będę odbierał złośliwe telefony i anonimy. Pomyliła się, na szczęście. Jak dotychczas były tylko miłe telefony i listy.

— Książka jest barwną fotografią młodzieżowego środowiska artystycznego, dość sfrustrowanego w latach 80. W jakim stopniu identyfikuje się pan z tym co sam opisuje?

— Wyrastałem w środowisku młodych artystów różnego autoramentu. Zawsze starałem się umiejętnie dobrać sobie znajomych. Teraz mam do tego okresu pewien dystans — ludzie ci, podobnie jak ja, mieliśmy się bezsilnie między obydła totalitarnej władzy a bohaterstwu mecenatów. Było u nas ogromne pragnienie życia normalnego — tak, jakby wszelkie absurdy naszej rzeczywistości po prostu nie istniały. To właśnie było najtrudniejsze.

— Dlaczego użył pan pastiszowej tonacji? — Pragnąłem uniknąć typowego dla naszej literatury sentymentalizmu, związanego z melodramatycznym przedstawianiem uczuć i martyrologią. Miałem ochotę na żart, zabawę... Wbrew ponuracztwu rodaków.

— Na wydanie czeka nowa powieść, czy również z wątkiem erotycznym i inności bohaterów?

— „Niesmaczna historia” dzieje się w moich ulubionych latach 20. i 30. Bohaterem jest pilsudczykowski oficer, którego utajone aktywności powodują załamanie jego kariery i klęskę natury osobistej. Ten człowiek usiłuje zaprzeczyć samemu sobie i uciec od swego przeznaczenia, co — podobnie jak w tragedii greckiej — staje się przyczyną jego samobójstwa. Taki polski pułkownik Redt.

Ważnym tematem tej powieści jest także narastanie tendencji faszystowskich w polskim społeczeństwie owych lat, nacjonalizmu i nietolerancji.

— A książka nad którą obecnie pan pracuje?

— To zupełnie coś innego. Saga panującego rodu Piastów na przestrzeni stu parudziesięciu lat, od początków rozbicia dzielnicowego aż do ponownego zjednoczenia. Powieść — rzeka, z masą wątków i postaci. Chciałbym, aby była to powieść europejska, ukazująca nas jako typowe, średnie państwo. Nie byłymy wtedy bowiem, na szczęście, ani „pawianem narodów”, ani „mesjaszem cierpiącym za miliony”. Nie odbiegłbym zbyt od normy. Książka będzie się nazywała „Wybrani i potępieni”.

— A może trzeba było zacząć odwrótnie czyli właśnie od średniowiecza do lat nam współczesnych?

— Wsiadłem w wielki kłopot czasu i nie mogę się już powstrzymać... Do tego średniowiecza trzeba było dojrzeć. „Gorące uczynki” były erupcją młodzieńczości: „Niesmaczna historia” to już owoc bardziej dojrzałych przemyśleń o człowieku, społeczeństwie itd. Średniowiecze będzie zresztą pełne aluzji, jak najbardziej aktualnych. Może kiedyś wrócę do współczesności, kiedy nasza rzeczywistość stanie się bardziej namacalna i stabilna. Strasznie trudno opisywać wybuch wulkanu siedząc w samym jego centrum.

— Pierwsze kroki stawiał pan pod kierownictwem samego Jerzego Andrzejewskiego, będąc w latach 1981—82 jego sekretarzem?

— Jerzy Andrzejewski był wspaniałym człowiekiem. Dzięki jego głęboko mądrym radom stałem się tym, kim teraz jestem. Każdy młody człowiek poszukuje w pewnym momencie autorytetu, z którym mógłby się identyfikować. Miałem naprawdę dużo szczęścia.

— Pisanie powieści to już pana profesja obok redagowania literatury pięknej czy jeszcze hobby? — Udało mi się połączyć pracę z przyjemnością. Nie traktuję jednak swojego pisania z przesadną powagą. Piszę w wolnych chwilach, pomiędzy całym szeregiem spotkań i zabaw... Moja praca jest więc dla mnie również rozrywką. Całe szczęście, że czasem przynosi dochody...

Rozmawiał: BOHDAN GADOMSKI



# Kronika

Dla uczczenia przypadającej 55. rocznicy śmierci Józefa Piłsudskiego, 11 bm. w Muzeum Historii Miasta Łodzi otwarta została wystawa pn. „Marszałek umarł, Polska żyć musi”. Ekspozycja ta przygotowana została staraniem Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich Oddział w Łodzi. W Uniwersytecie Łódzkim odbyła się 5 bm. uroczystość nadania doktoratu honoris causa tej uczelni wybitnemu radzieckiemu historykowi prof. dr Włodzimierzowi Anatolijewiczowi Diakowowi. Ma on duże zasługi w propagowaniu dziejów kultury polskiej. Jest autorem 350 rozpraw naukowych z dziedziny historii, w tym obszernej, bardzo cennej monografii pt. „Polskie ruchy społecznej literatury 1832—1853”. Na Internacjonalne Studentage Babelsberg 1990 studentki łódzkiej PWSFTViT otrzymały trzy z pięciu rozdanych tam laurów. Główną nagrodę przyznano filmowi pt. „Prześladowcy”, zrealizowanemu przez Macieja Szlachowskiego (zdjęcia Macieja Jaszczaka). Za reżyserię uhonorowany został nagrodą Witold Świąciecki — twórca filmu „Linia życia” (operator Bogusław Dąbrowski-Kostka). Ricardo Ramirez Torres wyróżniono nagrodą za zdjęcia do filmu „Zatoba” (reż. Helena Dąbrowska-Torres). Gratulujemy! Głosem do głosnej „Przerwanej dekad” Janusza Rolickiego (wywiadu-rzeki z Edwardem Gierkiem) jest opublikowana przez Biuro Informacji Studenckiej ZSP w Warszawie broszura „Gierek i Jaroszewicz zeznają”. Zawiera ona wydołyte z tajnego archiwum KC PZPR protokoły przesłuchań byłych promienników przez komisję działającą pod przewodnictwem Tadeusza Grabskiego. Wydana one zostały swego czasu przez Instytut Literacki w Paryżu z obszernym wprowadzeniem Grażyny Pomian. Grono osób wywodzących się ze środowiska kultury zamierza zorganizować w naszym mieście w październiku br. I Festiwal Mediów (film, druk, dźwięk) pod hasłem „Człowiek w zagrożeniu”. Festiwal ten — zdaniem organizatorów — mógłby służyć również twórczej integracji środowiska dziennikarskiego. Koordynacją wstępnych prac przygotowawczych zajmuje się z upoważnienia organizatorów red. Marek Miller. O głównych założeniach tej niecodziennej, wielce oryginalnej imprezy poinformowani zostali dziennikarze na konferencji prasowej, która odbyła się 10 bm. w Łódzkim Domu Kultury. Zarząd Wojewódzki Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Greckiej i Łódzki Dom Kultury organizują w dniach 19—20 bm. Greckie Dni Oświaty Książki i Prasy. W programie przewidziane jest m.in. spotkanie autorskie z Nikosem Chadziniakou oraz z prof. dr Wacławem Barcikowskim, autorem książki „Grecki szpital na wyspie Wolin”. Na kiermaszu nabyć będzie można książki obu autorów. Dniom towarzyszyć będą projekcje filmów greckich, wystawy oraz prelekcje. Imprezy te, odbywać się będą w ŁDK. Przynajmniej przez redakcję „Kalejdoskopu” nagrodę „Sprężyny” za osiągnięcia w zakresie pobudzania życia artystycznego w naszym mieście otrzymali w tym roku artyści i menażerowie sztuki: Jerzy Grzegorski i Adam Klimczak — współtwórcy głosnej Galerii Wschodniej. Dyrektorem i redaktorem naczelnym Wydawnictwa Łódzkiego, w wyniku rozpisanej przez Radę Pracowniczą konkursu, został z dniem 10 bm. mgr Jarosław Skowroński, długoletni redaktor tej oficyny, polonista z wykształcenia, od trzech miesięcy — po odejściu dr. Jacka Zaorskiego — pełniący obowiązki szefa WL. Gratulujemy! Oddział Towarzystwa „Pomost”, stawiając sobie za cel poszanowanie odrębności mniejszości narodowych zamieszkujących w naszym kraju i rozwijanie przyjaznych stosunków z sąsiadującymi z nami narodami, powstał w Łodzi. Do jego władz weszli: Zbigniew Pruski, Mirosław Michalski i Bogdan Bilecki. Na scenie Teatru Powszechnego w Łodzi, 22 bm., odbędzie się premiera „Emigrantów”. Sławomira Mroźka. Spektakl ten wyreżyserował Józef Fryzlewicz, zaś opracowanie muzyczne przygotował Bogdan Mazurek. W głównych rolach wystąpią: Józef Fryzlewicz i Roman Gramziński. W kinie ŁDK, 21 bm. (o godz. 17.30) odbędzie się kolejne spotkanie w ramach cieszących się dużym zainteresowaniem Łódzkiej Warształów Filmowych. Tym razem poświęcone będzie kulisom warsztatowym komedii filmowej. Warsztaty te zapowiadają się bardzo atrakcyjnie, ze względu na przewidziany udział w spotkaniu z widzami Juliusza Machulskiego (twórca „Vabanku 1 i 2”, „Seksmissji”, „Kingsajza” oraz znanego aktora Jana Machulskiego (dziedziną Wydziału Aktorskiego PWSFTViT). Program, jak zwykle, poprowadzi red. Małgorzata Karbowski z „Głosu Porannego”. Filharmonia Łódzka uczy cyklem koncertów 150 rocznicę urodzin Piotra Czajkowskiego. Koncerty te zainaugurowane zostały 11 i 12 bm. w sali Liceum Muzycznego przy ul. Sosnowej 9. Usławił je światowej sławy radziecki skrzypek Grigorij Zyslin, laureat międzynarodowych konkursów im. N. Paganiniego w Genewie i im. Królowej Elżbiety w Brukseli. W Bibliotece „Więzi” ukazał się wybór wierszy Wacława Iwanuika, polskiego emigracyjnego poety mieszkającego w Kanadzie (Toronto), nie publikowanego dotąd w oficjalnym obiegu w kraju. Tom jego wierszy zatytułowany „Powrót” opatrzony został wstępem Marka Zielińskiego, który jest też autorem wyboru. Do 24 maja br. trwać będzie w Cannes Międzynarodowy Festiwal Filmowy. Rozpoczął się on 10 bm. projekcją „Marzenia” Akira Kurosawy. Naszą kinematografię reprezentować będą na festiwalu dwa filmy: „Prześluchanie” Ryszarda Bugaja i „Korczak” Andrzeja Wajdy (w ostatniej chwili włączony do programu).

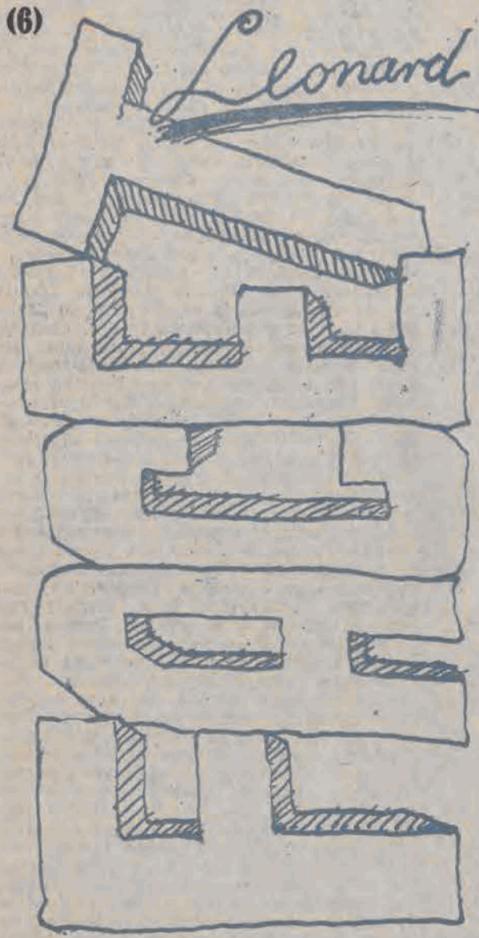
Opracował: JAK

Z grymasem bólu na twarzy chwycił się za serce. Drżącymi palcami wyrzucił z fiołki tabletkę nitrogliceryny i wsunął ją pod język, w lot się jednak zorientował, że robi to na moich oczach. On i taka słabość! Który dla zachowania silnego faceta gotów dał się pokrajać w talarki bez zniechęcenia, złamany przede mną wpół. Półknął lekarstwo i wciąż siny z braku powietrza, wyczarzał: — Spłodziłem potwora. Jesteś skończonym draniem. Skąd w obecnej sytuacji w kraju wezmę tyle pieniędzy? Jak mało sobie z tego robiłem! Mógł na moich oczach trafić go szlag, rozłożyć go u moich stóp wijącego się w konwulsjach, żadnego uczucia by ze mnie nie wykrzesał; nie wiem, czy nie zostawiłbym go, nie zadając sobie trudu nawet spojżenia na niego. Oprócz obrzydzenia nic do niego nie odczuwałem. Mogą go brać w tej ich

zależało, puściłaby w niepamięć teletę z Warszawy podpisaną przez ministra, wzywającą dyrektora niezwłocznie do powrotu do kraju. Jej kobieca logika bezbłędnie dopowiadała resztę: nieszczęsna krakuska przestała się liczyć, problemem stały się sprawy ważniejsze, nie dotyczące osoby jej małżonka. Było to jednak małym pocieszeniem wobec siły huraganu przewalającego się przez kraj. Wszędzie, gdzie pani Krystyna dotąd z mężem przebywała, panowały ład i dobrobyt, człowiek kładł się wieczorem do łóżka bez obawy, że w środku nocy zbudzi się na dachu domu. Niespokojna ta Polska. Zawsze tam coś nie tak, a już nigdy dostatnio, choć kraj bogaty. Albo wybrała sobie złe miejsce na lokum w świetle, albo zamieszkała jest przez ludzi, którzy do żadnego innego miejsca nie pasują, albo — w co pani

nał po mnie bez śladu. Produktem kombinów są zawsze sadza. Nigdy tego człowieka nie darzyłem synowskimi uczuciami. Słuchać — słuchałem, przelewając z nim nie było. A teraz do diabła z nim! Na ekranie szklanej ściany drugiego piętra terminalu przesuwają się garb jumbo-jeta. Przedpotopowy gad podkolewuje do przedpotopowej jaskini z przypalanego kryształu i oksydowanego na złoto aluminium. Pan American Air Lines. Ta kolejka eleganckich pasażerów, smutnych, pachnących kobiet nie objuczonych wypchanymi reklamówkami supermarketów, to do niego. Wolni ludzie. A jak zasobni! Nie to, co ci z naszego sektora hallu. Jazgot silników zagłuszył Zająca. Nie kiel się rozmowa. Pożegnanie skazańca. Za chwilę kawał zabierze go na miejsce kaźni. Rozjużco-

takie same. Skończy się angielska przygoda, wróci do polskiej nędzy — do roboty, garkuchni, do dziełców i po paru latach łapska będzie miała, jak jej matula. Brz, wstrętnel Nie mogą myśleć o jej palcach. Jak ja tej dziewczyny nie znoszę! A Brodowie konspiracyjnym szepem pewnie obliczają, kogo następnego z personelu Polcaru odprowadzą do tego hallu. Nie mogła uwierzyć. Rozmawiając telefonicznie nie widziałem jej twarzy, ale wyobraziłem ją sobie. Jeżeli tylko ja dam radę, ona może związać manatki choćby od zaraz. Stanley jest facetem od słowa. Jak od zaraz, to od zaraz. Nie, nie żartowałem. Odstawię tę ceremonię i z lotniska wprost do niej. — Co ty na to, Cher? — A urlop? To angielskie przywiązanie do przestrzegania porządku w ziemskich sprawach zwane umową społeczną. Nic na żywioł. Jak oni, przy stałym oglądaniu się na przepisy, dorobili się takiego imperium? Ja miałbym pytać o urlop! Kogo? Biuro podróży wzięła na siebie. Wybór trasy, hotele, booking samolotu itd. Jest pełna podziwu dla mnie. Upoważniłem ją do sprawienia sobie jakichś ciuszków. Może sobie nie żałować, dziś nasze święto, a fatalaszków kobiecie nigdy za dużo. Głos miała zdumiony. To ja mam jeszcze na zakupy? Dla niej będę zawsze miał. Za kogo ona mnie ma? Mój plan prosty: kiwnę się przed nim na good bye — rękę mu nie podam — łapię taksówkę i w nogi. Odstawiam sentymentalną scenkę żegnania drogiego rodzica tylko na jego błaganie. Dosłownie. Jest załamany, nigdy go takim nie widziałem. Trzydzieści tysięcy, które już załka-sowałem? Przy jego lewych obrotach setkami tysięcy dolarów, z których się przed nikim nie rozliczał, to pestka. Jego kwaśna mina ma inne podłoża. Ruchawka nad Wisłą to nic innego jak rytuał, znany światu polski sposób zmiany warty głównej, powtarzany w regularnych odstępach czasu, po czym wszystko powraca do dawnej normy i gra zaczynała się od nowa, tymi samymi figurami, tyle że inaczej poustawianymi. Dopóki u naszego Dużego Brata istnieje stalinowski model sprawowania władzy, jak długo tam góra sama nie dostrzeże, ku jakiej katastrofie ten kolos zmierza, na więcej niż pokrzykzenie robotom się nie pozwoli. Centralizm demokratyczny, tak pewny swego niekwestionowanego panowania na ringu, dostał w Polsce potężny cios na szczękę. Tylko że tym razem w naszej mutacji systemu groźnie wylało się z brzegów i aby wody znowu wróciły do starego koryta, trzeba będzie rzucić ludowi ofiarę. Od czasów cesarów ulica zmieniła zawołanie z „Chleba i zabawy” na „Chleba i sprawiedliwości”. Upowszechnienie nauki nie poszło na marne. Ten szakał naprzeciwko mnie z zapadniętymi oczami już chwycił nozdrzami swąd własnej skóry, wcale mi go nie żał. Do jego stosu do-lałbym nawet benzyny. Lubię czerwień. Symbol serca, utraconego dzieciństwa, miłosierdzia, wiary, nadziei, piekiele. Najbardziej sprofanowany kolor świata, najbardziej drapieżny, kolor królów, satrapów, krwawych dyktatorów, morderców, a także pajaców i kłownów. Lubię go w kwiatkach, na teatralnych kurtynach, damskich szatach, nie noszę go na sztandarach. To kolor ludzkiej krwi. Już niedługo. Jumbo-jet Pan Amu zadiera dziób na runway. Z nudów śledziłem manewr odholowywania go do kretaniny pasów dojazdowych — okropna gestwina, że też się w tym nie pogubił; tak samo zresztą jak mowię maszyn jednocześnie z wszystkich stron nadlatujących, startujących na licznych runwayach, krążących na różnych wysokościach nad lotniskiem w oczekiwaniu na zezwolenie lądowania — przerażająca chmara ptaszek z całego świata, które się zmowyły, by złożyć swe jaja akurat w zatłoczonym po brzegi Heathrow. Już nie zdąży zrobić Jemu przedstawienia z drugiej połowy mego przedświadczenia, może to i lepiej. Na monitorze WARSAW. Nie pokonana stolica świata, jak się u nas mówi i śpiewa. Warowny Obóz Warszawa. Nieugięty. Prasa donosi o koncentracji wojsk radzieckich wokół miasta, nie wyklucza możliwości wybuchu walk. Pasażerowie z innych kierunków przysparzali się ciekawie grupie szaleńców udających się dobrowolnie na niechybną śmierć. — Do rychłego zobaczenia w Londynie, panie dyrektorze! Trzymamy za pana kciuki, panie dyrektorze! Na warszawskim lotnisku plutony egzekucyjne, czekające na pasażerów przylatujących z Zachodu, już ładują broń. W tyle za nimi szeregi pustych trumien z surowej, nie heblowanej sosny. A ci tutaj ani drgną. Nieustraszeni są Polacy! Z lotniska w Warszawie zawracam myśl do ludnego hallu odpraw pasażerów na lotnisku Heathrow; robię to z lekkocią żłoczycy znajdując się poza zasięgiem psów gończych. Popeniłem przestępstwo doskonałe. Udało się. Mnie jedynemu. Nie zdołam wykrztusić z siebie ani słowa, ale to nie ma znaczenia. Nie zdołam, bo gardło blokuje mi nieobecny tutaj Janiak. Jutro Zając z Brodą wezmą go w krzyżowy ogień pytań, pojutrze przyjdzie wezwanie powrotu do Centrali dla wyjaśnienia pewnych spraw; jutro rano już minister zapozna się z wynikami śledztwa przeprowadzonego przez towarzysza generalnego dyrektora, co do jęty zgodnego z jego wcześniejszymi oczekiwaniami.



Rys. Dariusz Romanowicz

Warszawie i przypiekać na różnie, on i tak ze wszystkiego się wywinie. A w jaki sposób? Nie moja sprawa. Ma prywatne konta w Szwajcarii, w Wiedniu, Paryżu. Z jakich źródeł je ma, też mu to wygarnąłem. Wystarczy telefonicznie podać bank w Londynie i moje nazwisko bądź hasło, na które mają dokonać transferu; sposób jest mi obojętny, byle forsa była do podjęcia. Jeszcze przed jego odjazdem!

— Bo inaczej? — spytał cicho jak nigdy.

Nie miałem odwrotu. Mamy obaj po sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Na tej wysokości zderzyły się nasze czola.

— Zobaczysz — powiedziałem tylko.

Zostawiłem go z jego świętym oburzeniem na moje bezideowe, lajdackie pokolenie. Nic mnie ten człowiek nie wzruszał.

Długo nie byłam w stanie wyciszyć w sobie rozhułanej krwi. Z rozluźnionym krwawym wypaliłem na lawce w parku papierosa. Trzydzieści tysięcy... Sam nie wiem, jak mi się to chlapano, ten wilkolak zaś przelknął to bez protestu. Nie wilkolak więc a balon. I takie coś dzierży za ńordę masę ludzi. Jutro otworzę sobie konto w banku, a potem...

Bienvenidos en Espana, señor y senorinal Brałem w tym udział mimo woli. Gdybym odwoził kogoś obcego, nieprzyjawnego mi, byłoby pół biedy, ale odprowadzałem Jego. Który znał mnie na przetrzał, umiał czytać w moich myślach, który będąc sam lajdakiem, mną pogardzał. Tym bardziej go nienawidziłem.

Czułem się jak wciśnięty na siłę w gorący kocioł. Wszystko w samochodzie mnie parzyło. Wszyscy wydawali się być moimi wrogami, którzy przy najbliższym przechyle wozu na zakręcie rzucają się na mnie, jedynego sprawiedliwego wśród tej czwórki lisów myślących każdy o swojej skórze. W kraju wrzało. Dzika tuszcza porzuciła pracę, wyległa na ulice, domaga się pociągnięcia do odpowiedzialności nie abstrakcyjnego dla niej ustroju, a konkretnych ludzi. Tuszcza zawsze staje przeciwko królom, ale swoje emocje topi w krwi ludzi dworu. Niedobrze dzieje się w kraju.

Swoim pojękiwaniem pani Krystyna najlepiej oddawała stan umysłu pasażerów. Wiadomości o rozwoju wydarzeń w Polsce, podawane przez radio i telewizję, przyparowały ją o zawroty głowy. Żadne słowo nie było w stanie wyrazić jej oburzenia. Czy ten motloch zdaje sobie sprawę z ogromu jej poświęcenia? Czy wie, co to znaczy żyć z dala od rodzinnego domu? Większość swoich małżeńskich lat zgodziła się przebywać wśród obcych tylko dla dobra kraju, którego interesy za granicą jej małżonek ofiarnie reprezentował. Mąż zawsze postępował zgodnie z oddzielnymi zarządzeniami. Nigdy nie pozwolił sobie na samodzielny krok, dyrektor Osterwa może to poświadczyć. Gdyby to od niej

Krystyna poczynała wierzyć — nie umie się rządzić. W każdym razie nie przez własnych ludzi. A przecież ona wraz z mężem tyle dla niej zrobili.

Tylnie siedzenie zdawało się być wąskie dla nas. Co słowo domagała się przyznania jej racji. Każdy jej dotyk przesyłał mi wstręt. Wydelikowana skóra dłoni koloru przedojrziałej moreli podszyta warstwą tuszczy, porowate palce z krwawo polakierowanymi paznokciami, które po iluś latach pichcenia słynnych koldunów w wileńskim barszczu nabrzmiewają jak gorące serdelki. I oczy, jak gdyby wyjęte z twarzy Gosi: dziecięco duże, ocienione miotłami nienaturalnie długich, lalkowato podwiniętych rzęs; gdyby nie były wiecznie zaszklone gliceryną rozmazania, w zasadzie niebrzydkie. Jeżeli w ogóle byłam w stanie dojrzeć w nich coś ładnego.

Za nami, w wozie Brodów, wlokła się jej jedyna latorośl, a moje utrapienie. Całą mocą swego kurzego mózdzku myślała tylko o mnie; czułem to. Zwyyczajem londyńskiej kolonii polcarowców było odprowadzenie co ważniejszych delegatów z kraju na lotnisko. Inaczej nikt nie czułby się pewnie, czy w przypadku nieobecności nie zostanie w ostatniej chwili podkopany przez kogoś.

Myślałem o swoich sprawach. Nikt z wysypujących się z dwóch samochodów na podjeździe terminalu lotniska nie miał o nich pojęcia. Patrzyłem na ich zafrasowane miny i nie wiedziałem, czy się z tego cieszyć, czy smucić. Rozpierało mnie niepełnie jasne uczucie zadowolenia: pierwszy raz w życiu doprowadziłem swój zamiar do końca. Ze lajdacki, pomysł nie mógł być inny. Ale to była tylko część sprawy. Ta mniejsza. Gdyby oni wiedzieli, kto jest autorem i wykonawcą drugiej przyczyny ich zmartwienia, udusiliby mnie w samochodzie.

Do dzisiaj nie wiem, dlaczego to zrobiłem, i, co ciekawe, wcale mnie to nie trapi. Nie z tak zwanych wyższych pobudek, czym mógłbym się przed samym sobą wytłumaczyć; te dla mnie nie istnieją. Nieprawdopodobne wyznanie młodego człowieka: słowa takie jak naród, kraj, ojczyzna, Bóg, ołtarz, wiara, rodzina, matka, sumienie, moralność, godność, nie mówiąc o tak wyświechtanych, jak idea, lud, obowiązek, mają dla mnie wartość wyłącznie obiegową albo, jaśniej powiedziawszy — co można za nie dostać. Dla takiej postawy on ma tysiąc nazw. Nazw, nie wytłumaczeń. Uwielbienie patosu. On nie nazwie niczego po imieniu, nie wyrazi inaczej jak transparentowym sloganem, jak gdyby zwykle słowo nie podparte wzniosłym przymiotnikiem nie miało mocy przekonywania, a już do końca swoich dni nie zrozumie, skąd ta moja zniechęca się wzięła. Oderwanie od ziemi. Od wiewzów rodzinnych. Lata niegodności teorii i praktyki. Lata kłamstw, samooszukiwania się. Lata podcinania w ludziach zaufania we własne siły, w sprawiedliwość, wreszcie tużte lata zagarniania dla siebie owoców pracy milionów, w rozpasanej bezkarności, nie mogły spły-

na tuszcza, żądająca jego głowy, już tam czeka. Prędzej z tym trupem stąd! Jajda!

Jak ten czas się wleczel!

Zdenerwowany nie umiem porządkować myśli. Matka nazywa to roztrzęsaniem, Cheryl widzi w tym bogactwo mojej inteligencji wymagające jednak warunków do wyzwolenia. Stworzyć mi te warunki, a zdobędę świat. Już ona się tym zajmie.

Na zewnątrz terminalu upał, wewnątrz przyjemny chłód. Podobno lato stulecia. Coca-cola to jest to. W upale lepsza jest fifty-fifty z mocno gazowaną wodą sodową. Ja woleję z grejfrutowym schweppsem z lodu. Wybory napój.

Nie powinni w tym skwarze pociągać whisky! Przy jego skołowaceni u jeszcze go szlag trafił nim doleć do domu. Konwulsje w kraju? Zając wiedział, skąd one. Polityka Partii była w porządku, nie wszystko przecież się udaje. Papięć. Przeprowadzenie Karola Wołtydy z Krakowa do Watykanu było chytrą zagrywką Zachodu. Czego nie zdołano osiągnąć dolarami, osiągnięto wyniesieniem na Piotrowy tron członka tego głupiego narodu podatnego na woń kadzidla. Teraz koniec. Syndrom muła. Siłę można okiełznać siłą, tego bydłaka, kiedy zaprze się kopytami, można tylko pod noz. Nie certyflic się. Na śmietnik z perswazją, dopóki nie jest za późno. Niepojęte: zwyczajny elektryczyna od kombinerek i drutu dyktuje Partii warunki... Albo złapie się holotę za mordę — cena nieważna — albo wszystkie hamulce zawiada. On, Zając, od mszy pontyfikalnej liczył miesiące; i tak długo się przeciągnęło.

Zając jako handlowiec nie jest orłem, ale polityczne wyrobieństwo ma, nie darmo dostał się na tę trudną placówkę. Już w siedemdziesiątym roku, po tragicznych wydarzeniach na Wybrzeżu, ostrzegal na zebraniach partyjnych przed kontrewolucją. Miał sięgnąć po jeszcze surowsze środki, władza zwróciła się do stocznio-ców o pomoc; to była Canossa. Teraz proszę: Bogu ducha winnych ludzi będą pociągać do odpowiedzialności za to, że chcieli dla kraju dobrze.

Z przyjemnością plunąłbym temu cymbałowi w pysk.

Dzień jak marzenie. Cały sierpień taki. Wyobrażam sobie plażę w Hiszpanii. Toples. Dlaczego nie zezwolono na całkowitą nagość? Ul-trakatlolckie Włochy już się z tym uporały, słynna Civitavecchia przyciąga na swoje kamieniste plaże tabuny naturystów z całej Europy, nawet zacofana Portugalia przynika na to o-czy. Nagość. Od stóp do głowy wystawiona na słońce hasłem wywoławczym społeczeństw wyzwoleńców z pludrów średniowiecza. Niech żyje nagość! Cheryl przepada za naturą.

Pani Krystyna dla ochłody powachlowała się spoconą dłonią. Niemożliwy jest ten dzisiejszy ukrop.

Jej serdelkowate paluchy nie znajdują sobie miejsca. — Boże, co dalej? — Raz zaciskają się na gołym barku córki, raz grzebią nerwowo w torebce albo wyglądają na stole zmięta serwetkę papierową. Małgorzata palce będzie miała

1.

Na rozległość obszaru intymności wpływają także czynniki osobowościowe, takie jak skrytość, konformizm, przesadna wstydlivość, lekkość, zahamowania i kompleksy. Wszystko to może sprawić, że do zakresu intymności mogą być zaliczane informacje uchodzące za jawne w danym społeczeństwie. Może to być nawet np. skrywanie choroby u siebie lub u członka rodziny, która w pojęciu człowieka przesadnie wstydlivość i lekkość może go „kompromitować” w oczach innych ludzi. Na marginesie tego warto wspomnieć słowa wypowiedziane przez Carmen Sylwę:

Niezwykle upodobania erotyczne Semiramidy i Kleopatry.

## Intymne niedyskrecje

KAZIMIERZ IMIELIŃSKI



Rys. Janusz Szymański-Glanc

„Tajemnica jest jak dziura w szacie. Im bardziej próbuje się ją skrywać, tym bardziej się ją ukazuje”, tj. zwraca na nią uwagę innych ludzi. (...)

Przetwarzanie atawizmów sprawia, że w pewnych sytuacjach niektórzy ludzie przeżywają silnie rokosz seksualny, gdy są podglądani przez innych oraz mają tego świadomość. „Zwiełokrotnia” to jakby liczba partnerów, a więc i intensywność przeżyć. Równocześnie zaś między dwójgim partnerów intymnie istnieje strefa tabu. Akurat właśnie najbardziej ukochnemu człowiekowi często nie ma się odwagi powiedzieć, ani od niego wymagać tego, czego się najbardziej pragnie w kontaktach intymnych. Aby temu zaradzić, niektórzy autorzy zalecają umieszczenie dużego lustra obok łóża małżeńskiego, aby partnerzy mogli się wzajemnie obserwować w czasie stosunku płciowego. Jest to prastary sposób wzmagania rokoszy seksualnej związany właśnie z tym, że w każdym człowieku drzemia skłonność ekshibicjonistyczna (chęć pokazywania tego, co zwykle jest skrywane — w tym przypadku narządów płciowych i aktywności seksualnej) i voyeurystyczne (chęć oglądania lub podglądania nagiego ciała lub czynności seksualnych). Stosowanie lustra umożliwia łatwiejsze porozumiewanie się partnerów oraz ujawnianie bez słów swych upodobań w ten sposób, że stosują oni takie pieszczoły (które widoczne są w lustrze przez partnera), jakich sami chcieliby doznać. W ten sposób, bez słownego objaśnienia, partnerzy uczą się wzajemnego „wdzierania” się w sfery intymne i rozpoznawania najskrytszych upodobań, pragnień i preferencji, po poznanu których — i przy stosowaniu odpowiedniej aktywności seksualnej — ich wzajemne kontakty intymne stają się źródłem coraz to większej rokoszy i satysfakcji.

2.

Nastawienie do intymnych niedyskrecji było różne w różnych epokach i kulturach — różne też były konsekwencje ich ujawniania. Były epoki, w których ujawnianie intymnej tajemnicy wywoływało skandal kończący się samobójstwem lub „wygnaniem” z kręgu towarzyskiego. Ale były też i takie, gdy ujawnianie tajemnic nale-

żało do „mody”, bowiem stanowiło atrakcję i „ożywiało towarzysztwo”. Im większe wywoływał ktoś skandale, tym większym cieszył się zainteresowaniem i uznaniem. Plotki, intrygi, niedyskrecje i skandale były zjawiskiem powszechnym na dworach królewskich. Ten, kto je znał i rozpowszechniał, cieszył się nie mniejszym zainteresowaniem, jak ten, kto był ich powodem.

Warto podkreślić, że następstwa niedyskrecji były różne na różnych dworach królewskich. Podczas gdy we Francji traktowano skandale miłosno-seksualne dość pobłaźliwie (zwłaszcza za panowania Ludwika XIV, XV i XVI), to w

się dzięki swemu pięknu i mądrości.

Według jednej z legend podanych przez Andrzeja Domińskiego Semiramida była córką nimfy i młodzieńca z Askalonu. Porzucona w wieku niemowlęcym została uratowana przez gołębie, które ją karmiły i ogrzewały. Potem została znaleziona przez pasterzy, którzy nazwali ją Semiramidą (w ich języku — gołębicą). Wyrosła ona na piękną i mądrą dziewczynę, która wyszła za mąż za gubernatora. Opanowała go w tak wielkim stopniu, że słuchał jej we wszystkim i samodzielnie nie podejmował żadnej decyzji. Zastępną też z mądrości, odwagi i dzielności go sprawiło, że pojął ją za żonę król Asyrii. Po jego śmierci objęła rządę, założyła miasto Babilon oraz kazała wznosić najwzwyż na owe czasy wieżę Babel, z której uczeni obserwowali gwiazdy. Po uzyskaniu pełnoletności przez syna, przekazała mu władzę mając świadomość tego, że „największą sztuką jest umieć we właściwym momencie zejść ze sceny”.

Z imieniem Semiramidy związane są pierwsze ogrody wiszące. Są to ogrody miłości założone przez Nebokadnezara II w pałacu królewskim w Babilonie. Były one położone na kłuzpociągach tarasach i stanowiły jeden z siedmiu cudów świata starożytnego. Według tradycji przekazywanej przez Greków ogrody założyła Semiramida. W ogrodach tych miała przyjmować kochanków. Po spędzonych z nimi upojnych nocach, kazała ich rano zabijać, aby nie mogli mieć żadnej innej kobiety po niej. Semiramida była tak piękna, że nawet gdy wieść o tym stała się publiczną tajemnicą, znajdowało się wielu ochotników, którzy świadomie oddawali życie, aby spędzić z nią noc.

Niektórzy historycy podają, że Semiramida — jako pierwsza — wprowadziła kastrowanie mężczyzn. Kastrowano ich z kilku powodów. Jednym z nich była chęć zapewnienia sobie dobrej reputacji przez królową. Ponieważ po śmierci męża otoczyła się ona doradcami męzczyznami, kazała ich wykastrować, aby uniknąć podejrzeń, że utrzymuje z nimi kontakty seksualne. Inni autorzy piszą, że kastrowanie wykonywano u jej kochanków, aby już nigdy nie mogli przeżyć rokoszy, jaką przeżywali razem z nią. Ponieważ wszyscy kochankowie podczas stosunków seksualnych mieli świadomość tego, że giną lub zostaną wykastrowani, wzbudzało to u nich szczególnie napięcia emocjonalne wzmacniające rokosz u Semiramidy. Rokoksz, jaką ona przeżywała, wynikała nie tylko z zaspokojenia seksualnego, lecz także z okrucieństwa i świadomości bycia „jedną i ostatnią” kobietą w życiu mężczyzny, z którym miała stosunek płciowy. (...)

4.

Królowa Kleopatra żyjąca między 69 a 30 rokiem przed naszą erą, ostatnia królowa Egiptu i ostatnia z rodu Ptolemeuszów, do dzisiejszego dnia uważana jest za ucieleśnienie erotycznej mocy kobiety Wschodu. Poza tym uważana jest za ucieleśnienie dekadencji, podstępności i egzotycznej piękności. Swe osobiste wdzięki z całą świadomością i wyrafinowaniem wykorzystywała dla zaspokojenia politycznych ambicji. Była ona niezwykle inteligentna i wykształcona. Oczarowywała mężczyzn nie tylko pięknnością i zgrabną figurą, lecz także elegancją poruszania się, temperamentem i dworskim zachowaniem. Poza tym w niezwyklej stopniu opanowała sztukę kosmetyki, przy pomocy której potrafiła podkreślać swą piękność.

Kleopatra pochodziła z małżeństwa kazirodzącego rodziców zawartego przez Ptolemeusza XII, a sama — mając 17 lat — wyszła za mąż za przyrodniego brata Ptolemeusza XIII, który w czasie ślubu miał 13 lat. Dzięki temu stała się równouprawnioną królową. Nie doszło do cielesnej konsumpcji małżeństwa, gdyż zawarte ono zostało z tego powodu, że Kleopatra potrzebowała męskiego współregenta, aby móc panować jako królowa.

Według niektórych źródeł historycznych Kleopatra już w wieku 13 lat miała pierwsze seksualne doświadczenia. Ale możliwe jest także, że dopiero 9 lat później miała swego pierwszego kochanka, a mianowicie Juliusza Cezara, 52-letniego dyktatora Rzymu. W czasie walki o władzę toczoną pomiędzy nią i jej rodzeństwem,

21-letnia królowa uciekła do Cezara, do jego pałacu w Aleksandrii. Aby ominąć strażników prawdopodobnie została zwinnięta w dywan lub białą pościelową.

Łasy na wdzięki kobiet Cezar uległ sztuce uwodzenia Kleopatry i rozpoczął się ich romans. Przy pomocy ukochnego Kleopatry umocniła swoją pozycję polityczną. Mimo że Cezar był już żonaty, poślubił Kleopatę według obrządku egipskiego. Wkrótce zabrał Kleopatę i wspólnego syna Cezariona do Rzymu. (...)

Po zamordowaniu Cezara przez jego politycznych przeciwników, Kleopatra wróciła do Egiptu, gdzie dowiedziała się, że władzę w Rzymie przejął Marek Antoniusz. Był to przystojny, muskularny mężczyzna, który — podobnie jak Cezar — był niezwykle podatny na wdzięki kobiet. Kleopatra postanowiła uwieść go, i w tym celu pożeglowała do Tarsu, statkiem mającym purpurowe żagle, srebrne wiosła oraz pokład rufowy ze złota. Muzyka wygrywana na fletach obwieściła przybycie królowej, która przebrana była za Wenus w otoczeniu służących przebranych w kostiumy Kupida i Gracji. Przez wiele dni odbywały się wystawne bankiety, przy czym królowa Kleopatra obficie obdarowywała prostodusznego Marka Antoniusza oraz jego oficerów.

Historycy donoszą, że w tym czasie Kleopatra urządziła tygodniami trwające nocne orgie, w czasie których uczestnicy oddawali się najprzeróżniejszym wyuzdaniam. Atmosfera lubieżności panująca w jej pałacu w czasie związku miłosnego z Markiem Antoniuszem wskazuje, w jak wielkim stopniu Kleopatra zaakceptowała jego powszechnie znane upodobania do obscenicznych żartów i seksualnie podniecających rozmów. Aby go zabiwić, a przez to przychylnie do siebie usposobić, utrzymywała na swoim dworze artystę, który wykonywał obsceniczne tańce. Kleopatra i Marek Antoniusz przed bramami Aleksandrii założyli klub nazwany „wyborowii”, w którym goście brali udział w budzących zgorszenie scenach teatralnych. Jeden z rzymskich gości na przykład odgrywał rolę boga morza i mając całe nagie ciało pomalowane na niebiesko, tańczył na kolanach przed Kleopatą i Markiem Antoniuszem. Orgie te były powodem rozlicznych historii skandalicznych opowiadań o życiu seksualnym Kleopatry. W oczach swoich wrogów była ona ladażnicą. (...)

Niektórzy autorzy uważają, że Kleopatra była jedną z najsłynniejszych kochanek świata starożytnego, ponieważ niezwykle umiejętnie postugiwała się techniką fellatio, co miało wzbudzać niezwykle rokosze u mężczyzny i przywiązywać ich do niej. Fellatio jest odmianą kontaktu oralno-genitalnego, w którym kobieta ssie członka wprowadzonego do jej ust. Według pogłosek miała ona uprawiać fellatio z upodobaniem i całkowicie bez wyboru. Grecy nazwali ją meriochaną, co miało oznaczać, że „otwiera się dla dziesięciu tysięcy mężczyzn”. Mówiono też o niej, że w ciągu jednej nocy potrafiła uprawiać fellatio z całą setką Rzymian.

Gdy walka o władzę w Oktawianem, kuzynem Cezara, zmusiła Marka Antoniusza do powrotu do Rzymu, Kleopatra w tym czasie urodziła dwojaczki. Kilka lat później Marek Antoniusz opuścił swą żonę Oktawię — siostrę Oktawiana — i powrócił do Kleopatry. Zerwanie z Oktawianem doprowadziło do dwuletniej wojny, w której wojska Marka Antoniusza i Kleopatry poniosły klęskę pod Akcjum. Wojska Oktawiana wkroczyły do Egiptu. Kleopatra schroniła się w swoim mauzoleum, gdzie zamknęła się z trzema służącymi. Marek Antoniusz otrzymał wiadomość, że popełniła samobójstwo. Z rozpaczy przebił się mieczem. Śmiertelnie ranny dowiedział się, że Kleopatra żyje. Nakazał wówczas zaniesienie go do mauzoleum, gdzie zmarł w jej ramionach. Wkrótce potem Kleopatra została wzięta do niewoli przez Oktawiana, wobec którego po raz pierwszy zawiodła jej sztuka uwodzenia. Popełniła samobójstwo, gdy dowiedziała się, że w czasie powrotu Oktawiana do Rzymu, w jego pochodzie triumfalnym będzie pokazywana na ulicy jako leniec.

(Książka Kazimierza Imielińskiego „Intymne niedyskrecje” ukazuje się niebawem nakładem wydawnictwa „Res Polona”).

Jedno danie Anny-Marii

## Placz nad jajem

— Mamo! — wrzasnął nagle mój syn, dotąd pochylony w gorliwym skupieniu nad podręcznikiem do „polaka” — Mami! W maju jak w maju!

Właśnie biedziłam się nad rozplanowaniem domowego budżetu na nowy miesiąc. Z moich obliczeń bynajmniej nie wynikało, że w maju będzie jak w maju.

— Cóż to za bzdury? — zdenerwowałam się. — Zadne bzdury! — obruszył się mój syn — To przystawie! A przystawie są mądrością narodu, tak nam mówili nasi panie od „polaka”. I kazała wyszukać w księżce wszystkie przysłowia, dotyczące miesiąca. Na przykład: „kwiecień, plecień, bo przepłata, trochę zimy, trochę lata”. Może się nie zgadza? W tym roku przepłata, raz było gorąco, a raz zimno, i nawet śnieg poproszył. A teraz — w maju jak w maju! Też się zgadza: wyjrzyj przez okno.

Za oknem może i się zgadza: młoda zielen, motylki, muszki, jemoluski, bzy „młotowe krzyżki”, no i zaraz słówki w tych bzach rozpoczyna klaskające serenady miłosne. Raj, fakt. Z moich rachunków w żaden sposób jednak nie wychodzi, żeby majowy budżet mojej rodzinie zapewnił raj obfitości. Nawet jeśli skreślić obfitość jako biblijną utopię, śpiąc majowe świadczono, to wątpię, czy w ostatnim tygodniu maja starczy mi na mortadellę do kanapki.

Szczególny rodzaj twórczości. Zamiast spisywać pamiętniki, bo czas nad wyraz ciekawy, prowadzę zeszyt, w którym codziennie zapisuję każdy wydatek. Kilogram chleba — dwa tysiące trzysta. Paczka masła — tysiąc osiemset pięćdziesiąt. Litr mleka — sześćset. Dwa kilogramy ziemniaków — osiemset. Główna sałata — pięćset. I tak dalej, i tak dalej. Potem — sumująca kreska. No i wniosek. Jak wniosek? Po kolejnej podwyżce „niektórych, wybranych wyrobów tytoniowych” pani, kupująca przedemną w kiosku paczkę popularnych odeszła, pokrzykując: — Nie palić! Nie pić! Nie jeść! Nie oddychać!

Nie jeść, nie oddychać, to zbyt wielka przesada. Można by wszak poczynić oszczędności na środkach higienicznych. W moim budżecie miesięcznym kwota przeznaczona na mydła, pastę do zębów, szampon do włosów, papier toaletowy do... wiadomo, do czego — jest kwotą wyskokoczerocynową. No właśnie: po co komu taki luksus jak papier toaletowy? Stał się on zresztą tak ogólnie dostępny w każdej papirni, że wnosić należy, iż wiele gospodyń robi na nim oszczędności.

W dawnych czasach, które tak pięknie szlepczą wytwornymi manierami i wytwornymi toaletami z filmowych kadrow, papier toaletowy w ogóle nie był znany. Ech, co tam papier! „Niejedną ze spółrodaczek moich, szal turecki kupić sobie pozwoliła, a mąż jej przed jej sto butelek szampa napisał, jak by mieli sprawić do domu wannę miedzianą” — wyszydzała z powodu braku zamiłowania do „higieny” swoje szlachetnie urodzone „spółrodaczki” szlachetnie urodzona J. Pani Karolina Nakwaska, namawiając je, żeby się kapały koniecznie raz na dwa tygodnie, a przynajmniej raz w miesiącu.

Hm, taka kąpiel raz w miesiącu, toż to dopiero prawdziwe święto w domu. Ongiś odbywało się ono tak: najpierw dobrze ogrzewano pomieszczenie do kąpeli potem wodę i ręczniki. Kamerdyner asystował kąpeli JWPana, drapiąc mu plecy; garderobiana JWPani podając jej mydło, gąbkę. JWPani po kąpeli czuła się wielce znużoną, mus jej było wyciągnąć się na sofie i odpoczywać.

Powracając zaś do problemu papieru do... (wiadomo, do czego), to JWPani Karolina Nakwaska zajmowała się najpierw przybytkiem, w którym tenże stosować należało. „U nas łatwiej zobaczyć srebrne lub przynajmniej porcelanowe naczynie nocne niż wygodne krzesło, gdzie być i rozwołnienia się nie bala”. Więc gdy już to „wygodne krzesło” się znalazło, to: „Nie zapomnij o dużym worku pełnym papieru. Spodziewam się jednak, że do tych wkładać nie będziesz listów od przyjaciół ani żadnych innych. Jest to nie tylko niebezpieczna niedorzeczność, ale nawet i pewne uchylenie piszącemu do ciebie”.

No więc, kochane współczesne „spółrodaczki” — precz z papierem toaletowym, work, gazety i dobre żaty, już oszczędność. Jeżeli o mnie chodzi, poczekam z takim usprawieniem domowego budżetu do kolejnych podwyżek (mamy je jak w banku), na razie i ten papier toaletowy do... i mydła, i pasta do zębów w normalnej ilości. Nie mam sofy w domu, na której mogłabym odpoczywać, że nie wspomnę już o takim małym do sofy dodatku jak garderobiana.

To zapisuję kolejne pozycje: mydło po cztery tysiące pięćset... myśląc, że ten mój zeszyt za sto lat może się stanie „materialem zabytkiem przeszłości”. Kto wie? kto wie? Nic nie jest niemożliwe, jeśli się więc tak zdarzy, że kiedyś pochyla się nad nim uczone głowy historyków kultury materialnej, to z całą pewnością zadziwią się nad zupełnie niewytłumaczalnym cudem gospodarczym epoki pana Leszka Balcerowicza, w której przyszło być niejakiemu Annie-Marii, kobiecie, matce, mającej na utrzymaniu dwoje dzieci: córkę — studentkę (na szczęście córka już pisze pracę magisterską) i syna, ucznia szkoły podstawowej jeszcze, niestety.

Osobiście uważam, że uczestniczyć w cudzie. Od kiedy pan Leszek Balcerowicz systematycznie, miesiąc w miesiąc, wprowadza swój plan uzdrawiania gospodarki narodowej, ja systematycznie, miesiąc w miesiąc, (i co tu się oszukiwać: bezsensownie) rozliczam swój rodzinny budżet. Nie wiem, jak w piątym (co według przysłowia ma być rajem) miesiącu uzdrawiania ma się ona, ta gospodarka narodowa, wiem natomiast z pełną, przeraźliwie matematyczną jasnością, jak w piątym miesiącu planu pana Leszka Balcerowicza ma się moja, rodzinna gospodarka. Ogólnie mówiąc: jest w ruinie. Dlatego nie dziwię się ziom panu J., żony bezrobotnego dziennikarza, jakie przelała nad je dym smarnowianym jajem. Kobiety płaczą często i nadaremnie, płacz panu J. nad jajem nie zmieni ani ceny tegoż jaja, ani nie powstrzyma planu pana Leszka Balcerowicza.

Lecz panu J. ma przynajmniej własne mieszkanie. Moja znajoma z sąsiedniego bloku ma, co prawda, dopiero dwadzieścia pięć lat (całe życie przed sobą!), ma miłego, troskliwego męża (sto lat szczęścia młodej parze na nowej drodze życia), a także niedużo będzie miała dziecko (coż piękniejszego może być w życiu kobiety od macierzyństwa?) — ale nie ma mieszkania. Wynajmują wraz z mężem pokój 3 na 3,5 m kw. z używalnością kuchni. U jej rodziców mieszkać nie mogą; za szafa, która dzieli pokój w starym budownictwie aż na dwie przestrzenie życiowe, pozostawia młodszą siostrę wraz z bratem. U jego rodziców też nie, chociaż tam — pozornie — warunki superluksus: blokowe M-3, z tym, że jedno „em” zajęte przez rodziców męża, a drugie przez starszą siostrę z mężem i dwójgim dziećmi. O, i tak. Zeby dopełnić jeszcze obrazu tego młodego małżeństwa, muszę dodać, że on jest po historii, i pierwszy rok pracuje w szkole, a ona po filologii polskiej, i nie pracuje, bo ta ciąża.

Parę dni temu przybiega do mnie, spuchnięta od płaczu, roztrzęsiona. Na swoim ciężarnym, szczęśliwym macierzyństwem brzuchu dźwiga duży garnek.

— Anno-Mario, niech mi pani pomoże! Cztery godziny temu zarobiłam ciasto na kluski na parze, miałam mieć obiad na dwa dni, dziś kluski z parą, jutro odsmażane, a ciasto mi ani drgnie, nie „rosnie”. Anno-Mario: aż trzy jajka, drożdże, szklanka mleka, prawie kilogram mąki... przecież nie mogę tego wyrzucić!

I płacz. Ach, niech chociaż jej łyż, tej młodej kobiety, która powinna być szczęśliwa i cieszyć się nie tylko majem, nie będą nadaremne. W przypadku ciasta, co nie chce „rosnąć” — tylko, niestety.

— Więc tak: na patelnii trzeba rzucić tłuszcz, najlepiej olej, i z tego kłajstrowatego ciasta — zamiast klusek na parze — smażyć placuszki. Potem je posypać cukrem, lub posmarować dżemem, i jeść przez dwa dni na śniadanie, obiad i kolację.

ANNA-MARIA



Masz temat dla reportera?  
Coś cię drażni, niepokoi,  
szlag cię trafia, podnieś  
słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Poglądy opinie i fakty przedstawiamy w relacji z reporter-  
skiego dyżuru wyłącznie na odpowiedzialność Czytelników,  
którzy przekazali je nam telefonicznie. Rubryka ta funkcyj-  
nuje na zasadzie wzajemnego zaufania. Daje ona naszym Czy-  
telnikom możliwość przekazania opinii publicznej spraw które  
utrudniają im życie.

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

17 maja — DARIUSZ DOROŻYŃSKI — godzina  
10—15.

TELEFON 36-77-70 CZEKA NADAL NA CIEBIE.

SPRAWOZDANIE Z DYŻURU REPORTERSKIE-  
GO Z 10.05.1990 R.

Pani Zofia Kowalczyk zwró-  
ciła nam uwagę na niedokład-  
ności i błędy w programie te-  
lewizyjnym. Niestety! Pani Zo-  
fia Kowalczyk ma całkowitą  
rację. Sprawdziłszy, program  
jest niedokładny, niepełny.  
Przepraszamy! Postaramy się  
usunąć wszelkie braki, które  
wynikają z naszej winy. Tu  
musimy jednak wyjaśnić, że  
otrzymujemy ten program dość  
wcześnie, a poprawki telewizja  
podaje już po ukazaniu się nu-  
meru „Odgłosów”. Część błę-  
dów można jednak usunąć i  
będziemy to robić. Rację ma  
też pani Zofia Kowalczyk, kie-  
dy zarzuca nam, że program  
reklamowany jest jako program  
od środy do środy, a rzeczy-  
wiście jest to program od śro-  
dy do wtorku. Poprawimy i to.

Pan E. K. (nazwisko i adres  
do wiadomości redakcji) poskar-  
żył się, że biuro paszportowe  
przy ul. Wróblewskiego nie  
posiadało w dniu mego dyżuru  
kwestionariuszy paszporto-  
wych i wysłało petentów do  
biura paszportowego na al. T.  
Kościuszki. Ponieważ w tie  
rozmowy telefonicznej z panem  
E. K. słyhać było drugą roz-  
mowę, co fatalnie świadczy o  
jakości naszej telekomunikacji,  
nie mogłam spytać o związane  
z tą informacją inne sprawy.  
Mimo wszystko sytuacja taka  
nie powinna się powtarzać. To  
nie petenci biura paszportowe-  
go powinni chodzić po kwestio-  
nariusze, a personel postarać  
się, aby je dostarczyć petentom.

Pani Małgorzata Modlińska,

która mieszka przy ul. Wier-  
zbowej 33 m 17, ma od roku  
decyzję na lokal pod tym sa-  
mym adresem, tylko nr 9, ale  
UD Śródmieście nie potrafi  
wykwaterować lokatorów tego  
lokalu. Pani Małgorzata Mo-  
dlińska niby ma nowe, więk-  
sze mieszkanie, ale tylko na  
papierze. Prosimy UD Śród-  
mieście o poinformowanie nas,  
jak zamierza tę sprawę roz-  
wiązać.

Pani Z. P. (nazwisko i adres  
w posiadaniu redakcji) od 3  
lat czeka na wymianę okna.  
ROM wyjaśnia, że trzeba cze-  
kać, bo prezydent m. Łodzi  
cofnął dotację. Pani Z. P. prze-  
czytała w „Dzienniku Łódz-  
kim”, że prezydent m. Łodzi  
przeznaczył na bezpłatnie psy  
100 000 000 złotych. Pani Z. P.  
nie ma nic przeciwko psom.  
Ale pyta przy tej okazji, a gdzie  
jest troska o ludzi? Jej zda-  
niem dla ludzi robi się w Ło-  
dzi bardzo mało.

Pani Stanisława Wilezkowa  
wyraziła swój sprzeciw  
wobec stanu sanitarnego mia-  
sta. Jej zdaniem można było  
by sobie z tym poradzić, gdy-  
by postępowano zdecydowanie  
wobec tych, którzy śmieją. Na  
przykład w USA śmiejących  
karze się wysokimi mandata-  
mi. Dlaczego u nas tego się  
nie robi? Niepokoją też pania  
Stanisławę Wilezkową ceny  
lekarstw, które w stosunku do  
zarobków stają się niewspół-  
miernie wysokie. Dotyczy to  
szczególnie lekarstw importo-  
wanych. Sprowadzają je z za-

granicz nie tylko wyspe-  
jalizowane firmy, ale kto  
może, dyktuje wysokie ce-  
ny. Zdaniem pani Stanisławy  
Wilezkowej jest to praktyka  
bardzo niebezpieczna.

Pani Stanisława Wilezkowa  
pewną część życia spędziła na  
Syberii, ale nie może przeżyć  
obojętnie wobec tego, co się u  
nas dzieje wokół tych spraw.  
Jej zdaniem jest to przesada,  
która doprowadzi tylko do  
przesytu i zniechęcenia ludzi  
„martyrologiczną tematyką”.  
Skutek będzie przeciwny do  
zamierzonego.

Pani Danuta Paduch upoważ-  
niona przez Komitet Rodziciel-  
ski Szkoły Podstawowej 147  
przy ul. Karola Bohdanowic-  
za 11 zwróciła uwagę na pew-  
ną niedorzeczność w polityce  
władz oświatowych. W szkole  
tej dzieci uczą się tylko do 4  
klasy. Na piętrze znajduje się  
Poradnia Wychowawczo-Za-  
wodowa. A mogłyby być tam  
klasy, do ósmej włącznie, bo  
takie było pierwotnie przeznac-  
zenie budynku. Komitet Rod-  
zicielski znalazł zastępcze po-  
mieszczenia dla Poradni Wychowawczo-Zawodowej, ale kie-  
rownictwo poradni nie chce  
nawet słyszeć o zmianie loka-  
lu. Inicjatywę KR popiera  
ZNP, władze oświatowe dziel-  
nicy Górna, samorząd mieszk-  
niowy, organizacja nauczyciel-  
ska „Solidarność”. I nic. Kom-  
itet Rodzicielski ma nadzieję,  
że ujawnienie publiczne tej  
sprawy przyczyni się do roz-  
wiązania jej w interesie dzie-  
ci, co pedagogzy z Poradni po-  
winni zrozumieć bez trudu.  
Też tak uważam.

Pan Jerzy Libich zwrócił  
uwagę na to, że ceny produk-  
tów żywnościowych rosną szyb-  
ko, ale jakość ich pozostawia  
wiele do życzenia. Pan Jerzy  
Libich proponuje, abyśmy się  
zajęli bliżej pracą PIH. Zaj-  
miemy się.

Kilka osób zwracało się z  
prośbą o adresy uzdrowieli, o  
których pisał Jacek Indelak w  
„Odgłosach”. Autor prosi o  
zrozumienie faktu, że jego ce-  
lem nie była reklama poszcze-  
gólnych uzdrowieli, a podnie-  
sienie samego problemu „nie-  
konwencjonalnej medycyny”.  
Skoro adresów nie ujawniał,  
taka była wola jego rozmów-  
ców. Trudno tej woli nie u-  
szanować.

BOGDA MADEJ

## Józef Robakowski laureatem nagrody „Odgłosów”

Po raz piątą jury w składzie: Lucjusz Włod-  
kowski — przewodniczący, Marzena Mróz —  
sekretarz, członkowie: Andrzej Kempa — Pol-  
skie Stowarzyszenie Bibliotekarzy, Lech Lesz-  
czyński — Wydział Kultury i Sztuki UMŁ,  
Kazimierz Lewkowski — PW Szkoła Filmo-  
wa Telewizyjna i Teatralna, Krystyna Nor-  
dyńska — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe,  
Lucyna Skompska — Związek Literatów Pol-  
skich — przyznało doroczną nagrodę „Odgłosów”,  
za osiągnięcia w dziedzinie rozwoju kultury  
w 1989 roku **JÓZEFOWI ROBAKOW-  
SKIEMU** za pomysł i organizację wystawy  
„Lochy Manhattanu”.

Uroczyste wręczenie nagrody odbędzie się 23  
maja 1990 roku w lokalu redakcji „Odgłosów”.  
Wszystkich zainteresowanych powiadomimy od-  
dzielnie.

Ponieważ Łódzkie Wydawnictwo Prasowe  
jako oddział RSW „Prasa-Książka-Ruch”, któ-  
re było fundatorem nagrody, ulega likwidacji,  
jury upoważniło przewodniczącego do wystą-  
pienia do nowej redakcji „Odgłosów”, jaka po-  
wstanie w miejsce dotychczasowej, z wnios-  
kiem o znalezienie nowego fundatora nagrody  
„Odgłosów” za rozwój kultury. Z te-  
go też powodu nie ogłaszamy nowego regulaminu  
nagrody. Jury wyraża nadzieję, że problem ten z  
pożytkiem dla kultury w Łodzi zostanie roz-  
wiązany przez nowych wydawców tygodnika  
„Odgłosy”.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

ZENON JANUSZ MICHAŁSKI

## Polskie partie polityczne

(Ministrowilk)

**Konfederacja Polski Niepodległej**  
Chyba zagubieni w bliskości meandrach  
Kraju ku Europie, oni w Oleandrach...

**Polska Partia Dobrobytu**  
Używają pozdrowienia partyjnego:  
zdrowia, szczęścia i wszystkiego najlepszego!

**Polska Partia Polityczna**  
Znaczący sam, co jakże znane  
i przysłowiowe — masło maślane

**Polska Partia Socjalistyczna**  
Swoją rodowód i sojusze utrwała  
nawiązując do Marszałka i Kaprała.

**Polskie Stronnictwo Ludowe —  
Odrodzenie**  
Ludowe dziś stronnictwo kurs swój całkiem  
zmienia  
Było więc za zniesieniem Święta Odrodzenia  
Niech będzie, ale we mnie myśl przekorna  
drzemie  
A może, konsekwentnie, oddać szlachcie  
ziemię?

**Socjaldemokracja Rzeczypospolitej  
Polskiej**  
Czerpie z dorobku PZPR-u  
Czy można przydać wartości zeru?

**Stronnictwo Narodowe**  
Niemili owej partii prawicy:  
Zydzi, komuna i pilsudczycy.

**Stronnictwo Pracy**  
Praca nas może zbawić, aliści  
Stronnictwo Pracy jest, a gdzie Wyścig?

**Unia Polityki Realnej**  
Głoszą, choć jeszcze z dala od łobu:  
Baby do garów, dziady do grobu!

**Unia Socjaldemokratyczna**  
Obraz sielski i anielski,  
że go w głowie wprost nie mieszczą  
Bardzo liczny Klub Poselski  
no i kilku członków jeszcze!

masonerii”, „miał żonę Żydówkę”, „wymordo-  
wał najlepszych polskich generałów i wyłącznie  
masonami obsadził najwyższe stanowiska pań-  
stwowe”. Nie więc dziwnego, że upadła II  
Rzeczpospolita, skoro lewica władzy raz zdoby-  
tej w 1928 roku do tej pory nie oddała, a  
„obecna ekipa lewicowa składa się ze stalnow-  
ców i trockistów pozorujących się na katoli-  
ków i prawicę”. Niestety rząd obecny, utwo-  
rzony po „antynarodowych” wyborach w 1989  
roku jest „żydomasoński, antynarodowy, anty-  
polski i skrycie antykatolicki”. Nie dodać, nie  
ująć.

Inż. Jerzy Korfanty rozprawia się zdecydo-  
wanie ze świętami i „żydomasońskimi rocznica-  
mi”, takimi jak: 1 Maja, 8 Marca (obchodzony  
na pozór pod pretekstem Dnia Kobiet) i 3  
Maja. Autor zaznacza, że Konstytucja 3  
Maja sama w sobie nie była złą, ale została  
wprowadzona w okresie dla Polski niedogod-  
nym, co spowodowało rozbiory, a o to przecież  
chodziło żydomasonerii. Dowiadujemy się tak-  
że, że pogańskim i masonskim świętem jest  
Święto Kolejarza.

I tak można byłoby jeszcze długo cytować.  
Ale po co? Wszystko już wiadomo. Wokół  
Zydzi, zaprzańcy, komuna, zdrada, masoni, za-  
graniczny kapitał, który rozdrapuje nam Pol-  
skę. Jedyna nadzieja — to odrodzenie się pra-  
wicy, która odbuduje Polskę, przepędzi z niej  
Zydów i wszelkich ich pacholików.

LESZEK KRASKOWSKI

Rozmyślania pani woźnej.

## Prośba o przyjaźń

1. Przed laty gościłam w swoim domu znanego  
pisarza litewskiego (jest i w naszej Encyklo-  
pedii Powszechnej), Vytautasa Sirijos-Girę  
wraz z uroczą małżonką, panią Alną, Poeta,  
prozaik, tłumaczony na szereg języków, w  
tym także i na polski; zasłużył się i dla pol-  
skiej kultury, przyswajając w języku litewskim  
m.in. „Grażynę” Adama Mickiewicza. Wielki  
erudyta, humanista, ze znanej, zasłużonej kul-  
turze, litewskiej rodziny. Jedną z wileńskich  
ulic nosi imię jego ojca, Ludasa Giry, wybit-  
nego poety i dramaturga.

Kontakt z panem Vytautąsem — czyli po pro-  
stu panem Witoldem — utrzymywałam przez  
szereg lat następnych, wymienialiśmy listy i  
sialiśmy sobie swoje książki. „Serdecznej Pani  
Ewie Ostrowskiej — od literackiego przyjaciela”  
zadeedykował mi jedną z nich, piękną po-  
wiesć „Buenos Aires”.

2. „Literacki przyjaciel”. Zawsze myślałam, że  
nie tylko „literacki”. Przerozmawialiśmy  
wspólnie w moim domu wiele długich godzin;  
łączyły nas i owe literackie upodobania, i hu-  
manistyczne rozumienie świata — i łączyło nas  
w tych rozmowach jeszcze coś innego, ser-  
decznego, uniwersalnego — ziemia wspólna na-  
szym dziadom i ojcom. Oboję z niej się wy-  
wodzi. Chociaż ja legitymuję się narodowo-  
ścią polską, pan Sirijos-Gira — litewską. Coż  
za splećnię losów! No cóż, te losy — ponad  
nami i bez naszego udziału — spletała na  
przestrzeni wieków ze sobą historia, nie za-  
wsze sprawiedliwa dla nich, ani łaskawa.

3. Jeżeli ziemia, na której się urodziło i wychowa-  
ło, wspólna, to i korzenie musiały się w niej  
na wielu miejscach poplątać, pozarastać, cze-  
sto nawet i pień się zdarzy jeden, wspólny.  
Myślę, że gdyby tak poszukać w moich rodo-  
wodach, tych po kądzieli, i tych po mieczu, to  
znalazłoby się i litewskich antenatów. Podob-  
no mój pradziad z linii po kądzieli nosił imię  
Vytautas. Ale już jego syn, a mój dziadek był  
polskim Witoldem. Żona pana Sirijos-Giry pa-  
ni Alna, nie mówiąc słowa po polsku, wspo-  
minala swoją babkę ze strony matki, która po-  
stugiwała się z równą swobodą litewskim jak  
i polskim, pacierze jednak zawsze odmawiała  
po polsku. Tradycyjną potrawą, jaką podaje  
się w moim domu rodzinnym od pokoleń nad-  
czas wigilijnej wieczery są sliżyki. Nie każdy,  
kto z wileńszczyzny, kowieńszczyzny, nowo-  
gródzkiej nie sliżyki zna, choćby o nich sły-  
szał. Jak o napoleonie, który nie jest marką  
francuskiego koniaku, lecz tradycyjnym cias-  
tem stamtąd. A u pani Almy i sliżyki, i napo-  
leon...

4. Można by tych korzeni szukać w nie tak  
blahych i mało znaczących (pozwornie) szcze-  
gółach z dziedziny kultury materialnej. Można  
by dążyć głębiej i odnaleźć bez większego  
trudu znacznie więcej przykładów jak litew-  
skie imię mego pradziada, czy polskie pacierze  
babki pani Almy. Ale nam wówczas, przed  
laty, sliżyki, napoleon, polskie pacierze, litew-  
skie imię wystarczyły, żeby poczuć się zwi-  
zanymi czymś głębszym niż literackie więzy.

5. Czwartego maja słuhałam w popołudniowej  
„trójce” wywiadów z uczestnikami polskiej  
pielgrzymki do Ostrej Bramy w Wilnie. Nie  
zostali oni w stolicy Litwy przywitani kwia-  
tami. Na każdym kroku, począwszy od hotelu,  
gdzie mieli zakwaterowanie, spotykali się z  
jawną wrogością. Rozmowy w języku polskim  
na ulicach Wilna wywoływały ubliżające epi-  
ty. Polak, gość z zagranicy, wzbudzał w Lit-  
winie agresję. A Polak-tubylec, Polak: „mniej-  
szość narodowa”? Jak on ma się teraz na Lit-  
wie? Czyżby historia rozpoczęła swój rozdział  
następny, otwierając kolejną listę krzywd? —  
wzajemnych zresztą, bo szowinizm wzbudza szo-  
winizm, a wrogość rodzi wrogość.

6. Ten sam polski język, który obecnie wywo-  
luje na Litwie aż taką niechęć, w latach szcze-  
dziętych był swoistą przepustką do kultury  
współczesnej Europy. Zwłaszcza młodzież lit-  
ewska uczyła się polskiego. Bo w Wilnie dzia-  
łała polska księgarnia, a w niej polskie prze-  
kłady z literatury amerykańskiej, włoskiej,  
francuskiej, skandynawskiej, niemieckiej. Wi-  
tryna polskiej księgarski jak okno na świat.  
Co z tym oknem teraz zrobić? Rozbić?

7. W 1967 roku miałam szczególną wizytę;  
przyjacieli mego wileńskiego domu, ksiądz Je-  
zuita, który tam został, przyjechał do Polski  
na trudny zabieg operacyjny. Dziwił mi się:  
„ksiądz wypuszczono?”. Powiadał, że dużo i  
na korzyść zmieniło się w stosunku do okresu  
lat pięćdziesiątych, kiedy kościoły na kłódkę,  
lekcie religii w konspirze, a odprowadzenie mszy  
za pozwoleniem władz i ostemplowana „buma-  
gą”. — I parafię dostałem, i mszę odprowadzam  
dwa razy dziennie, bez bumagi; kościoły po-  
otwierane, Łóżę teraz, luzniej.

8. 1990 rok dla Litwy to data przełomowa, o-  
głoszenie „Deklaracji Niepodległości”. Więc  
zupełnie nie potrafię zrozumieć, dlaczego w dą-  
żącej do wolności Litwie polska mniejszość ma  
być poniewierana za używanie ojczystego języ-  
ka, a kościoły znowu zamknięte? Sąd rozmy-  
ślałam dziś o panu Vytautasi Sirijos-Girze,  
jego żonie Almie, i owej — nie tylko, jak mi  
się dotąd zdawało — literackiej przyjaźni. Je-  
żeli o mnie chodzi — wciąż pozostaje ta sa-  
ma: „serdeczna”. Chciałabym oczekiwać tego  
samego i z drugiej, litewskiej strony.

EWA OSTROWSKA

## NIEWYPAŁY W CENTRUM ŁODZI



Zdjęcie to zrobiliśmy w sobotę, 5 maja o godz. 10.00 na terenie Szpitala Akademii Medycznej  
przy ul. Czechosłowackiej. W piątek, 11 maja niewypały usnęto.

Foto: Grzegorz Galasiński

Punkty widzenia

## A kiedy prawica uczyni cud

Wpadła mi przypadkiem w ręce ulotka zaty-  
tułowana: „Co to jest lewica? Co to jest pra-  
wica?”, będąca niejako „vadecum polity-  
cznym” prawicy i jednocześnie absolutnym,  
wręcz niepowtarzalnym bestsellerem. Treści  
zawarte w owej ulotce powinny zrewolucjoni-  
zować polską naukę historyczną.

„LEWICA” — to siły przeważnie kosmopoli-  
tyczne, oscylujące wokół żydostwa i masonerii,  
oraz ich twórców, jakimi są: marksizm, trockizm,  
bolszewizm, socjalizm, socjaldemokracja, de-  
mokracja ludowa, współpracujące z Żydami i  
masonerią, popierające je i walczące o ich in-  
teresy przeciwko interesom własnego narodu”.  
Autor ulotki nie ma w tej kwestii żadnych  
wątpliwości i dodaje mimochodem, że lewica  
inspirowana jest przez satanistów. Znamy więc  
już cechy przeciwnika, teraz należałoby go  
zdemaskować. Następuje więc długa wylizana-  
ka partii i organizacji lewicowych. Listę ot-  
wiera Socjaldemokracja Rzeczypospolitej Pol-  
skiej, Unia Socjaldemokratyczna RP i PPS, a  
zamyka Liga Kobiet, Organizacją lewicowy-  
mi są jednak także: „Solidarność”, KPN, „Po-  
marańczowa Alternatywa”, Niezależny Zwią-  
zek Studentów, Narodowa Rada Kultury, Dusz-

pasterstwo Pilsudczyków, a nawet Unia Polity-  
ki Realnej pod wodzą Janusza Korwina-Mik-  
ke. Autor kryjący się za pseudonimem inż. Je-  
rzy Korfanty dodaje z żalem, że „charakter  
lewicowy noszą również, niestety, organizacje  
nazywające siebie konserwatywnymi i monar-  
chistycznymi”.

„Agenturami światowej żydomasonerii” są  
poza tym Polska Akademia Nauk, Studium  
Kultury Chrześcijańskiej, Uniwersytet War-  
szawski, Sejm, Senat, rząd Tadeusza Mazo-  
wieckiego oraz wszystkie redakcje i wydaw-  
nictwa. Po tym wywodzie następuje długa li-  
sta żydowskich redakcji — jest oczywiście  
„Trybuna Ludu”, „Polityka” i „Życie Warsza-  
wy”; ale obok nich również „Veto”, „Tygod-  
nik Powszechny”, „Gazeta Wyborcza”, „Ty-  
godnik Solidarność”, „Tygodnik Kulturalny”,  
„Kobieta i Życie”, „Przyjaciółka” oraz takie  
lewicujące pisma jak „Seks” i „Pan”.

Krótki kurs historii (ale w wielkim stylu)  
zaczyna się od Stanisława Poniatowskiego, któ-  
ry „przełajdaczył Polskę i więcej dbał o ma-  
sońskie obiady czwartkowe niż o interes Pol-  
ski”. Dalej dowiadujemy się, że Józef Pilsud-  
ski „nosi wśród matonów miano protektora



**Na kolumnie „Polemiki — listy — opinie” publikujemy tylko teksty podpisane imieniem i nazwiskiem z podaniem adresu. Wszelkie dane na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela. Przedstawione w listach fakty publikujemy na odpowiedzialność autorów.**

## TRUDNE SPRAWY ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ

Kombatanci II wojny światowej nie mieli dotąd prawa zrzeszenia się we własnych odrębnych organizacjach. Organizacją monopolistyczną był ZBOWID zrzeszający także inne grupy osób nie będących uczestnikami tej wojny, w tym także osób biorących udział po wojnie w utrwalaniu władzy ludowej. Wszyscy członkowie tej organizacji byli formalnie równi, tak jak równi byli wszyscy obywatele w PRL. Faktycznie jednak podział w tej organizacji był taki sam jak i w państwie. Nic więc dziwnego, że kiedy tylko powstała niedawno możliwość tworzenia samodzielnych i niezależnych stowarzyszeń i związków, powstały także organizacje zrzeszające byłych żołnierzy Armii Krajowej. Jako pierwszy powstał w Krakowie Związek Żołnierzy AK i jako drugi — Stowarzyszenie Żołnierzy AK w Warszawie. (...)

Aktu połączenia obu tych organizacji dokonano w dniach 14-15 marca 1990 r. w Warszawie. Nowa organizacja przyjęła nazwę Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej. Daje to jej możliwość łączenia licznych organizacji żołnierskich AK nie tylko w różnych krajach, ale także na różnych kontynentach. (...)

W trosce o kombatantów jest jeszcze dużo anomalii. Wiele z nich wydaje się być, przy dobrej woli decydentów, do pokonania. Np. kombatanci nie korzystają z wojskowej służby zdrowia, z wojskowych sanatoriów i wojskowych domów wczasowych. Łatwy dostęp mają tam b. żołnierze LWP, nie mają tego natomiast pozostali kombatanci. Niektóre grupy zasłużonych kombatantów mogą też korzystać z resortowej służby zdrowia, sanatoriów i domów wczasowych MSW. (...)

Poza udziałem kompanii honorowej WP w ceremonii składania wieńców przed Grobem Nieznanego Żołnierza brak było na Zjeździe widocznych dowodów związku między tą grupą kombatantów a Wojskiem Polskim. Widoczna sprawa nie dojrzała jeszcze do tego, by kierownictwo resortu obrony narodowej chciało szukać korzeni dla siły tego wojska. Ostatnie zmiany personalne w kierownictwie tego resortu dają nadzieję na przełamanie sztucznych barier oddzielających nas od naszych żołnierzy. (...)

Chcemy jeszcze wiele w życiu dokonać, ale tak naprawdę to sami już potrzebujemy opieki. Dobrze więc stało się, że została powołana Fundacja Pomocy na rzecz Żołnierzy Armii Krajowej, im. gen. bryg. Leopolda Okulickiego ps. „Niedźwiadek”. Celem tej Fundacji jest między innymi zapewnienie lepszej opieki lekarskiej, w razie potrzeby udzielanie pomocy materialnej im i najbliższej rodzinie, budowa szpitala — pomnika, opieka nad miejscami pamięci narodowej w kraju i za granicą i upowszechnienie wartości patriotycznych wynikających z tradycji i działalności AK. Fundacja rozpoczęła już swoją działalność w Warszawie. Należy mieć nadzieję, że jej oddziały powstaną we wszystkich okręgach kraju, w tym także w Łodzi. (...)

Łódzki Oddział Okręgowy SZŻAK z pomieszczeń gościnnych, za korzystanie z których czuje się zobowiązany dotychczasowym gospodarzom, powoli przesuwa się do stałych pomieszczeń przy ul. Gdańskiej nr 107. Szczególnie wśród starszych wiekiem kombatantów stale żywa jest myśl odzyskania dla wszystkich organizacji kombatantów i innych organizacji pokrewnych jak np. Związku Weteranów Politycznych Okresu Stalnowskiego czy Związku Sybiraków, korzystających wciąż ze szczyplych jak na swoje potrzeby gościnnych pomieszczeń — budynku przy ul. Traugutta nr 12. Budynek ten przed wojną wykorzystywany był w całości na potrzeby organizacji niepodległościowych. Wiadomo jednak już teraz, że niewątpliwą przeszkodą byłoby trudność z kosztami utrzymania tego budynku. Kto wie jednak, czy nad tą koncepcją nie warto by poważnie zastanowić się?

WITOLD LEWOC

## W ZDOŁBUNOWIE NA WOJNY

Nawiązując do art. „Szyby transporty na Wschód” („Odgłosy” nr 16), chciałbym podzielić się wspomnieniami z okresu okupacji sowieckiej w Zdobunowie na Wołyniu. W mieście, o którym wspomina Lucjusz Włodkowski. W Zdobunowie mieszkałem na ul. A. Mickiewicza 4a, przy kolei. Gdy wybuchła wojna, miałem 10 lat.

Już w kilka dni po zajęciu miasta przez Armię Czerwoną, rozpoczęły się aresztowania polskiej inteligencji. Ludzie ginęli bez śladu. Wśród aresztowanych znalazł się również instruktor ZHP, Józef Bak, wspaniały organizator i patriota. Podobny los spotkał Anatola Słowińskiego, komendanta „Sokola” oraz wielu innych działaczy społecznych i politycznych. Aresztowano także mojego ojca. Za wstawiennictwem milicjanta Medyńskiego, po trzech dniach został zwolniony. Przez miasto przejeżdżały dziesiątki transportów kolejowych i samochodowych, z tysiącami internowanych oficerów i żołnierzy polskich, których wywożono do obozu przejściowego w Szepietówce. Kolejarzom, dzięki perswazjom i wódec, udało się przekonać komendanta jednego z transportów o „krytycznym” pochodzeniu „jeńców” polskich, uspić czujność obstawy i nakłonić żołnierzy polskich do ucieczki.

Po deportacjach kadry administracyjnej w głąb Rosji, cała władza administracyjna znalazła się w rękach ludzi przysłanych z Rosji sowieckiej. Rozpoczęła się przymusowa sowietyzacja i rusyfikacja kresów wschodnich Polski. Zlikwidowano w mieście Gimnazjum i Liceum oraz szkoły powszechne, a w ich miejsce utworzono średnie szkoły typu sowieckiego. Część kadry nauczycielskiej deportowano. Przedstawiciele władzy sowieckiej, występując na wiecach, podkreślali w buńczucznych, pełnych pychy

słowach wkład Armii Czerwonej w likwidację „burżuazyjnego państwa polskiego”. Ujawnili się agenci NKWD.

Ja, dziesięcioletni szczeniak, postanowiłem walczyć. Pierwszą edwetową akcją podjąłem na akademii szkolnej z okazji 23 rocznicy Rewolucji Październikowej, zorganizowanej w naszej Szkole nr 2. Gdy po skończonym przemówieniu nowego dyrektora szkoły Kapłana, nauczycielka skinęła ręką, by rozpocząć odśpiewanie „Internacjonali” i już w pierwszych rzędach zaczęło nieśmiało intonować hymn sowiecki, podlegani przeze mnie od dłuższego czasu koleżdy, wspólnie ze mną, zaczęli śpiewać „Jeszcze Polska nie zginęła”. Wybuchła konsternacja. Na sali zrobiło się zamieszanie. Nauczyciele osiupieli. Wzburzony dyrektor, purpurowy jak rak wyjęty z wrzasku, wrzasnął w naszą stronę: *Polscy nie, i nie budźcie!* — Ogólny wrzask z naszych szeregów zagłuszył jego słowa. Przeprowadzone śledztwo zakończyło się fiaskiem.

Ta moja pierwsza udana akcja zdopinguwała mnie do rozprawienia się z tymi, co osmieliли się wstąpić do pionierskiej organizacji, zakładając na szyję czerwone chusty. Wyszłyśmy ich, a po lekcjach wymierzali im chłosty. Nasze akcje przyniosły pozytywne rezultaty.

1 Maja 1940 r. przebywając na stadionie sportowym, gdzie przeważnie odbywały się uroczystości państwowe, w czasie odgrywania hymnu państwowego, celowo nie zdjąłem z głowy szkolnej czapki. Stojący vis-a-vis mnie milicjant, wypreżony w postawie na baczność, z ręką przy daszku czapki, kilkakrotnie zmierzył mnie wściekłym spojrzeniem, upominając półszepetem, przez zacielnięte zęby: — *Snimi szapka! Ja tiebie gatwariu, snimi szapka i usta!*, *sukcysni!* Ponieważ nie zareagowałem na jego upomnienia, uśmiechając się tylko szyderczo, rzuciłem się później za mną wokół stadionu ku uciesze tłumu. Przepędzając mnie wreszcie na ulicę, Podobne incydenty powtarzały się jeszcze niejednokrotnie na innych uroczystościach.

Czytaliśmy polskie książki historyczne oraz zrywałyśmy potajemnie w szkole i na ulicy sowieckie afisze propagandowe.

Wiedziałem jak komisarz w ostatnim tygodniu czerwca 1941 r. dobił na noszach, strzałem z pistoletu, rannego żołnierza sowieckiego, jak brutalnie reagowali komendanci i konwojenci podciągając z deportowanymi, na rozpacziwe próby ludzi o kroplę wody czy usunięcie zmarych. Nigdy nie zapomnę jak odpędzano mnie od podługów z ewakuowanymi rodakami i tych nocy, gdy śledząc dosłownie na walizkach, z trwogą oczekiwaliśmy na łomot kołb w drzwi mieszkanca.

Na przygotowanej już liście deportowanych, zaplanowanej na 26 czerwca 1941 roku, a znalezionej w siedzibie NKWD w Zdobunowie, figurowały też nasze nazwiska i moje wojsko, prof. gimnazjum Piotra Głowatyńskiego wraz z rodziną. Na nasze szczęście nie zdążyli. Najwierniejsi ich sojusznicy, przepędzili ich z Krasów.

JANUSZ GOSIEWSKI

## INFORMACJA NA PRZYSTANKACH MPK

W odpowiedzi na notatkę zamieszczoną w rubryce „Zaniepokojenie i propozycje” — „Odgłosy” nr 10 z 11 marca br. uprzejmie wyjaśniamy:

— na temat treści i formy informacji na przystankach komunikacji miejskiej od szeregu lat toczą się dyskusje i wypróbowany został stosunkowo szeroki wachlarz rozwiązań. W 1985 r. pod ocenę społeczną przedstawione zostały dwa warianty rozwiązań:

wariant 1 — zawierał następujące informacje: wykaz wszystkich ulic i wszystkich przystanków w kolejności ich występowania na trasie danej linii, pierwszy i ostatni odjazd z przystanku oraz częstotliwość kursowania pojazdów. Wariant ten był wówczas stosowany, lecz spotkał się z krytyką za małą czytelność; wariant 2 — zawierał następujące informacje: kolejno podany wykaz ulic, po których przebiega trasa danej linii, pierwszy i ostatni odjazd pojazdu danej linii z przystanku oraz częstotliwość kursowania, a na przystankach krańcowych pełny wypis z rozkładu jazdy dla wszystkich ekspedytowanych linii. Informacja w tym wariancie była drukowana dużo większą czcionką, dzięki temu była bardziej czytelna.

W obu wariantach informacja była na folii samoprzylepnej. Na sesji Rady Narodowej Miasta Łodzi większość radnych przychyliła się do wariantu drugiego i taki rodzaj informacji jest stosowany do chwili obecnej. W stosunku do krótkim czasie pojawiły się żądania (między innymi radnych) wprowadzenia pełnego wypisu z rozkładu jazdy, także na przystankach pośrednich. Wobec tego wprowadziliśmy trzeci wariant informacji przystankowej który zawierał: przebieg trasy linii w jednym wierszu oraz pełny wypis rozkładu jazdy dla każdego przystanku. Wprowadziliśmy ten wariant dla linii kursującej z częstotliwością co 15 minut lub rzadziej (zgodnie z normą branżową Instytutu Gospodarki Przemysłowej i Komunalnej). Jest ona wykonywana techniką wydruku komputerowego, dlatego też jest to informacja indywidualna dla każdego przystanku, a przystanków tych występuje ponad 12 tysięcy. W efekcie okazało się, że informacja merytorycznie bogata, ulega szybkiemu zniszczeniu przez warunki atmosferyczne i wandalii. Ze względu na możliwości techniczne i finansowe wymieniamy ją raz do roku. W tej sytuacji nosimy się z zamiarem odstąpienia od powszechnego jej stosowania, będziemy ją stosować tylko na liniach podmiejskich i nocnych. Natomiast na pozostałych liniach stosować będziemy informacje według wariantu 2, z pełnym wypisem z rozkładu jazdy na ekspedytowanych przystankach krańcowych.

mgr inż. LUCJAN STRAWA

## TAKSÓWKARZE TO WIDZĄ INACZEJ

Jesteśmy taksówkarzami. Marzy nam się by zawód-taksówkarz był szanowanym zawodem. Jeśli nie będzie tak, to winnym takiego stanu rzeczy powinni być wyłącznie taksówkarze. Jesteśmy gorącymi czynnymi zwolennikami integracji środowiska taksówkarzy nie na drodze beznamiętnego tłumaczenia zachowań i postaw nagannych niektórych taksówkarzy ale poprzez domaganie się od swoich kolegów wysokiej jakości świadczonych usług, które powinna cechować szlachetność, uprzejmość i kultura. doprowadzić do takiego stanu, by taksówkarzy wzajemnie charakteryzowała przyjaźń i koleżeństwo. W związku z powyższym wierzymy, że praca taksówkarza będzie traktowana przez społeczność miejską ze zrozumieniem i poszanowaniem. Dla niej samej natomiast bezstresowe i z poczuciem pełnego bezpieczeństwa.

Ale w Łodzi nie będzie to możliwe tak długo, jak długo rodzimemu wirtuozowi pióra (np. red. Beck na łamach „Dziennika Łódzkiego”, red. Jędras z Polskiego Radia na łamach „Tygodnika Solidarności Ziemi Łódzkiej”, czy red. Perczak w Magazynie Auto-Moto na łamach „Dziennika Łódzkiego”) uważający się kompetentnym w temacie będzie miało dostęp do środków masowego przekazu. Jesteśmy przeciwni przekazywaniu społeczeństwu ploteczek wysłuchanych na „herbatce u cioci”.

Pisanie tonem mentora pt. „Chcełbyś, a boją się” z powoływaniem się na tysiące tak samo myślących taksówkarzy kryjących się za jednym telefonującym do dziennikarza taksówkarzem jest jawnym jactrem, próbą rozbitcia środowiska i dezinformacji społeczeństwa.

Pisanie pod pseudonimem patriotyzmu lokalnego i przekazywanie wirtuozów kłamstw, wciągając tytułem: „Co złości dziennikarzy” podpisanie się pod tym tekstem wszystkich swoich kolegów jest manipulacją w celu uwiarygodnienia wymyślonego tekstu jak również rozłożenia odpowiedzialności.

Umieszczenie w Magazynie Auto-Moto anonimowego tekstu o pojedynczym wydarzeniu i rozwijanie go na krytykę całego łódzkiego środowiska taksówkarskiego i zatyłowanie tego utworu „Taxi na cenzurowanym” jest tylko i wyłącznie poparciem swoich kolegów w opiewaniu upatrzonyj grupy zawodowej. Szanowni Panowie Redaktorzy, nie zapominajcie, że jest to środowisko, które w niedleglej przeszłości było azylem dla waszych kolegów, a których dzisiaj wszyscy jesteśmy dumni (np. w Łodzi red. Marek Markiewicz, red. Marek Madej, w Warszawie red. Maciej Wierzyński).

Nie mamy zamiaru walczyć takimi samymi metodami z chcącymi w ten sposób zaistnieć na łamach gazet dziennikarzami. Wozimy różnych ludzi. Naszymi pasażerami są również dziennikarze. Ale ani nam, ani naszym kolegom nie wpadłoby do głowy, by spotkawszy się z zapitym, wyzywając się zachowującym, grubiańskim i chamowatym dziennikarzem napisać do prasy „co złości taksówkarzy” i postawić wszystkich dziennikarzy pod pretekstem zatyłowanym: „dziennikarze na cenzurowanym”. Zwracamy się do dziennikarzy mających w swojej legitymacji pierwszeństwo do prawdy i jej uwarunkowaniach, prawnych i ekonomicznych o kontakt w celu i raz na zawsze wyświetlenia prawdy i szerokiego poinformowania społeczeństwa.

**OD REDAKCJI.** Tym razem tekst taksówkarzy drukujemy w całości. Firmowany jest on przez Tymczasową Regionalną Komisję Organizacyjną NSZZ „Solidarność” Taksówkarzy Ziemi Łódzkiej. Rozumiemy trudne położenie taksówkarzy nie tylko w Łodzi. Trudne położenie mają zresztą nie tylko taksówkarze. Puseń inflacji rodzi recesję, a ta oznacza kurczenie się popytu. Są to zjawiska uciążliwe i w ich wyniku rośnie bezrobocie. Dotyka to tak dziennikarzy, jak i taksówkarzy, a także ludzi innych zawodów. Są to konsekwencje trudnego procesu przechodzenia od gospodarki planowanej i centralnie sterowanej do wolnorynkowej. Nikomu teraz nie jest łatwo. I wszyscy — wydawaloby się — o tym wiedzą.

Zniesiono cenzurę i mamy — jak to się ogólnie mówi — wolną prasę, a zatem istnieje swoboda wyrażania opinii na różne tematy, na temat pracy taksówkarzy również. Jeśli taksówkarze czują się obrażeni, jeśli ich osobiste dobra zostały naruszone i publikacje prasowe przeszkadzają im w wykonywaniu zawodu, to nie pozostaje im nic innego, jak tylko wnieść sprawę do sądu. Natomiast trudno się zgodzić z tonem i treścią publikowanego powyżej listu. Obrażanie dziennikarzy i powoływanie się na „kombatanckie” zasługi, które nie były zasługami taksówkarzy, niczego tu nie zmienia, ani niczego nie salwatują. Czasy, kiedy wszystkie gazety pisały to samo i kiedy pewne rejonowy życia publicznego były niedostępne dziennikarzom, do obowiązywały zakazy pisania na te tematy, wydają się mieć bezpowrotną. Skąd więc ta tęsknota do mijających czasów?

Powyższe stwierdzenia nie zwalniają nikogo z obowiązku rzetelnego zbierania materiału i bezstronnego prezentowania go w gazetach, pismach, w radio i telewizji. Pisanie prawdy jest podstawowym obowiązkiem dziennikarza, ale to nie odbiera mu prawa do wyrażania też swojej opinii na publiczne tematy. Kto uprawia działalność publiczną — taksówkarze taką działalność uprawiają — ten nie jest zwolniony od publicznej krytyki. I przysługują mu też prawo do publicznej obrony jego interesów. W myśl tego prawa opublikowaliśmy list taksówkarzy.

## KILKA KRYTYCZNYCH UWAG

1. W moim liście drukowanym niedawno w „Odgłosach” znalazło się kilka błędów, które powinna była wyłapać korekta, a może błędy te powstały przy przepisywaniu tekstu. W każdym razie Pierlinger był premierem w latach 1945-1946 a nie 1956. Clementis był ministrem spraw zagranicznych w 1948 roku a nie w 1918. Nazwisko Nowotny pisze się przez „w” a nie „w”. W nazwisku Słansky literę „n” zamieniono na „v”.
2. Aleksander Dubczek został przewodniczącym federalnego Parlamentu w 1989 roku a nie w 1968.
3. Już w moim tekście rok, w którym nastąpiło spotkanie gen. Iwana Sierowa z przywódcami Polski podziemnej, z 1945 zamieniono na 1947.

CZESŁAW ŻYLIŃSKI

## DZIAŁY SIĘ „DZIWNE RZECZY”

W 1943 r. przebywałem w obozie dla polskich chłopów ze służby budowlanej „Bendienst” w Garnie k/Wolanowa. Spotkałem tam strażnika obozu, członka „Ostlegionu”, który tłumaczył nam, w jaki sposób dostał się do niewoli niemieckiej. Miał dość rosyjskiej służby bezpieczeństwa, ale Niemcy też oszukali żołnierzy rosyjskich proponując im wolność. Jego zdaniem członkowie rosyjskiej służby bezpieczeństwa (NKWD) byli jeszcze gorsi od Niemców. Uważał, że częste gońcy oficerów gestapo w moskiewskim NKWD w latach 1939/1940 miały na celu „doszkolenie ich w pracy zawodowej”.

W styczniu 1945 r. wojska radzieckie weszły do miejscowości, gdzie przebywała moja rodzina. Zaczęły się wtedy „dziwne” rzeczy. Wysłędziły po powstaniu w Warszawie adwokat, zabrany przez funkcjonariuszy NKWD rzekomo jako tłumacz, zmarł nagle w czasie pełnienia tego obowiązku na „atak serca”. Aresztowano burmistrza miasteczka, jako „pachołka niemieckiego”, choć człowiek ten podczas sprawowania nakazanej mu funkcji starał się pomagać w najcięższych latach polskim uchodźcom i wysiedleńcom. Dopiero dzięki staraniom wielu ludzi (w tym z PPS) udało się wydostać go z więzienia.

W niedługim czasie po wejściu wojsk radzieckich do miasteczka przybył do niego oddział NKWD i UB, które rozpoczęły aresztowania członków Armii Krajowej. Aresztowano i wywieziono na Sybir miejscowego komendanta podobowodu AK. Powrócił do Polski dopiero pod koniec 1956 r.

MIECZYSLAW KOZAK

## KOMU POWINNO BYĆ WSTYD?

Obecnie, gdy znaleźliśmy się w stanie klęski mieszkaniowej jest to kwestia budząca szczególnie dużo emocji. Często informowani jesteśmy przez Czytelników o oszustwach, marnotrawstwie, niegospodarności w tej sferze naszej gospodarki. Niedawno otrzymaliśmy list, w którym autorzy informowali nas o sytuacji w dyrekcji jednej z łódzkich spółdzielni mieszkaniowych, w której „przed wyborami do nowych organów samorządowych było czterech dyrektorów, a obecnie jest ich siedmiu”.

Sytuacja ta — opisana zresztą dość szczegółowo z podaniem nazwisk wszystkich dyrektorów i określeniem ich statusu — jest zdaniem autorów listu „pierwszym efektem działania nowej Rady Nadzorczej. Poza tym rada działa jeszcze w jednym kierunku, jest nim zastraszanie etatowych pracowników Spółdzielni groźbą zwolnienia w ramach, jak to się określa, działań mających na celu spowodowanie oszczędności”. Ponieważ autorzy listu „gorąco postulowali” zajęcie się tą sprawą, zaś nam wydała się ona interesująca, postanowiliśmy zapoznać z nią Czytelników i podać pod ich dyskusję.

Dla całej tej sprawy bardzo istotny okazał się fakt, że list podpisany został dwoma nazwiskami, które mieliśmy pozostawić tylko do naszej wiadomości.

Po sprawdzeniu informacji okazało się, że mamy do czynienia ze specyficznym rodzajem anonimów. Bowiem „podpisane” pod listem osoby takiego listu do redakcji nie wysyłały. Nie wiedzą też, kto może być jego autorem. Po prostu ktoś dla załatwienia swoich spraw posłużył się ich nazwiskami.

Zawsze w takich momentach przychodzi nam do głowy pytanie, szacunku dla drugiego człowieka, dla jego pracy, a także sprawiedliwości w traktowaniu ludzi — bo wprawdzie niejednokrotnie mówili o nierzetelności dziennikarzy, lecz czy można oceniać wszystkich jedną miarą? Prawda — jak się okazuje — niczym oliwa wypływa na wierzch. I komu teraz powinno być wstyd?

BEATA KOSTRZEWSKA-JAMROZ

**L**ezeliśmy kółko w kółko w szpitalnej sali. Kiedyś napomknęłam o moich zainteresowaniach w rozmowach z ciekawymi ludźmi.

— O, ja miałbym co wspominać, nie nadążyłbyś pan zapisać, a potem czytelnicy pochlaniliby to z wypiekami na policzkach — powiedział mi pewnego dnia.

— Wobec tego słucham pana —

— Kiedy nie mam ochoty nawet ust otwierać.

— Może jednak — spróbowałem go ostrożnie zachęcić.

— Panie, wystarczy jeśli się przyznam, że byłem czas jakiś w obszarze samego Bieruta, ba, pełniłem służbę bezpośrednio przy jego boku.

— To rzeczywiście brzmi zachęcająco, widział pan i słyszał niejedną... A gdyby pan jednak zechciał coś opowiedzieć o czymś szczególnym, co tkwi w panu jeszcze po tylu latach w pamięci...

znanym pospiesznie jakąś się ze zdenerwowaniem. — Uprzedzałem...

— Co mi z tego — głos Bieruta brzmiał ostro jak brzytwa.

— Żeby tak znalazł tego drań, który to świństwo wymyślił! To na pewno któryś z tych pismaków wysiadających godzinami po knajpach i kawiarniach oraz strzępiących język po próżnicy na podobne paszkwile.

Stojąc wyprężony jak struna i poję się ze strachu.

— Zadzwoń do Radkiewicza — kontynuuję i sekretarz — niech spuści ze smyczy swoją sforę, może coś wywęszą na mieście. — Sięga po słuchawkę i wydaje dyspozycję sekretarce, a po chwili rozmawia z ministrem bezpieczeństwa.

— Znaczą ten wredny dowcip o dorszach? — No, jedźcie dorsz... i tak dalej... spróbujcie ustalić, kto jest jego autorem. Na pewno wywodzi się z warszawskich kregów kawiarnianych... dobrze by było wykryć i ukarać wredniaka,

śledczy Ministerstwa Bezpieczeństwa. Z samego rana postawiono ich przed obliczem wysokiego rangą funkcjonariusza, który na polecenie ministra Radkiewicza objął kierownictwo akcji „Dorsze”, bo taki kryptonim obrała sobie łapanka na autora dowcipu, który tak bardzo rozgniewał „towarzysza Tomasza” (właścicielni Tomaszem nazywali Bieruta, używając jednego z jego konspiracyjnych pseudonimów — przyp. autora). Tak się złożyło, że ów funkcjonariusz był zaprzyjaźniony z Józkiem Prutkowskim, Drożdżyńskiego znalazł zresztą również dobrze, na widok więc obu delikwentów, którzy, dręcząc niemilosierdnym kaczem, przedstawiali obraz niedzy i rozpaczy, wpięramy omeniał, potem dostał ataku śmiechu, wprost się tacał po podłodze, a następnie wpadł w szal i osobiście skopał pechowych kawalarzy. Ryczał przy tym jak bawół przeklinając w kilku językach naraz:

— Wy gnojki parszywe prze-

JOANNA ŻÓŁKOWSKA: — Najbardziej kobieca kobieta do n-tej potęgi — to mężczyzna-aktor!

## Żyjemy w dość dziwnym kraju

Rozmowa z JOANNĄ ŻÓŁKOWSKĄ — aktorką Teatru Powszechnego w Warszawie.

— Dużo mówi się o bezrobociu wśród artystów. Tymczasem miałam duże kłopoty by umówić się z paniami na tę rozmowę. Najpierw jedna premiera, potem druga...

— Na razie nie jestem i mam nadzieję, że nie będę bezrobotna. Ale wszystko może się zdarzyć.

— Widocznie bezrobocie nie dotyczy wybitnych aktorów. A pan zalicza się do 5-6 najlepszych polskich aktorek.

— Dziękuję, miło mi to usłyszeć... Tak być powinno. Niestety w tym kraju i w tym zawodzie nie nigdy do końca nie jest pewne. Tym bardziej, jeśli chodzi o kobiety. Każdy nowy sezon oczekiwany jest przede mną z wielkim niepokojem. Nagle może okazać się, że nie jestem już popularna, czy nie ma dla mnie roll. Istnieje tak wiele różnych uwarunkowań, że naprawdę nie mogą być spokojna.

— Nawet wtedy, gdy się ma świadomość, że jest się dobrą?

— No, tak, tylko żyjemy w dość dziwnym kraju. Tutaj nigdy nie inwestowało się w aktorów. Mam nadzieję, że teraz zmieniają to prawa rynku. Jeśli ktoś będzie się dobrze „sprzedawał” — warto będzie na niego postawić. Boję się tylko, że ja mam już to z głowy.

— Dlaczego?

— Nie nastąpi to chyba w najbliższych latach. A potem to ja przejdę już na emeryturę. No, może będę grała jeszcze starszki. Nie sądzę, by ktoś chciał inwestować w starszki. Inwestuje się raczej w ludzi młodych.

— Coś za pesymizmi! Tyle lat czekać na u-normowanie sytuacji!

— Mam jak najgorsze przewidywania. Jeśli będzie lepiej, to chyba nie mojemu pokoleniu. Może moja córka, która ma teraz 13 lat doczeka lepszych dni.

— Wybrała pani zawód, który dla kobiet jest wręcz okrutny.

— Aktorstwo wymaga nieprawdopodobnej energii, aktywności, naraża na straszne stresy. Ciężko pogodzić pracę z życiem prywatnym. Ale gdy się ma „dostępną” energię, by pokonać wszystkie trudności, to życie staje się wtedy ładniejsze i łatwiejsze.

— Niestety nie wszyscy posiadają takie predyspozycje. Czy nie lepiej byłoby dokonać odpowiedniej selekcji już w szkole teatralnej?

— To niemożliwe. Miałam koleżankę, która na II roku była najlepsza. Otrzymała propozycję opuszczenia PWST i zagrania roli, o której marzyła każda młoda aktorka. Zdecydowała jednak, że zostanie w szkole. Skończyła ją i przestała kogokolwiek interesować. Dział już nie jest aktorką. Oczywiście była i odwrotnie. Ktoś kończy szkołę i nie rokuje żadnych nadziei. I nagle okazuje się, że jest wspaniałą, bo coś się zdarzyło. Ale co? Trudno powiedzieć.

— Może decyduje o tym moda na aktora?

— To też. Moda jest jeszcze bardziej okrutna niż samo aktorstwo. W tym sezonie nosi się krótkie spódniczki, a w następnym długie. Jeśli spotykamy wtedy kogoś w krótkiej sukience, staje się on śmieszny.

— Istniała kiedyś „moda” na pania?

— Nigdy nie byłam „modną”. I może dlatego udaje mi się nadal być aktorką.

— Czy ma pani poczucie swojej wartości?

— Niedawno wyszłam na scenę i pomyślałam sobie: Przyszło 400 osób. Zapłaciли za bilety, siedzą i czekają co im powiem. Jakże ja mam prawo, by im coś opowiadać? To by znaczyło, że nie mam zbyt rozwiniętego poczucia własnej wartości... Mogę jednak powiedzieć że po 17 latach pracy czegoś się nauczyłam, coś robię dobrze i nie wypadłam proce spod ogona.

— Zagrała pani wiele znakomych ról w sztukach teatralnych, telewizyjnych. A film?

— W filmie najważniejsze jest reprezentowanie określonego „typu”. W moim przypadku tak się złożyło, że do niektórych ról byłam za ładna, do innych za brzydka. Zawsze znajdowałam się gdzieś pomiędzy. Może dlatego nie udało mi się jeszcze zagrać w filmie takiej roli, o której bym marzyła.

— Czy aktor może odmówić, kiedy proponuje mu się rolę np. w filmie?

— Może, ponieważ uprawia wolny zawód. Ale niekiedy obraca się to przeciwko niemu. Reżyserzy obrażają się, gdy odmówi się przyjęcia roli w ich filmie. Traktują to jako gest skierowany przeciwko nim. Nie mogą zrozumieć, że powody bywają bardzo różne.

— Często pani odmawia?

— Film mnie męczy, nie lubię tego całego bałaganu. W związku z tym staram się przyjmować tylko takie role, które zaspokoją mnie artystycznie.

— A finansowo?

— Niedawno stanęłam przed takim dylematem. Przeształam się, że nie będę miała za co żyć. Dostałam propozycję, która zapewniła by mi dość godziwy byt. Zastanawiałam się dwa tygodnie. W końcu pomyślałam, że przecież z głodu nie umrę, a nowych butów nie muszę kupować. I zrezygnowałam. Zresztą kierowanie się wyłącznie sprawami finansowymi może okazać się bardzo niebezpieczne.

— Co jest dla pani w życiu najważniejsze?

— Córka.

— A mąż?

— Do mężczyzn mam dosyć specyficzny stosunek. Są to bardzo dziwne stwory. Trzeba im się pozwolić bawić w to co lubią, uważnie się przyglądać i nie oczekiwać od nich wiele.

— Jeśli już rozmawiamy o mężczyznach. Co pani sądzi o swych kolegach aktorach?

— Najbardziej kobieca kobieta do n-tej potęgi — to mężczyzna-aktor.

— Jak wyobraża sobie pani siebie za 30 lat?

— Jako rozkoszną staruszkę, pewnie już bez żadnego mężczyzny... Chyba, żeby znalazł się jakiś ładny starzec. Ale oni z wiekiem raczej nie ładnieją.

— Bez mężczyzny można żyć?

— Oczywiście kiedy się jest staruszką. Wcześniej trochę trudniej...

Rozmawiała: ANNA GRONCZEWSKA

Ten tekst ukazał się w piśmie „Alfa”, które ukazuje się w Chicago

## Bolesław Bierut i dorsze

ANDRZEJ KONIECZNY

— Coś szczególnego, powiedział pan... owszem, ryby, które nam podano dziś na obiad wywołały w pamięci obraz pewnego wydarzenia, ale nie wiem czy pana zainteresuje...

— Z pewnością.

— Pamięta pan cholernie popularne niedzys zawołanie: jedźcie dorsze?

— ...bo gówno gorsze.

— No właśnie. Widzę żeś pan swój, z powojennego pokolenia.

— Coś tak jakby.

— Opowiem więc panu jak Bieruta dorsze zjeździł, a tak naprawdę to ten dwuwiersz...

... dla przykładu... Postarajcie się, kładą wam to na sercu!

Dalszy ciąg tej historii znam z opowieści znajomych pracowników ówczesnego Ministerstwa Bezpieczeństwa. Publicznego, którzy zajmowali się tropieniem autora nieszczęsnego dwuwiersza o dorszach. Otóż następnego już dnia pewien kapuś trafił do „Kameralnej”, która wówczas spełniała rolę reprezentacyjnego lokalu nocnego stolicy. Pokreślił się po sali i wreszcie wyładował w barze. A na jednym z wysokich stołków siedział Józek Prutkowski, sławny już wówczas z rymowanych anegdot i dowcipów, które najczęściej zamieszczały „Szpilki”. Kapuś usiadł obok Józka i zaczyna nawijać, jacy to teraz ludzie dowcipni i czego to nie wymyślą.

— Ty nie wyglądasz na takiego, co by cokolwiek wymyślił — mówi mu Prutkowski, a ten szczerzy zęby w przymilnym uśmiechu.

— Gdzie mnie tam do poetów, zwyczajny człowiek jestem, ciężkiego znoju.

— Mówi się i pracuj, a garb ci sam wyrośnie — Józek skwitował wyznaczenie kapuś.

— Dobrze, dobrze — ten pochwalił swego rozmówcę — ale nie takie dobre, jak ten kawał o dorszach, znasz go?

— Jak mam nie znać, kiedy to mój kawał.

— Jak to twój?

— To ja go wymyśliłem i puściłem w obieg.

— Ty? Nie zalewaj — serce kapuśa zamrło z wrazenia, czyżby miał tak nieprawdopodobne szczęście, że podczas pierwszej wyprawy na miasto po otrzymaniu zadania od razu wpadł na trop niepoprawnego sługusa imperializmu?

## Ogłoszenia drobne

LODZ motorowa „Kormoran” — sprzedam. Łódź, Matowa 6/8 m 4. 19179-g

MATEMATYKA, fizyka. — 57-33-20. 19178-g

GRZEGORZ Rudzki zgubił leg. studencką 63815 PL. 26795-g

IZABELA Pietrasz zgubiła leg. studencką 16894/L AM. 27104-g

WOJCIECH Bałcerzyk zgubił leg. studencką 64939 PL. 26825-g

RADOSŁAW Matecki zgubił leg. studencką 62305 PL. 27158-g

PAWEŁ Adamczyk zgubił leg. studencką 16689/L AM. 26606-g

ANDRZEJ Sokółowski zgubił leg. studencką 61690 PL. 27129-g

Spółka z o.o.

# TOMMI

PROPONUJE:

ŁÓDŹ, ul. WSPÓLNA 6

— nowoczesną, profesjonalną reklamę foniczną w SDH „Central”  
— montaż anten satelitarnych wszystkich typów tel. 34-33-05

NOWE OFERTY SPÓŁKI „TOMMI”

— kurs prawa jazdy kat. A, kat. B, kat. AB  
— czas trwania — tylko 4 tygodnie  
— nowoczesna baza szkoleniowa (Audio-Video)  
— konkurencyjne ceny  
Zgłoś się do nas, a już za 4 tygodnie możesz sięść za kierownicą samochodu.  
— wszelkiego rodzaju usługi szklarskie — również w domu klienta.

Szczegółowe informacje tel. 36-50-55 w. 254 codziennie — 10.00—15.00

# PROGRAM TV

## ŚRODA, 16.V.1990 R. PROGRAM I

7.45 Express gospodarczy  
8.35 Domator  
8.50 Domowe przedszkole  
9.15 Wiadomości poranne  
9.25 „Diabeł w wszystkim” — komedia prod. CSRS  
10.20 Domator  
11.10 Drogi do niepodległej  
16.20 Program dnia, telegazeta  
16.25 Dla młodych widzów: Kamelion  
16.30 Dla dzieci: Cojak — teleturniej  
17.15 Teleexpress  
17.30 Gry wojenne  
18.00 Łódzkie Wiadomości Dnia  
18.45 Rolnicze rozmaitości  
19.00 Dobranoc  
19.10 Rzeczpospolita samorządna  
19.30 Wiadomości  
20.00 W twoich rękach — przed wyborami  
20.10 „Prywatne śledztwo” — film krym. prod. polskiej  
Sensacyjna intryga z problemem moralnym. Weekend, w wypadku giną matka z córką. Płany kierowniczka jechać ucieka, a ojciec postanawia odzyskać zbiegła. Po pewnym czasie rozchodzą się pogłoski o mordowanych kierownicach ciężarówek i tajemniczym „czarnym jeźdźcu”...  
21.45 Sport — kronika Wyścigu Pokoju  
22.10 Lex — magazyn społeczno-prawny  
22.55 Wiadomości wieczorne  
23.10 Rozmowy w „Res Publice”  
24.00 Język angielski (29)

## PROGRAM II

16.25 Korepetycje dla maturzystów — j. angielski (40)  
16.55 J. francuski (24)  
17.25 Program dnia  
17.30 Zbliżenia, czyli to i owo o filmie  
19.00 „Marc i Sophie” (12) — serial prod. franc.  
19.30 Magazyn „102”  
19.00 Express gospodarczy  
19.30 Targi muzyczne we Frankfurcie — rep.  
20.00 Psychostudio  
20.20 O czym się mówi  
20.40 Przegląd muzyczny  
21.00 Ze wszystkich stron — rep.  
21.30 Panorama dnia  
21.45 „W labiryntach” — serial TP  
22.15 Telewizja nocą  
23.00 Komentarz dnia

## CZWARTEK, 17.V.1990 R. PROGRAM I

8.05 Rytm ciała  
8.35 Domator  
8.50 Domowe przedszkole  
9.15 Wiadomości poranne  
9.25 „Uwodziciel” (2) — serial prod. ang.  
10.15 Domator  
11.10 Z naszych dzieł  
15.00 Rytm ciała  
16.20 Program dnia, telegazeta  
16.25 Dla młodych widzów: „Kwant” i film z serialu „Ordynacja”  
17.15 Teleexpress  
17.30 System — publicystyka ekonomiczna  
18.00 Łódzkie Wiadomości Dnia  
18.45 Magazyn katolicki  
19.00 Dobranoc  
19.10 Od A do Z  
19.30 Wiadomości  
20.00 Studio generalnego komisarza wyborów  
20.10 „Uwodziciel” (2) — serial prod. ang.  
21.00 W twoich rękach — przed wyborami  
21.05 Interpelacje  
21.55 Sport — kronika Wyścigu Pokoju  
22.20 Pegaz  
23.05 Wiadomości wieczorne  
23.20 Wódka, pozwól żyć...  
23.55 J. angielski (58)

## PROGRAM II

16.25 Korepetycje dla maturzystów — j. angielski (41)  
16.55 J. rosyjski (29)  
17.25 Program dnia  
17.30 „W labiryntach” — serial TP  
18.00 Katastrofy — serial dok prod. ang.  
18.30 Program na życie  
19.30 Zielone kino — „Kopalnia nad Czarną Hańczą”  
20.00 Studio sport  
20.45 Festiwal Piosenki Studenckiej w Krakowie  
21.00 Express reporterów  
21.30 Panorama dnia  
21.45 Studio Teatralne Dwójki: S. Mrozek „Czarowna noc”  
22.45 Komentarz dnia

## PIĄTEK, 18.V.1990 R. PROGRAM I

7.45 Express gospodarczy  
8.40 Domator  
8.50 Domowe przedszkole  
9.15 Wiadomości poranne  
9.25 „Dorotej” — film prod. Jug.  
11.00 Domator  
11.10 Od Wersalu do Poczdamu  
16.00 Program dnia, telegazeta  
16.05 Piłkarska kadra czeka  
16.25 Dla młodych widzów — „Rambit”  
16.50 Dla dzieci „Okienko Pan-kracego”  
17.15 Teleexpress  
17.30 Raport  
18.00 Łódzkie Wiadomości Dnia  
18.45 10 minut  
19.00 Dobranoc

## 19.10 Teras — tyg. gospodarczy

19.30 Wiadomości  
20.00 Studio generalnego komisarza wyborów  
20.10 „Prywatne życie Elizbiety i Essex” — film historyczno-kostiumowy prod. USA.  
21.50 W twoich rękach — przed wyborami  
21.55 Sport  
22.05 Takie gлина — reportaż  
22.35 Weekend w Jedynie  
22.45 W kinie i na kasce  
23.05 Wiadomości wieczorne  
23.20 Spór o jutro — Otwarte studio.

## PROGRAM II

16.55 Korepetycje dla maturzystów — j. angielski (42)  
17.25 Program dnia  
17.30 Wzrockowa lista przebojów  
18.00 „Dobra nadzieja” (8) — serial prod. franc.  
19.00 Express gospodarczy  
19.20 Antena Dwójki proponuje  
19.30 Non-electric woman — śpiewa Vismaya Hagelberg  
19.50 Rzeczpospolitej — artykuł wybrzeża  
20.50 Antyczny świat profesora Krawczuka  
21.30 Panorama dnia  
21.45 „Joshua wtedy i dziś” — film prod. kanadyjskiej.  
Chłopak z ubogiej żydowskiej rodziny robi karierę jako pisarz. Poślubia córkę znanego polityka. Po latach wraca do Kanady, by napisać książkę o rodzinnych stronach. Wraz z powrotem kończą się jego życiowe sukcesy.  
23.45 Festiwal Piosenki Studenckiej w Krakowie  
24.00 Komentarz dnia

## SOBOTA, 19.V.1990 R. PROGRAM I

7.45 Program dnia  
7.50 Tydzień na działce  
8.20 Na zdrowie  
8.40 Ziarno  
9.00 Drops — magazyn dla dzieci i młodzieży oraz film z serialu „Heidi” (13 i 16)  
10.30 Wiadomości poranne  
10.40 „Była ląka” — film dok.  
11.00 Telewizyjny Informator Wydawniczy  
11.10 Militaria, obronność, nowoczesność  
11.35 Laboratorium  
12.05 Wędrowki dalekie i bliższe: „Kamienie Prowansji” (1)  
12.40 Flesz — program muz.  
13.10 Z Polski rodem — mag. polonijny  
13.40 Informacje — pr. rozr.  
14.10 Zderzenia — magazyn public.  
14.50 Magazyn publi.-muz.  
16.20 Przechodni, powiedz Poisce — film dok.  
17.15 Teleexpress  
17.30 Butik  
18.00 Łódzkie Wiadomości Dnia  
18.45 10 minut  
19.00 Dobranoc  
19.10 Z kamera wśród zwierząt  
19.30 Wiadomości  
20.05 Konkurs Piosenki Euro-wizji — Zagrzeb '90  
20.00 Telewizyjny Przegląd Sportowy  
23.20 Życie jest fraszka  
23.30 Telegazeta  
23.40 „Cyganka” — film fab. prod. franc.

## PROGRAM II

9.15 ELPEES — program regionalny OTV Łódź  
11.45 Konkurs pięciu milionów  
12.30 W świecie ciszy  
12.55 Program dnia  
13.00 Studio im. Andrzeja Munka  
14.00 „5-10-15”  
15.30 Małe kino: „Zatoka Pucka” — film dok.  
16.00 Czysta i dźwięk (5)  
16.30 Romana Libera Rock — rep.  
17.00 Wielka gra — teleturniej  
18.00 „Odeon” na antenie „dwójki”  
18.45 Piosenki naszych pokoleń  
19.30 Alfa i omega  
20.00 „Iwan i Aleksandra” — film fab. prod. bułgarskiej  
21.15 Studio Łańcut '90  
21.30 Panorama dnia  
21.45 „Mussolini — historia nieznaną” (5) — serial prod. USA.  
22.45 Alfabet Kislela  
23.00 Polska baba — magazyn Danuty Rinn  
23.40 Festiwal Piosenki Studenckiej w Krakowie  
23.55 Komentarz dnia

## NIEDZIELA 20.V.1990 R. PROGRAM I

7.00 Witamy o siódmej  
7.30 Kraj za miastem  
7.55 Po gospodarstwu  
8.10 Od niedzieli do niedzieli  
8.55 Program dnia  
9.00 Dla młodych widzów: Te-leranek oraz film „Emil z Lönnebergi” (13)  
10.30 Wiadomości poranne  
10.35 „Tejmnice rosyjskiej przyrody” (11) — serial dok.  
11.05 „Szalom”, „Dojrzwianie”, „Urodzaj na piasku” — filmy dok.  
11.45 Notowania  
12.10 Telewizyjny koncert ży-czeń  
12.55 Teatr Młodego Widza: E. Nowacka — „Malgosia kontra Malgosia”, cz. 2  
13.50 Sportowa niedziela  
14.45 Magazyn „Morze”

15.10 Pieprz i wanilia  
15.55 „Angielska limuzyna” (4)  
„Pieskie życie” — serial prod. franc.  
16.50 Antena  
17.15 Teleexpress  
17.30 Telewizyjny Teatr Roz-maitości — Bruno Winawer — „Znajomek z Fiesole”  
19.00 Wieczorynka — „Wiwat skrzaty”  
19.30 Wiadomości  
20.05 „Modrzejewska” (2) — „Peregrynacje” — serial TP  
21.30 7 dni — świat  
22.00 Sportowa niedziela  
22.30 Wiadomości wieczorne  
22.45 Telewizja z podziemia

## PROGRAM II

9.00 Kalejdoskop  
9.30 Przegląd tygodnia (dla niesłyszających)  
10.05 Film dla niesłyszających: „Modrzejewska” (2) — serial TP  
11.30 Jutro poniedziałek  
11.55 Program dnia  
12.00 Polska Kronika Filmowa  
12.10 „Możesz — prawodawca”  
13.10 100 pytań do...  
13.50 Kino rodzinne: „Auto-strada do nieba” (12) — serial prod. USA  
14.40 Maciej Niesiołowski — Z batutą i z humorem  
14.55 A to Polska właśnie  
15.30 Podróże w czasie i przestrzeni „Biblia a historia” — ser. dok. prod. ang.  
16.20 Ponad granicami — progr. studia Kontakt — TV z Paryża  
17.30 Biłże światła  
19.00 Wydarzenie tygodnia  
19.30 Galeria „dwójki” — Mał-gorzata Krasucka  
20.00 Festiwal muzyki — Za-świt '90  
21.30 Panorama dnia  
21.45 „Możesz — prawodawca” (6-ost.) — serial prod. USA  
22.35 Dziecko szczęścia, czyli Jeremi Przybora  
23.20 Komentarz dnia

## PONIEDZIAŁEK 21.V.1990 R. PROGRAM I

16.20 Program dnia, telegazeta  
16.25 Luz — program nastolat-ków  
17.15 Teleexpress  
17.30 Gorące linie  
18.00 Łódzkie Wiadomości Dnia  
18.45 10 minut  
19.00 Dobranoc  
19.10 W Sejmie i Senacie  
19.30 Wiadomości  
20.00 Studio generalnego komi-sarza wyborów  
20.10 Teatr Telewizji — Władysław Terlecki „Krótka noc”  
21.20 W twoich rękach — przed wyborami  
21.25 Sport  
21.35 Kontrapunkt  
22.05 Szkoła mistrzów — Maciej Wojtyzsko  
22.20 Złota dziesiątka — XIV Ogólnopolski Młodzieżowy Przegląd Piosenki — Wrocław '90  
22.50 Wiadomości wieczorne  
23.10 Język francuski (6)

## PROGRAM II

17.30 Ojczyzna — polszczyzna  
17.45 Czarna na białym — prze-gład PKF  
18.30 Pod kapturem Stańczyka — relacja ze spotkań kabaretow-ych w Toruniu  
19.30 Życie muzyczne  
20.00 Auto moto fan klub  
20.30 Osadźmy sam  
21.15 Rozmowy o cierpieniu  
21.30 Panorama dnia  
21.45 „Panowie, dokąd idzie-cie?” — komedia prod. czech.  
23.10 Komentarz dnia

## WTOREK 22.V.1990 R. PROGRAM I

8.05 Z naszych dzieł — Insu-rekcja Kociuszkowska  
8.35 Domator  
8.50 Domowe przedszkole  
9.15 Wiadomości poranne  
9.25 W twoich rękach — przed wyborami  
9.30 „Bluebell” (2) — ser. prod. ang.  
10.25 Domator  
11.10 Od Wersalu do Poczdamu — rok zwycięstwa  
15.00 AIDS — zagubieni we współczesnym świecie (1)  
16.20 Program dnia, telegazeta  
16.25 Dla dzieci: Tik-Tak  
16.50 Kino Tik-Tak: „Gum-ble” — ser. prod. USA  
17.15 Teleexpress  
17.30 Spożnienia  
18.00 Łódzkie Wiadomości Dnia  
18.45 Klinika zdrowego człowie-ka  
19.00 Dobranoc  
19.10 Plus — minus — pr. publ.  
19.30 Wiadomości  
20.00 Spotkanie z mln. Jac-kiem Kuronem  
20.15 „Bluebell” (2) — serial obycz. prod. ang.  
21.10 W twoich rękach — przed wyborami  
21.45 „45-89” (4) — „1980-1988” — film dok.  
22.05 Listy o gospodarce  
22.40 Sport  
22.50 Wiadomości wieczorne  
23.10 Język rosyjski (30)

## PROGRAM II

16.55 Język angielski (59)  
17.25 Program dnia  
17.30 Dookoła świata  
18.00 „Pavoncello” — Andrzej Żulawski  
18.30 Publicystyka  
19.10 Modlitwa wieczorna  
19.30 Z wiatrem i pod wiatr — mag. zeglarski  
20.00 Non stop kolor  
21.00 Wywiady I Dziedzie  
21.30 Panorama dnia  
21.45 „Crimen” (4) — serial TP  
22.40 „Pan Twardowski” — musical „Teatru Stu”  
23.40 Komentarz dnia



## Polityk nowego typu

— Ja zajmuję się polityką i nie mam już czasu na czytanie literatury. Wiem natomiast, że ty, Andrzej, czytasz różne rzeczy, chciałbym więc, jeśli oczywiście nie sprawi ci to wielkiego kłopotu, byś wymoto-wywał mi co cenniejsze uwagi... jeżeli rzecz jasna uznasz je za stosowne... zostawiam ci pod tym względem całkowitą swobodę. — powiedział pewnego razu do swego młodszego zna-jomego szacowny jegomość.

O owej rozmowie obaj zresz-tą szybko zapomnieli. Kiedyś jednak, podczas lektury mało znanej książki znanego rosyj-sko-amerykańskiego pisarza (to ci dopiero kombinacja) Andrze-jowi przypomniało się to, co kiedyś powiedział znajomy i przepisał następujący fragment:

„Osoba, która nigdy nie na-leżała do Łoży Masońskich lub do bractwa, klubu, związku i tym podobnych, jest nienormal-na i niebezpieczną osobą. O-czywiście, niektóre organizacje były bardzo złe i obecnie są za-kazane, a jednak lepszy ten, który należał do niesusznej po-lytycznej organizacji, niż ten, który nie należał do żadnej. Jako model, który każdy oby-wateł może szczerze podziwiać i naśladować, chcielibyśmy wy-mienić naszego sąsiada, który wyznaje, że nic w świecie, na-wet najbardziej podniecająca książka kryminalna, nawet pul-cherne wdzięki jego żony, nawet marzenia, które ma każdy mło-dy człowiek, że stanie się kłó-regos dnia kierownikiem, nie mogą współzawodniczyć z co-tygodniową radością spotkania przed pracą podobnych jemu i śpiewania wspólnych pieśni w atmosferze doskonałego samo-poczucia i, pozwolimy sobie dodać, dobrych zarobków.”

Następnego dnia Andrzej po-biegł szybko do biura swojego znajomego. Wszedł do jego po-koju i położył przed nim bez słowa kartkę. Tamten najpierw zerknął z niepokojem na przy-bysza, a potem przeczytał tekst. Po chwili twarz mu się rozjaśniła, spojrzal zadowolony na znajomego i powiedział:

— No, od razu wiedziałem, że będziesz świetnie orientował się o co mi chodzi... to jest zna-komity kawałek... tak właśnie uważam i dziwi mnie tylko to, że u nas w dalszym ciągu nikt do różnego typu partii się nie zapisuje. Teraz, kiedy wresz-cie są możliwości, by wybrać sobie coś dla siebie, ludzie za-ehowują się biernie. Tak prze-cież być nie może, co trzeba z tym zrobić... jeszcze nie wiem co, ale zastanowię się. Wymo-tuj mi więcej takich fragmen-tów, wykorzystam je kiedyś w jakichś moim przemówieniu. Tym ludziom trzeba ustrząsnąć. bo jeśli nie, to nic dobrego nie będzie...

— A może partie już są nie-potrzebne... może ludzie chcą takiego systemu, jak na przy-kład w Stanach Zjednoczonych, gdzie ugrupowania polityczne odgrywają raczej małą rolę... jednoczą się tylko przed wy-borami? — przerwał Andrzej.  
— Co ty mi tu takie głup-stwa opowiadasz... z jakąś A-meryką wyjeżdżasz! Partie to przecież podstawa wszystkiego... czy w tym wymotowanym ka-wałku zwróciłeś na przykład uwagę na ten fragment — pod-niósł kartkę i przeczytał głośno: — „...z cotygodniową radością spotkania przed pracą podob-nych jemu...” no, widzisz sam...

— A nie interesuje cię, z ja-kiej książki to wymotowałem? — zapytał.  
— Ciekawe... z jakiej?  
— „Skośnie w lewo” Wład-mira Nabokova albo „Bekarci znak”, oba tytuły dobre — kontynuował. — A to taka książka podobna na przykład do „Nowego wspaniałego świa-ta” Huxleya...  
— No i co z tego? — przer-wał polityk.  
Zapadła cisza.

## TOMASZ A. WŁODKOWSKI



## Z tej ziemi Niech każdy robi swoje!

14.05.1990.

1. 18 września 1939 roku Ar-mia Czerwona wkroczyła do Zdobunowa. Gdzieś pod koniec listopada 1939 roku mój oj-ciec, po ucieczce z niemieckiej niewoli i po różnych perypety-ach, dotarł do domu. Byłi-smy bez środków do życia. Oj-ciec był urzędnikiem państwowy-m i za karę, iż służył „bur-żuazyjnej Polsce”, musiał zam-iać ulicę. Robił to z god-nością, a mnie tłumaczył, że żadna praca, która służy lu-dziom, nie może człowiekowi przynieść hańby ani go upo-korzyć. Zapamiętałem te sło-wa. Ojciec później był robot-nikiem kolejowym, bezrobot-nym, służył w wojsku, aż po wojnie znów został urzędni-kiem i był przez ludzi szano-wany.

Przypomniało mi się to, gdy przeczytałem w sprawozda-niach prasowych z posiedze-nia sejmowej Komisji Kultury i Środków Przekazu, jak to poseł Aleksander Małachowski powiedział, że „jeśli bezrobot-ni dziennikarze zamiatać będą ulicę, to i tak będzie to łagod-na kara za lata ich „hańby”. Wypada pogratulować posło-wi Aleksandrowi Małachow-skemu ideowych koligacji!

2. „Rzeczpospolita” miała na tym posiedzeniu Komisji Kul-tury i Środków Przekazu wia-snego sprawozdawcę, Tomasza Roguskiego, który jakoś na te słowa posła Aleksandra Ma-lachowskiego nie zwrócił bych uwagi i nie wspominał o nich ani słowem. Gdybym nie słu-chał radia i nie czytał innych gazet, nie wiedziałbym o po-gładach posła Aleksandra Ma-lachowskiego.

W różnych wypowiedziach dziennikarzy słyszę jakby tę-sknotę za niedzisiejszym ste-rownianiem prasa, radiem i te-lewizją. Ktoś powiedział na-wet, że Wydział Prasy, Radia i Telewizji byłego KC PZPR koordynował publicystyką te-lewizyjną, a teraz każdy mó-wi, co chce i nie jest to nie tylko spójne, ale wręcz czasem sprzeczne z sobą. Tesknił się za tym, aby rząd miał zde-cydowaną politykę informacyj-ną i czynił się mu wyrzuty, że przed taką polityką broni się. I słusznie czyni!

Gazety, tygodniki, programy radiowe i telewizyjne powin-ny różnić się między sobą nie tylko szatą graficzną czy o-prawą muzyczną, ale koncepcją programową, poglądami auto-rów. Powoli to się dokonuje. Przeglądam się różnym, poja-wiającym się na rynku pi-smom i raz mnie niekiedy ich przerażająca, amatorszczyzna. Nie każdy, kto ma szusne, z punktu widzenia decydenta pisma, poglądy, potrafi zrobić atrakcyjną i poszukiwaną przez czytelników gazetę. Tu też trzeba — podobnie jak przy zamiataniu ulic — coś umieć. Uważam, że dziennika-rze powinni robić gazety, pra-cować w radiu i telewizji, a o czystości miast i wsi powin-ny dbać wyspecjalizowane służ-by. Niech każdy robi to, co dobrze umie. Inaczej Europy nie dogonimy, a przecież się o to tak bardzo staramy. Przynajmniej w słowach, przy-najmniej w hasłach.

Różnice w poglądach nie po-winny jednak prowadzić do tego, aby sprawozdawca wy-bierał z omawianej konferen-cji tylko to, co jemu jest wygodne, ale żeby umiał też przekazać czytelnikowi i takie fakty, które są mu niewygod-ne, ale od których umnie się albo odciąć, albo potrafi je bronić. W „Ładzie” (nr 19 z 13 maja 1990 r.) poseł Stefan Nie-siołowski opublikował arty-kul pod tytułem: „I Kasprzak zmienia magazynki”, w którym protestuje przeciw usuwaniu pomnika Marcina Kasprzaka. Poseł Stefan Niesiołowski zde-cydowanie odcina się od idea-

łów wyznawanych przez Mar-cina Kasprzaka, ale uważa, że mimo to należy mu się miej-sce w naszej historii. „I niech w dniach — pisze — oczy-szczenia polskiej ziemi z kom-unistycznych reliktów pa-miętają wszyscy, że tradycja walki socjalistów jest nieod-lącznie z naszą polską walką o wolność i niepodległość zwią-zana”.

3. Dla prasy nastaly ciężkie dni. W RSW „Prasa-Książka-Ruch” został oderwany proces wydawania od procesu redago-wania. Skutek jest taki, że wielu dziennikarzy skazanych na samodzielność staje przed nią zupełnie bezradnie. A prze-cież mają pewne doświadcze-nia. Trzeba się zacząć od nowego myślenia, odpowie-dzialności i samodzielności. Nie będzie to łatwe, ale jest możliwe.

Będzie się w najbliższym czasie wiele ciekawego działo na prasowym rynku. Będą tu potrzebni dobrzy fachowcy. Niech więc każdy robi swoje, to co umie najlepiej!

LUCJUSZ WŁODKOWSKI



## Będzie bliżej...

Sązniste kolejki w naszych sklepach nie są już teraz po-wszecznym zjawiskiem, ale przecież zawsze tych parę osób trzeba przeczekać i to jest nor-malne. Młody człowiek stojący przede mną w sklepie przy i-cy Gabriela Narutowicza kupu-je sobie dziesięć butelek impor-towanego piwa. Praci sześćdzie-siąt osiem tysięcy złotych. To nie pomyłka: sześćdziesiąt o-siem tysięcy. Suszy go tak, że na miejscu wypija dwie butel-ki jedną po drugiej.

W samoobsługowym, uniwer-salnym barze stol przede mną starsza pani, właśnie tak: star-sza pani, nie żebraczka, nie margines. Długo się zastanawia, aż wreszcie zamawia kartofle z sosem. Nic poza tym. Tysiąc osiemset złotych — Ojej, jak drogo — wzdycha klientka, ale kasjerka uśmiecha się tylko i mówi: — A tak, tak, drogo. Starsza pani prosi następnie w okienku, żeby jej tych ziemni-ków nie pożałowali. Rzeczywi-scie nie pożałowali, dostala du-żo. Tak dużo, że poprosiła do nich jeszcze szklankę gorącej wody. Wode dostała bezpłatnie. To był obiad starszej pani: ziemniaki z sosem i szklanka wody za tysiąc osiemset zło-tych. To nie jest obrazek lite-racki, byłem tego autentycz-nym świadkiem.

Na tych dwóch przykładach widać, ile racji kryje się w zdaniu, które przeczytałem chy-ba w „Polityce”. Mianowicie, że w niedalekiej przyszłości każdy obywatel naszego kraju albo będzie miał pięciu służ-ących albo będzie jednym z nich. Zupełnie jak w Pakista-nie i Bangladeszu. Dla ścisłości dodajmy, że tam każdy z tych pięciu służyłby się jesz-cze paroma oberwaniami, a po-za nimi wszystkim istnieje du-ża grupa społeczna skazana już tylko na samarytańskie odru-chy współobywateli.

Ludzi z wielkimi pieniędzmi jest mnóstwo i widać ich na każdym kroku. Jednocześnie co-raz większa część ludności na-szego kraju nie kupuje gazet, bo nie ma za co. Tych ludzi mniej widać. Prasa przestała być towarem pierwszej potrze-by i nie dziwnego, że więk-szość kiosków stoi zamkniętych. Jaki ma być optymistyczny ko-niec tego wszystkiego, to ja nie wiem. Na razie powinienem być chyba szczęśliwy, że mogę sobie na rogu ulicy kupić nie-dojrzałego ananasa. Mniejszym szczęściem napawa mnie fakt, że od roku nie mogę nigdzie kupić — excusez le mot — ka-lesonów. Co miesiąc odkładam połowę emerytury czekając na moment, kiedy ów towar zo-stanie rzucony na rynek. Mo-że to i dobrze, że już wkrótce wielki, światowy biznes znaj-dzie się tuż na drugim brzegu Odry i Nysy. Będzie bliżej do kalesonów.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

Łódź minęła tablice ostrzegawcze, zaczęła się zbliżać do stalowej siatki. Z brzegu po stronie Ośrodka dwaj dziadkowie w woderach zawzięcie rzucali spinningiem, obok, w szuwarach, kołysała się ich łódka. Marat widział już wybruszenie sieci, przez które wpłynęli.

Natarł na wiosła, skierował dziób ku wybruszeniu. W ostatniej chwili wyciągnie się na dnie i łódź przejdzie ślizgiem pod siecią.

Nie usłyszał pracy silnika: motorówka miała elektryczny napęd. Porucznik ochrony z niezapominającą w klapie natarł łagodnie burtą motorówki na dziób, i łódka Marata zawróciła, poczęła oddalać się od siatki.

— Melduj, że zdrzemnęliście się — powiedział porucznik płynąc z Maratem burtą w burtę. — Siatka mogła was pokaleczyć. Na szczęście zdążyliśmy.

— Dziękuję — odparł Marat. — A może nie drzemałem? Może chciałem zrobić wycieczkę na drugą stronę?

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się porucznik, niebieskie oczka zwróciły mu się, białe brwi albinosa zatańczyły wesoło. — Kierownictwo sprawdza naszą czujność? Melduj, że czuwamy w dzień i w nocy, zgodnie z regulaminem i rozkazami, he, he.

— A ci tam? — Marat wskazał na dwóch dziadków ze spinningami.

— Kierownictwo nas nie docenia — odparł porucznik z tym samym figlarnym uśmiechem, holując łódź Marata ku ośrodkowej przystani. — To kapral Rosolek i starszy sierżant Simecki dorabiają tutaj do emerytury. Spining jest doskonałą anteną, a przy tym można jeszcze złowić szczupaka, cha, cha, cha!

Marat zrezygnował. Zapewne nie jest tak źle, jak mi się wydaje, powiedział sobie. Dlaczego tam, gdzie nas nie ma, ma być przeciwko nam? Ma, nie ma, idiotyzm... Nie umiemy już odpoczywać, żaden z nas. Nerwy zdarte jak stare opony. Bardziej z nami na tym samym wózku, robi teraz to, co my byśmy zrobili, będąc w Siedzibie: otwiera wentyl bezpieczeństwa. Żywiciowa krytyka kierownictwa z szefem na czole przynosi ulgę ludziom i już ich nie ciągnie do podpaleń. Kto nie lubi zobaczyć siebie w telewizji?

Być może Naczelny ustąpi, ale wszyscy nie odchodzą, nigdy tak nie było.

Gdyby Naczelny ustąpił, okazał się jeszcze, kogo konferencja powoła na tron. Mogą rozglądać się za wiarygodnym.

I wtedy jest on, Lucjan Marat.

Co by na to powiedziała Zuzanna?

Komendant Marian Major stał przed Naczelnym w postawie zasadniczej i nie odstąpił od niej, choć Naczelny dał komendę „spocznij”. Patrzył prosto przed siebie, co w tym przypadku oznaczało patrzenie na olejny obraz w złotych ramach, przedstawiający modlącego się mnicha w mrocznej kaplicy z Ukrzyżowanym, wydartym ciemnościami przez słup rozproszonych światła.

— Powiedz mi prawdę? — zapytał półgłosem Naczelny. — Muszę wiedzieć, jakie otrzymałeś rozkazy. Kto ci je wydał i dlaczego?

— Tak jest — strzelił obcasami komendant.

— Siada, Marian.

— Tak jest — komendant nie ruszył się z miejsca, wpatrzony w obraz z mnichem.

— Czuję się osaczony. Łączność przerywa, nie wykonuje się moich poleceń. Pachnie spiskiem, prowokacją. Zamach na państwo może pociągnąć za sobą nieobliczalne skutki.

— Melduj, że wszystko jest w normie — zaraportował dobrodusznie komendant. — Nie dzieje się nic nadzwyczajnego.

— A łączność? A śmigłowiec? A frotki ma-

— Co wy? — zdumiał się komendant. — Normalnie działa, na wyciszenie. Po co z podpalaczki zaraz robić świętą? Wystarczy, że męczennica. Trzeba jej się pokłonić, pobić w pierś, coś tam przyoblekać masom. Konferencja bez was, żeby uniknąć krzyku...

— Możecie jaśniej?

— Lud ma wam za złe, że nie przyjęliście

— Skąd wiesz, ile spiałem?

— Siusznie, że nie przyjęliście delegacji. Daj psu palec, chwyci całą rękę.

— Nic nie wiedziałem o delegacji! — wykrzyknął Naczelny i zbliżył się do komendanta: — Jesteś mi wierny? Nie sprzedajesz?

— Słusznie, obywatelu Naczelny — zameldował z przejęciem komendant.

Naczelny patrzył mu w oczy. Robił to przez długą chwilę, jakby coś w sobie ważył.

— Potrafiłbyś mnie zdradzić? — zapytał półgłosem.

Komendant pokręcił głową. Później pochylił ją i spojrzął na czubki swych służbowych półbutów.

— Życie bym za was oddał — powiedział cicho.

Naczelny przespacerował się po gabinecie. Obszedł go naokoło, przystanął przed oknem, zawrócił, zatrzymał się przed komendantem.

— Nie wierzę ci. Strzeż się błędu, komendancie. Sąd wojenny karze surowo.

I osłupiałego komendanta zostawił samego w gabinecie.

Obiad podano w ogrodzie, w cieniu wiązów, przy cichych dźwiękach kameralnej orkiestry, która ukryta była w altanie z drzewami. Na przekąskę pod kieliszek żytniej kucharz zaserwował półmisek pływających kabanosów i sałatkę z duszonych kalamarnic w różowym majonezie. Potem, do wyboru, zupę żółwiową z ptysiami albo grochówkę na wędzonce. Naczelny poprosił o grochówkę, to samo wzięli Ikar, Gajdacz i Rajski. Lucjan Marat kazał sobie przynieść filiżankę zupy żółwiowej.

— Zupa z żółwia! — zaanonsował kuchmistrz w wysokim białym kołpaku sztywno nakreślonym.

— Raczej dla żółwia — zażartował Gajdacz. — Zwykły bulion z jajkiem, a że cholernie gorący, więc dla żółwia, żeby powoli popijać, he, he, he.

Kuchmistrz zignorował prowokację. Jemu też wydawało się czasem, że kubański koncentrat żółwiowy, który dodawał do rosolu, to zwykła pasta bullionowa, ale nie miał podstaw, by w to wierzyć.

Naczelny uśmiechnął się zdawkowo, na nikogo nie patrząc. Orkiestra grała jego ulubiony „Taniec z szablami”, a może „Lot trzmiela”. Szef z trudem odróżniał te dwie tak bliskie sobie kompozycje. Za jego plecami stała Laura Jaskulska z serwetką. Zdarzało się, że gorąca grochówka leciała szefowi po brodzie, wtedy szybko interweniowała.

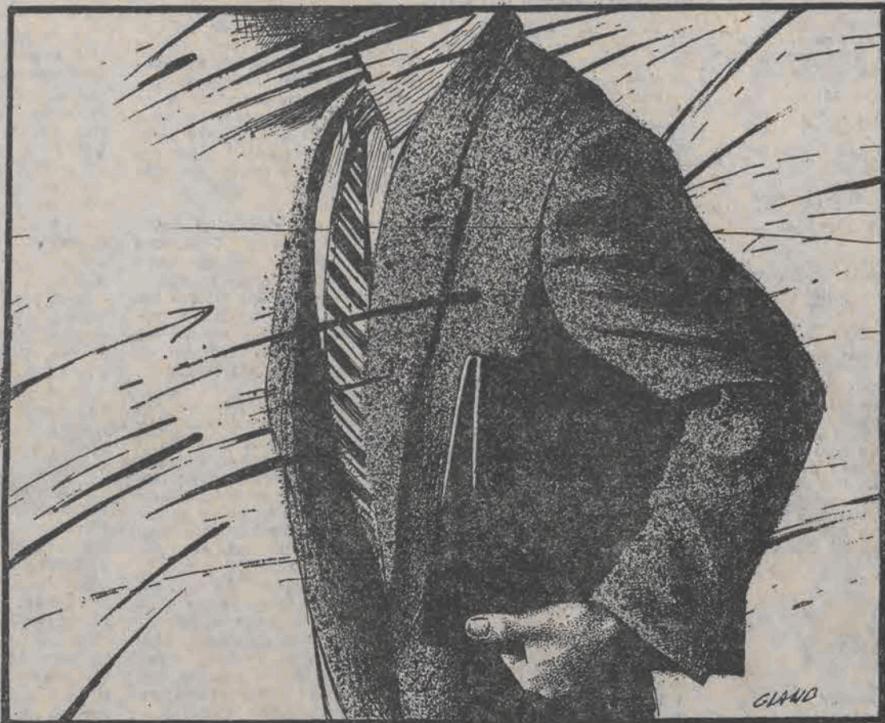
— Słuchałem radia przed kwadransem... — zaczął Rajski.

— Nie przy zupie — przerwał mu szef. — Mamy czas do deseru.

C.D.N.

ALEKSANDER MINKOWSKI

## Sekrety prominentów (24)



Rys. Janusz Szymański-Glano

sowego przekazu atakujące kierownictwo? A nadzwyczajna konferencja w Siedzibie, której nie zwoływałem?

— Nie dzieje się nic nadzwyczajnego, szefie — zapewnił z ciepłym uśmiechem komendant, ciągle stojąc na baczność. — Jak to po burzy, różne rzeczy się psują. Polityka z boku może wyglądać na prowokację. Wy na wakacjach, wasz zastępca działa...

— Przeciwko mnie!

delegacji z petycją — powiedział komendant. — Na krótki czas lepiej zejść z oczu. Nasz lud nie jest pamiętliwy, byle dać mu się wykrzyżać. A wy tymczasem na urlopie. Dziś wieczór mamy bal kapitański, odprężycie się, zabawicie...

— Nic nie wiedziałem o delegacji z petycją — powiedział Naczelny.

— Mało sypiacie, przydałoby się więcej snu. Z godzinkę po obiedzie...

Sergiusz Piasecki urodził się w 1899 lub 1901 r., zmarł w 1964 roku. Jest autorem słynnej powieści „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy” którą napisał w 1935 r. podczas odsiadki w wyroku za działalność przemyślniczą i rozbojniczą na pograniczu polsko-radzieckim. W okresie II wojny

światowej trafił do Anglii, gdzie napisał kolejne książki, m.in. „Żywot człowieka rozbrojonego” i „W imieniu organizacji”. Kontynuujemy druk fragmentów jego „Zapisków oficera Armii Czerwonej”. Wydawnictwo „Książka Dla Wszystkich”, Gryf Publications LTD, Londyn 1957.

## Zapiski oficera Armii Czerwonej

SERGIUSZ PIASECKI

3 lutego 1942 roku Folwark Burki.

Po tamtym spotkaniu z Niemcami więcej ja w miasteczku nie byłem. Jak trzeba było następnym razem jechać, to ja wszystko do drogi przygotowałem, worki kartofli na sanie załadowałem i powiedziałem do pani Józefy:

— Proszę na mnie się nie gniewać, ale ja do miasteczka nie pojedę. Nie chcę ja Niemców więcej na oczy widzieć!

— Dlaczego? — spytała. — Ze mną nie masz czego się bać. Ja po niemiecku dobrze mówię. Ze wszystkich się wykreję... Ty przecież masz dokumenty w najlepszym porządku. Możesz ze mną śmiało jechać.

— Nie pojedę ja za nic! — powiedziałem. — Boję się ja, że jak Niemców zobaczę, to ze złości nie wytrzymam i bić ich zacznę. Taki już mam gorący charakter. A ponieważ bardzo tych faszystów nie lubię, to ze zdenerwowania mogę wielkie nieszczęście i na siebie, i na panią sprowadzić. Lepiej ja w domu zostanę, bo i roboty dużo jest.

— Dobrze — powiedziała — zostań w domu. Ale chciałam ja, żebyś miał rozrywkę i na ludzi popatrzył.

— Wolę ja sam siedzieć niżli Niemca zobaczyć. Bo ja ich nawet za ludzi nie uważam. Są gorsi od wilków.

I zostałem ja w domu. Roboty nawet dużo odwalilem, bo nudno było. A sił mi od dobrego jedzenia przybyło, więc łatwo było pracować.

Pani Józefa wróciła do domu późno i była bardzo zmęczona.

Więc ja konia wyprzęgiłem i sprawunki do domu zaniósłem. A ona napisała kartkę i powiedziała do mnie:

— Odprowadź konia do Malugi, bo ja jeszcze dużo roboty w domu mam. Oddasz im konia, tę kartkę i sól, którą prosił dla nich kupić.

Nie bardzo mi się chciało sąsiadom pokazywać się. Ale pani Józefa widocznie domyśliła się tego i powiedziała:

— Ty sąsiadów naszych poznaj i ich nie obawiaj się. Wszyscy tu są Polacy. Chociaż są to biedni ludzie, ale honorowi i żadnej krzywdy od nich nie będziesz miał. Zresztą wszyscy tu już wiedzą, że u mnie jako robotnik pracujesz i domyślają się, żeś od ruskiego wojska został. Możesz być pewien, że nikt na ciebie nie doniesie. U nas takich zwyczajów nie ma. Nie ty jeden w tych okolicach się ukrywasz. Dużo waszych żołnierzy zostało i ukrywają się u chłopów albo po folwarkach.

Cóż było robić?... Wzięłam ja sól i kartkę, wsiadłam na oklep na konia i pojechałam do sąsiadów. Nawet byłem ciekawy zobaczyć: jak prawdziwi chłopcy tu żyją. Bo pani Józefa przecież dziewczynka jest. To znaczy z wyższej klasy pochodzi i wykształcenie ma. Pewnie wojna tylko zmusiła ją uczyć się pracować i zaprzestać eksploataowania ludzi biednych.

Wydostałem się ja na lepszą drogę i jadę do Malugów. Bliższe to było, ale droga marna, bo w ostatnich dniach dużo śniegu spadło. Z daleka ognie w oknach osiedli widać, bo są dookoła naszego folwarku położone... Przyjechałam ja wrę-

szcze do Malugów. Dwa psy duże do mnie wyskoczyły i zaczęły szczekać. To ja z konia zejść bałem się, bo sobaki jak wilki wyglądały. Ale ktoś z domu wyszedł na dwór i spytał po polsku:

— Kto tam?

Odpowiedziałem: — Robotnik od pani Józefy z Burków. Konia wam odprowadzam i sól przywiozłem. Kartka też jest do gospodarza.

— Mężczyzna tamten psów odpędził i poprowadził konia do stajni.

— Zaczekaj tu chwilę — powiedział do mnie.

Wrócił on zaraz i posilił mnie do domu. Ja wszystkich pozdrowiłem i kartkę z kieszeni wyjąłem.

— Nie wiem komu to oddać — powiedziałem.

— Wiadomo: mnie — rzekł starszy, zupełnie już siwy mężczyzna. — Ja tu gospodarzem jestem.

Dalem ja jemu kartkę i po łbie rozglądałem się. Bardzo dziwnie wydało mi się wszystko, co u nich zobaczyłem. Pod sufitem duża naftowa lampa paliła się. Na ścianach wiele różnych obrazów wisiało i zegar w szklanym pudle. Na oknach dużo kwiatów w doniczkach i białe, ładne firanki. Po prostu zdumienie mnie ogarnęło i nie mogłem ja sam sobie uwierzyć, że tu zwykli chłopcy mieszkają. Szczególnie dziwne mi było to, że wszyscy są porządnie ubrani i obuci. Kobiety w trzewikach, a mężczyźni w butach z cholewami. Ogromnie to mi się podobało wydało. Pomyślałem nawet, że tu jacyś kapitaliści ukrywają się i udają chłopów.

Stary kartkę przeczytał i schował ją do szuflady u stołu. Potem do mnie się zwrócił:

— Ty z jakich stron jesteś? To ja jemu powiedziałem tak, jak w papierach miałem napisane:

— Z Dokudowa jestem. Z lińskiego powiatu.

A on mówi:

— Ty będziesz to na policji gadał, albo Niemcom. A ja po twojej mowie wiem skąd jesteś. I nie tylko po mowie, ale i po wszystkich twoich obrotach. Od nas nie masz czego się ukrywać. My nie tacy ludzie żeby człowieka w nieszczęściu prześladować albo władzom donosić.

Więc ja mówię:

— Od wojska ja zostałem. A jestem z Rosji.

— To co innego — rzekł stary. — Znam ja Rosję dobrze. Za cara to ja ja wzdłuż i wszerz przejechałem. Jeszcze kłedy młody byłem. Wówczas można było po całej Rosji swobodnie jeździć. A po rosyjsku ja nie gorzej jak po polsku mówię.

Rzeczywiście dobrze mówił po rosyjsku. Tak czysto i gładko, jak polak a nie zwykły chłop. Powiedziałem ja jemu prawdę, że z moskiewskiego okręgu pochodzę i że w Moskwie mam brata, który jest robotnikiem w fabryce mebli. O tym, że jestem oficerem i komсомоłcem, a brat kierownikiem magazynu materiałowego, nie wspominałem nawet. Rozmawiałem ja z nim i po łbie rozglądałem się. Prócz nas było tam jeszcze dwóch młodych mężczyzn i dwie dziewczki. Okazało się, że są to dzieci Malugi. Jedna dziewczka na krosnach tkiała. A druga często na czarną połowę domu chodziła do kuchni. Kolację szykowała.

Wkrótce potem siedli oni do stołu i mnie zaprosili. Ja odmówiałem się. Powiedziałem, że w domu kolację otrzymam. Ale stary i słuchając tego nie chciał.

— W domu — powiedział — jeszcze raz zjesz. A od nas głodny nie wyjdiesz, bo potem obmawiać będziesz, że Polacy to taki naród, że głodnego z domu wypędzają. A ty u nas jako gość jesteś. Siadać i jedź!

Siadłem ja do stołu. Stary modlitwą głośno znówił. Wszy-

scy przeżegnali się. I ja też. Potem zaczęliśmy jeść. I okazało się, że ci chłopcy nie gorzej jedzą jak moja dziewczynka. Zdumiewające rzeczy! Bo od pani Józefy ja potem dowiedziałem się, że to są rzeczywiście włościanie. I nawet nie z zamożnych kulaków, bo w rodzinie mają sześć osób, a ziemi, niezbyt dobrej, 15 hektarów.

Dziwił mnie bardzo się podobali. Duże, rumiane, ładne i czysto ubrane. A trzymają się tak, jakby były córkami jakiegoś ważnego burżuja. Żadna z nich palcami w nosie nie dźbała ani się czochrala od śwędzenia. Nawet nie klepy ani ma podłogę nie pluły. Wprost zdumiewające!

Po kolacji zebrałem się ja do domu. Bardzo grzecznie podziękowałem za przyjęcie. Stary zaś do mnie powiedział:

— Tobie tam na folwarku samemu nudno. To ty przychodź do nas. W dzień my czasu nie mamy, bo pracujemy. Ale najlepiej wieczorem w sobotę albo w niedzielę. Więc przychodź, bo zdziczysz ty bez ludzi. Mnie i pani Józefa mówiała, że tobie smutno u niej samemu.

Pożegnałem ja Malugów i poszedłem do domu. Przez całą drogę myślałem nad tym, jak dobrze polscy chłopcy żyją. Z tego wynika, że i bez kolchozów można dobrze sobie radzić. Ale jak do takich bogactw docho- dzą, tego zrozumieć nie mogę... Ani u nich traktorów nie ma, ani rolnych instruktorów, ani państwowego pilnowania, ani kierowników, a tak dobrze im się powodzi!... Postanowiłem ja, że trzeba istotnie do Malugów częściej chodzić i dobrze wszystkim się przyrzec. A poza tym bardzo mi się dziewczki spodobały.

Z tego, co ja dotychczas widziałem, zrozumiałem ja, że polscy chłopcy zupełnie inaczej żyją niżli nam o tym opowiadano. Gdzież to znaleźć w Rosji kolchopa, który miałby zegarek. A u tych zegarki zwykła rzecz. Są też syły, porządnie ubrani. I nikt ich nie bije, nie sprzedaje, nie trzyma w więzieniach. Nawet nasza dziewczynka musi od chłopca pożyczyc. Tylko że wielką wadę mają, że są to Polacy i że w Boga wierzą. I to mar-

nie, że w kolchozy się nie łączą, lecz każdy sam dla siebie pracuje.

Przyszedłem ja do domu. Pani Józefa już kolację zjadła, a dla mnie do duchówki odstawiała. Spytała ona mnie:

— Jak ci u Malugów podobało się?

— Bardzo dobrzy są ludzie — powiedziałem. — I bardzo rozkosznie żyją.

A pani Józefa zaprzeczyła:

— Gdzie tam „rozkosznie”? Te biedna gospodarka. Ani lasu nie mają, ani łąki. Zgodnie trzymają się i dobrze pracują. Dlatego i bieda u nich nie ma... Tak samo nie mamują dobytku na wódkę. Bo to jest najgorsze.

Powiedziałem ja jej, że Malugi zapraszali mnie przychodzić do nich wieczorami w sobotę albo w niedzielę...

— Bardzo dobrze — powiedziała pani Józefa. — Może którą dziewczkę upodobasz sobie, a ona ciebie, to się ożenisz i zostaniesz tu na zawsze. Po co ci do Rosji wracać i w kolchozie nie wiadomo na kogo przez całe życie pracować, głodować i nic swego nie mieć? Tu będziesz sam sobie gospodarzem... Jak nadejdą lepsze czasy, to i ja ci pomogę. A teraz jak sam widzisz, nie ma z czego. Wasze władze nam majątek zniszczyły, a rodzina po świecie rozproszyła się. Ot, żyje były jak, aby tylko przebrać do lepszych czasów. I tak samo wszyscy tu żyją.

Poszedłem ja spać, ale długo usnąć nie mogłem. Ciągłe myślałem o tutejszym życiu. Calkiem inaczej wygląda niż nam opowiadano. A przecież wszyscy tu narzekają i mówią, że to są złe czasy i żyją były jak. Więc jak żył przed wojną?

Poprzednio ja swój zegarek w stodole schowałem, aby nie zdradzić się, że byłem nie zwykłym żołnierzem, lecz zamożnym oficerem. Lecz teraz, gdy zobaczyłem, że tu nawet chłopcy zegarki mają, to ja swoją „Omegę” wydobylem ze schowka i znów na rękę nosić zacząłem. To doda mi powagi i znaczenia. Tak.

C.D.N.